

PIOTR BOJARSKI

WŁOCHA

HORYZONT  
znak

PIOTR BOJARSKI

*MORA*

Znak HORYZONT  
Kraków 2022



*Kasieńce, za wszystko*



*Gdy wszystkiego masz dość,  
Kiedy bierze cię złość,  
A na duszy ci smutno i źle,  
Kiedyś chmurny i zły,  
Kiedy w oczach masz łzy,  
Jedno tylko rozwieje troski twe.  
Kochane baby, ach te baby!  
Człek by je łyżkami jadł.  
Tęgi chłop, co swą ręką łamie sztaby  
Względem baby  
Jak to dziecko  
Całkiem słaby.  
Ach te baby!  
Czym by bez nich był ten świat?  
Co tu łgać, co tu kryć,  
Spróbuj bez baby żyć,  
Gdy ci uda się taka sztuka, toś jest chwat!*

Eugeniusz Bodo, *Baby, ach te baby*  
(fragment piosenki z filmu *Zabawka* z grudnia 1933)

# PROLOG

*Kwiecień 1934 roku*

*Nikt chyba nie odważy się dziś zawyrokować, jak zakończy się batalja w Poznaniu. Niemcy jadą do Poznania optymistycznie, ale też bardzo poważnie nastroszeni. W Budapeszcie powiedział wódz niemieckiego boksu Rüdiger do swojej drużyny: „Nie rozczarujcie naszego wodza Adolfa Hitlera, któremu sport bokserski tyle zawdzięcza! Chcemy zwyciężyć nie tylko dla nas samych, ale jako przedstawiciele całego narodu niemieckiego!”.*

Zmagający się z nadwagą jegomość pod czterdziestkę, o imponujących, choć staromodnych bakach, oderwał się od lektury „Przeglądu Sportowego”, złożył gazetę w pół i rzucił na blat stolika. Pospiesznie dopił kawę, podrapał się po wydatnym czerwonym policzku, po czym wstał i rozejrzał się po dworcowej kawiarni. Kilka sekund wcześniej wyłowił z gwaru niemieckie słowa dobiegające z za okna i zrozumiał, że czas na niego. Uregulował rachunek za małą czarną, zapiął ledwie dwa guziki prochowca, nałożył na lekko łysiejącą głowę szarą fedorę i żwawym krokiem skierował się ku wyjściu na peron. Zastrzyk kofeiny przyspieszył mu puls i poprawił nastrój. Cieszył się, że pociąg z Berlina przyjechał – a jakże – punktualnie.

Dzień był duszny i parny. Nisko wiszące chmury przesłaniały słońce, dzięki czemu komisarz Zbigniew Kaczmarek nie musiał mrużyć oczu, gdy wychodził z półmroku dworcowej hali. Przed sobą na długim cyplu peronu widział wszystko i wszystkich jak na dłoni. Szczególnie dobrze kilkunastu świetnie zbudowanych, masywnych mężczyzn, ubranych w eleganckie marynarki, prochowce i kapelusze. Wyraźnie wyróżniali się na tle pozostałych pasażerów. Stali w grupie z walizkami w dłoniach i rozglądali się wokół, jakby przyjechali do Poznania pierwszy raz.

Kaczmarek wiedział, że wielu z nich już tu było. Przynajmniej raz, trzy lata wcześniej. Wtedy też przyjechali na mecz, który przegrali. Bokserzy reprezentacji Polski okazali się mało gościnni. W hali targów sprawili widzom niemałą niespodziankę, bijąc utytułowanych przeciwników 10 : 6.

Komisarz nie przyszedł jednak na dworzec, by powitać pięściarzy III Rzeszy. Nie zrobił tego również z miłości do sportu, choć zawsze miał nielichy ubaw, gdy Polacy wygrywali z Niemcami, bez względu na konkurencję. Pofatygował się tam bynajmniej nie służbowo, ale czysto prywatnie. W pamięci miał bowiem widok bladego jak kreda nieprzytomnego mężczyzny, leżącego ze szczelnie obandażowaną głową w sali szpitala miejskiego przy Szkolnej. Człowieka, który cudem tylko umknął śmierci, zaatakowany przez nieznanego sprawcę w jednej z miejskich bram. Borowczak, podwładny komisarza, śledził tamtego dnia mężczyznę, który był trenerem niemieckiej reprezentacji bokserskiej. I choć Kaczmarek nie miał na to żadnego dowodu, był więcej niż pewny, że to właśnie niemiecki eksbokser o mały włos nie wyprawił jego człowieka na ten lepszy ze światów.

Komisarz zatrzymał się między budynkiem dworca i niemiecką ekipą, nie dbając o to, że zwraca na siebie uwagę sportowców. Podparł się rękoma

pod boki i taksował grupę bokserów czujnym spojrzeniem, szukając wśród nich człowieka, którego znał tylko z prasowych zdjęć.

Erich Rüdiger nie dał się długo szukać. Stał pośrodku ekipy, najstarszy z całego grona, w gustownie skrojonej marynarce z partyjną swastyką w klapie. Bystre spojrzenie i nieco wysunięta dolna szczęka nadawały jego twarzy niepokojący wyraz. Przyglądał dłonią posiwiałe skronie i głośno objaśniał coś swoim podwładnym.

– ...zum Hotel, dann Mittagessen, Training und Freizeit<sup>1</sup>. – Do uszu polskiego śledczego doleciał gardłowy głos trenera.

Nie zamierzał go zatrzymywać. Na pewno nie teraz. Nie miał przecież nawet cienia dowodu, że szwab maczał palce w ataku na Borowczaka. Chciał go tylko zobaczyć. Wreszcie zobaczyć. Wtedy, w lipcu 1931 roku, nie miał takiej szansy. Po przegranym meczu niemiecka reprezentacja zwinęła się szybko z hotelu i nie zdążył go przesłuchać. Nie miał nawet okazji, by spojrzeć mu prosto w oczy...

Usłyszał przymilne trajkotanie prezesa Polskiego Związku Bokserskiego skierowane do Niemców. Gospodarz uśmiechał się urzędowo, witając ekipę gości i wskazując ręką w stronę autobusu podstawionego przed wejściem do gmachu dworca. Wszystkim w Polsce trudno było przełknąć, że niedawno Niemcy stały się oficjalnie państwem zaprzyjaźnionym. Podpisany raptem kwartał wcześniej zaskakujący pakt o nieagresji nie tylko w Poznaniu stał Polakom ością w gardle. Teraz trzeba było udawać, że umowa to nie fikcja. I starać się, by za zapisami umowy poszły czyny.

Jeśli nasi bokserzy znowu obiją im gęby, nie mam nic przeciwko – uznał Kaczmarek, wpatrując się intensywnie w twarz Rüdigera.

Chciał przyciągnąć jego wzrok. Sprawić, by Niemiec poczuł jakąś niepewność. Może dyskomfort, a może nawet lęk...



Zwaliste sylwetki niemieckich pięściarzy przesuwaly się obok Kaczmarka, rzucając mu zaaferowane spojrzenia. Komisarz rozpoznał wśród gości samego mistrza Ziglarskiego. Zignorował jednak wszystkich, czekał bowiem tylko na trenera. Ten ukazał się w końcu przed Kaczmarkiem, niosąc walizkę.

Komisarz zobaczył grubo ciosaną, szeroką twarz. Jej właściciel rzucił spod srebrnych brwi harde, wyzywające spojrzenie. Zupełnie jakby rozumiał, kim jest ten gruby mężczyzna w płaszczu wpijający się w niego natarczywym wzrokiem.

Kaczmarek wytrzymał spojrzenie Niemca.

Kiedy Rüdiger go minął, Polak mruknął pod nosem nieparlamentarną uwagę. Bokserski trener raczej jej nie dosłyszał, bo nie zwolnił kroku.

*Guten Morgen, Herr Rüdiger*<sup>2</sup> – pomyślał komisarz. A więc czeka nas dogrywka...

---

<sup>1</sup> ...zum Hotel (niem.) – do hotelu, potem obiad, trening i czas wolny.

<sup>2</sup> Guten Morgen... (niem.) – Dzień dobry, panie Rüdiger.

# GRYMAS



### **Co robią „Niemcy pokojowe”**

*Londyński „Sunday Chronicle” z dnia 16 bm. oblicza stan zbrojeń niemieckich. „Gdyby wojna ogłoszona została jutro, Niemcy byłyby w stanie wystawić niezwłocznie armję liczącą trzy miliony wyćwiczonego żołnierza”. Dzieje się to w ten sposób, że dozwoloną przez traktat wersalski stutysięczną Reichswehrę traktują Niemcy jako oddział rekrutacyjny dla oficerów i podoficerów. Dzieje się to tak skutecznie, że w razie wojny Reichswehra stałaby się kadrą zdolną do przyjęcia trzech milionów żołnierzy, których wyćwiczono czy to w organizacjach paramilitarnych, w obozach pracy dobrowolnej, czy też w oddziałach policyjnych. Co do lotnictwa, dziennik angielski wykazuje, że Niemcy posiadają rezerwę, liczącą 3.000 pilotów wyćwiczonych w lotnictwie cywilnem. [...] Nadto Niemcy już dziś rozporządzają dla celów wojskowych 1.500 samolotów, które niczem nie różnią się od samolotów bombardowych.*

*„Kurier Poznański”, 26 kwietnia 1934*

*Poznań, śródmieście, czwartek, 26 kwietnia 1934 roku, około siedemnastej*

Trzeba zadzwonić po komisarza Kaczmarka – uznał posterunkowy Maczek, pochylając się nad szczupłym ciałem nieboszczyka.

Wiedział, że czołowy śledczy z Prezydium Policji to najlepszy adres. Kiedyś zetknął się z nim przy sprawie zmarłej w podejrzanych okolicznościach kobiety i od tamtej pory wiedział, jak postępować w przypadku znalezienia zwłok. W uszach ciągle brzęczało mu ostre: „Niczego nie ruszać!”, rzucone przez komisarza, gdy chciał schylić się po

niepozornie wyglądającą chustkę. Teraz również przezornie niczego nie tknął, choć przecież byłoby za co chwycić.

Denat ubrany był w wiosenny płaszcz. Leżał na schodach w nienaturalnie wygiętej pozie, jakby skręcając się z bólu w ostatnim, śmiertelnym odruchu. Prawa dłoń zmarłego powędrowała w okolice brzucha, by zastygnąć nieco powyżej paska od spodni. Lewa najwyraźniej próbowała uchronić korpus przed bolesnym upadkiem, ale nie zdołała. Nieboszczyk leżał bowiem twarzą do drewnianych stopni wiodących na piętra kamienicy. Z rozbitego nosa zmarłego jeszcze niedawno sączyła się krew, która teraz tworzyła zaschniętą rdzawą kałużę.

Atak serca to raczej nie był – pomyślał Maczek, podnosząc się nad ciała. Gdyby to był zawał, nieboszczyk zapewne chwyciłby się za pierś.

– To sierżant Dymecki – odezwała się lokatorka z parteru, tęga kobieta w skąpej spódnicy odsłaniającej pulchne uda.

To ona z pomocą syna wezwała Maczka do kamienicy przy Mielżyńskiego. Teraz stała oparta o ścianę i przyglądała się zwłokom z odrazą na twarzy.

– Dymecki? – zdziwił się Maczek.

Nazwisko nieboszczyka wydało mu się dziwnie znajome.

– No tak, panie kochany! Jędrzej Dymecki! Sierżant, jeszcze z powstania...

Posterunkowy przypomniał sobie nagle obrazek z ubiegłorocznych obchodów rocznicy powstania zorganizowanych na Starym Rynku. To Dymecki szedł wtedy na czele delegacji Związku Byłych Powstańców. Niósł wieniec z gałęzi świerku przyozdobiony biało-czerwoną szarfą.

Świeże wspomnienie uświadomiło Maczkowi, że tragicznie zmarły to nie byle kto. I że tym bardziej należało jak najszybciej przywołać na miejsce zawodowca z wydziału śledczego.

– Pucek! – krzyknął w stronę czającego się w ciemnej bramie kolegi.

– A co tam?

– Chodź no tu, byle prędko!

– Kiedy ja trupów nie lubię.

– Ady<sup>3</sup>tam, nie pierdol! – oburzył się Maczek. – Przypilnuj, żeby nikt tu nad denatem nie chodził ani niczego nie ruszał. A ja lecę do komendy po kryminalnych. Na moje oko coś tu śmierdzi.

– Chyba kocie siki – mruknął niezadowolony Pucek, zajmując stanowisko u podstawy schodów, raptem dwa kroki od ciała.

– A ja? – odezwała się kobieta.

– Co „ja”? – zdenerwował się Maczek.

– Potrzebna jeszcze jestem? Bo kapustę gotuję, jeszcze mi z kotła wykipi.

– A idź pani do tej swojej kapuchy! – Posterunkowy machnął ręką. – Ale musisz być pani gotowa, że policja jeszcze do was zapuka!

– A po co niby? – zaniepokoiła się baba. – Czy ja temu winna, co tu się stało?

Posterunkowy uśmiechnął się pobłaźliwie. Lubił te nieliczne chwile w swoim zawodzie, kiedy ktoś okazywał się znacznie mniej rozgarnięty niż on. Mógł wtedy pokazać, że nie wypadł sroce spod ogona.

– Winna czy niewinna to się dopiero okaże – rzekł, strasząc kobiecinę poważną miną. – Ale rozpytanie nastąpić musi. Rozpytanie zwyczajna rzecz. Bać się nie ma czego.

– A on? – Wskazała ruchem głowy na martwego Dymeckiego. – Ciągle tak leżeć będzie?

– Jemu nic już nie zaszkodzi. A on też dla nikogo niegroźny. Nie wstanie i straszyć nie będzie. Zresztą pilnowany jest. – Posterunkowy

wyszczерzył zęby, najwyraźniej ubawiony swoim dowcipem.

– A kto go tam wie – powiedziała kobieta, ciężko wzdychając.

Chowając się za odrapanymi drzwiami swojego mieszkania, przeżegnała się jednak nabożnie – na wszelki wypadek.

*Poznań, ulica Półwiejska 5, pół godziny później*

Efektowny neon ekskluzywnej restauracji Palmarium błyszczał na tle granatowiejącego nieba. Zwracał uwagę licznych przechodniów ciągnących ulicą pełną sklepowych witryn w kierunku Wildy. Ruch o tej porze był największy, więc przed wejściem do lokalu pojawił się zwracający uwagę osobnik w liberii. Osobliwy, bo potężnej budowy i wzrostu, a do tego czarnoskóry i z fantazyjną fajką w zębach. Nie palił w niej wprawdzie tytoniu, ale z wyraźnym upodobaniem cmokał ją w ustach, poprawiając raz po raz dłonią jej ułożenie. Gapie pokazywali go sobie rękoma bez skrępowania, ale on zupełnie na to nie zważał. Przyzwyczał się już wcześniej, w Warszawie. To, że ciągle wzbudzał sensację, było dla niego tak samo oczywiste, jak słońce na niebie. A że niegdyś służył w Wojsku Polskim? Tego żaden z gapiów nie musiał wiedzieć.

Sam Sandi, przez znajomych zwany Józefem, rozejrzał się uważnie wokół starym przyzwyczajeniem wyniesionym z ringu, wypatrując ewentualnych problemów. W Palmarium był przede wszystkim wykidajką, odpowiedzialnym za spokój zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Gdy ktoś wypił zbyt dużo i stawał się kłopotliwy, żelazne dłonie Sama chwyciły delikwenta pod pachy i mężczyzna bez trudu wynosił źródło problemów na bruk ulicy. A jeśli spokój zakłócał ktoś przed lokalem, szybkie ruchy ramion i pięści bramkarza z miejsca przywracały okolicy tak pożądaną ciszę.



Łucja ze strachem w błękitnych oczach wielokrotnie prosiła męża, by nie nadużywał siły. Bała się, że jej Sam, w końcu już nie młodzik, podpadnie jakimś gangsterom i źle skończy. A ich córka straci ojca. Sandi przywracał jednak naturalny porządek świata w lokalu i poza nim z taką gracją, że dotąd nie nabawił się wrogów. Mało tego! Szybko się okazało, że stał się magnesem, wabikiem, przyciągającym do Palmarium zaintrygowanych gości. Rychło w Poznaniu stało się głośno o jego umiejętności wróżenia z kart, zwłaszcza w sprawach natury intymnej. Do lokalu ciągnęły coraz chętniej damy wszelkiego autoramentu albo lekko podchmieleni kawalerowie – a wszystko po to, by tajemniczy Sandi, wróż niewiadomego zresztą pochodzenia, wyczytał im z kart powodzenie lub rychły koniec najnowszych związków. Właściciele restauracji błyskawicznie zwąchali okazję i wygospodarowali dla wróżbity w liberii całkiem gustowny, obity purpurowym ałtarem kącik z sofą. To tam udzielał zainteresowanym informacji na temat przyszłości, dorabiając sobie przy okazji do pensji. A kiedy raz, drugi czy trzeci wróżba Sandiego się sprawdziła, w miasto poszła fama: „Murzyn zna losy każdego!”, napędzając lokalowi nowej klienteli.

Tego wieczoru bystre spojrzenie Sama nie odnalazło w najbliższym otoczeniu nikogo, kto mógłby sprawić jemu – lub Palmarium – jakiegokolwiek problemy. Rozluźnił się więc, uśmiechnął półgębkiem i sięgnął do kieszeni spodni po tytkę z tytoniem. Oszalającym zapach holenderskiej wanilii uderzył mu w nozdrza, gdy upychał go w szerokiej główce taniej fajki z wiśni. Wyciągnął zapalniczkę i wzniecił aromatyczny żar. Kiedy puszczał ku wieczornemu niebu pierwszy obłok dymu, poczuł po raz kolejny, że życie jest jednak piękne.

Ustawieni wokół gapie zrobili wielkie oczy. Czarny pałacyk fajkę! Jak świat światem na Półwiejskiej tego jeszcze nie widzieli!

*Poznań, kamienica przy Mielżyńskiego, za kwadrans osiemnasta*

– Który go ruszał?! No, który?!

Głos śledczego zwiastował jego złość, a już na pewno irytację. Ostry ton sparaliżował Pucka, ale nie posterunkowego Maczka.

– Nikt, panie komisarzu.

– Jak to nikt?! Przecież widzę, że ktoś majstrował przy jego kieszeni.

– Nic podobnego, jak Boga Kocham!

– Ja tam nie wiem, jak ty Boga Kochasz, Maczek! – zachnął się Kaczmarek, obrzucając funkcjonariuszy spojrzeniem, pod którym ugięły się im nogi. – Mniejsza z tym! Chodź tu i przyjrzyj się uważnie paltu denata. Widzisz...? No właśnie: co widzisz, orle Temidy?

Czerwona z wysiłku twarz posterunkowego zbliżyła się do leżącego na schodach denata, by chwilę później całkiem spurpurowieć – tym razem ze wstydu. Nie trzeba było sokolego wzroku, by dostrzec, że prawa kieszeń płaszcza nieboszczyka wyglądała jak wypruta portmonetka. Pomarszczony materiał podszewki wypchnięty na zewnątrz niewątpliwie dawał do myślenia. Posterunkowy Maczek skłął się w duchu za to, że nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Najwidoczniej sam trup zaabsorbował go na tyle, że umknęły mu inne rzeczy.

– No, co tam widzisz, mój śledczy psie? – Natarczywy głos Kaczmarka dopominał się świadectwa osobistej klęski posterunkowego.

– Melduję, że ktoś gmerał przy palcie denata, panie komisarzu. – Maczek postarał się, by jego wypowiedź nie straciła rezonu.

– Bystrzak! – mruknął Kaczmarek.

– Ale to nie ja! Ani nie Pucek – pospieszył z zapewnieniem posterunkowy.

– Jak nie wy, to kto?!

– Melduję posłusznie, że... nie mam pojęcia.

– Nie tylko bystry, ale i szczerzy – warknął komisarz. – Stary Marciniak wezwany?

– Tak jest!

– Kiedy po niego dzwoniście?

– Będzie z pół godziny...

– Powinien już być, stary przyk.

Jakby na żądanie za plecami komisarza i jego ekipy dały się słyszeć powolne kroki wiekowego człowieka. Wojciech Marciniak, siwy lekarz sądowy współpracujący z policją, ciągnął zdyszany podeszwy po bruku.

– No, co tam nowego, Biniu? – zagadnął komisarza, nim jeszcze doszedł do schodów i zobaczył leżące na stopniach zwłoki.

– Kolega nieboszczyk wygląda, jakby coś mu nie posłużyło – odpowiedział Kaczmarek, odwracając się w stronę medyka.

Szara, przypominająca mumię twarz sześćdziesięcioletniego Marciniaka wyglądała na zaciekawioną.

– Co ty opowiadasz, szczunie<sup>4</sup>? – Spojrzał nie bez trudu przez ramię wyższego od siebie Kaczmarka. – Rzeczywiście, sprawia wrażenie nieco pogiętego. Struł się czy jak?

– Ty to masz oko, Wojtuś. – Kaczmarek pozwolił sobie na chwilę poufałości. – Zdaje się, że przyczynę śmierci uda się ustalić stosunkowo szybko.

– To się dopiero okaże, Zbigniewie. – Doktor nagle spowaźniał, a rysy jego twarzy się ściągnęły. – Zobaczmy, co tu mamy... A może raczej kogo...

Doktor przyklęknął na jednym z pierwszych stopni, by następnie pochylić się nieznacznie nad denatem. Kaczmarek obserwował jego pracę

z satysfakcją. Marciniak był weteranem w poznańskiej policji kryminalnej i cieszył się powszechnym uznaniem. Wykształcony i wdrożony do pracy jeszcze „za Niemca”, słynął z precyzyjnych opinii, na których komisarz i inni śledczy wielokrotnie budowali swoje śledztwa. I choć był dwukrotnie starszy od Kaczmarka, ich relacje przypominały raczej stosunek dwóch przyjaciół niż ojca i syna.

– Musiał bardzo cierpieć – odezwał się medyk. – Pozycja ciała, ten ostatni ruch ręką w kierunku podbrzusza... Cóż, trzeba wołać ambulans. Nie będę o niczym wyrokował bez sekcji i badań chemicznych.

– Otrucie? – zagadnął go komisarz.

Był zaintrygowany, bo z tą akurat formą uśmiercenia w ciągu kilkunastoletniej praktyki jeszcze się nie zetknął.

– Możliwe, Zbyszku. Bardzo możliwe – zgodził się z nim stary Marciniak, ale na jego twarzy ciągle gościł urzędowy sceptycyzm. – Wszystko będę niebawem wiedział.

– Czyli?

– Czyli najdalej jutro do południa, mój ty narwańcu. – Nie odmówił sobie okazji, by przygadać komisarzowi.

Kaczmarek nie przejął się docinkiem. Wzruszył tylko ramionami i gestem dłoni przywołał niskiego aspiranta, Grzegorza Aniołę, technika z Prezydium Policji.

– Zróbcie zdjęcia! Jak najwięcej zdjęć! – nakazał.

Chwilę później ciszę klatki schodowej rozdarły trzaski flesza. Anioła krążył wokół nieboszczyka, nie szczędząc mu fotograficznych portretów. Kaczmarek, Marciniak i reszta ekipy śledczej przyglądali się tej procedurze w milczeniu, wodząc wzrokiem po zakamarkach schodów. Kiedy w końcu technik zakończył swoje zadanie i skinieniem głowy dał znak komisarzowi,

że może wrócić do swoich obowiązków, Kaczmarek gestem dłoni przywołał posterunkowych Maczka i Pucka.

– A teraz go odwrócimy – rozkazał.

Mundurowi posłusznie podeszli do wykręconego ciała. Na komendę komisarza chwycili je pod ramiona i delikatnie przełożyli na plecy.

Członkowie ekipy zobaczyli wytrzeszczone w śmiertelnym przerażeniu oczy denata. I grymas bólu, zastygły na jego twarzy. Siwy wąs zmarłego i jego wysokie czoło uświadomiły nagle Kaczmarkowi, że osoba denata nie jest mu obca.

– To Dymecki... – mruknął sam do siebie, na tyle jednak głośno, by wywołać reakcję Maczka.

– Tak jest, panie komisarzu! – ożywił się posterunkowy. – To jest właśnie sierżant Dymecki. Potwierdziła to jego sąsiadka, gdy się tu zjawiliśmy.

Komisarz zmierzył Maczka krytycznym wzrokiem.

– Wiesz takie rzeczy i nic mi nie mówisz? Gdzie ciebie szkolili, skończona gelejzo<sup>5</sup>?

Posterunkowy spiekł raka niczym młodziutka panienska zapytana o nieobyczajne sprawy.

Kaczmarek cmoknął z niesmakiem i zwrócił się do Anioły.

– Załatw transport zwłok do laboratorium – rozkazał.

– Tak jest! – Podwładny stuknął obcasami i natychmiast wybiegł na ulicę.

– Pilnujcie ciała – rzucił komisarz w stronę ekipy i ruszył w stronę drzwi najbliższego mieszkania. To, że znał ofiarę, mocno go poruszyło. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

Jędrzej Dymecki... Przed oczami Kaczmarka przewinął się barwny film z powstania. Mój Boże, ile to już lat od tamtego grudnia? Szesnaście! Jak ten czas leci... Ale dla Jędrzeja już się zatrzymał. A przecież sierżant Dymecki był niegdyś nie do powstrzymania. Choćby wtedy, gdy razem zdobywali Ławicę.

*Poznań, nieopodal, hotel Monopol przy placu Gwarnym, w tym samym czasie*

Przez firanę w małe oczka obserwował tramwaj linii 10, który z trudem pokonywał stromy stok ulicy, niegdyś nazywającej się Victoria Strasse. Kiedy usłyszał zgrzyt żelaznych kół, doznał nagłego uczucia *déjà vu*.

Byłem tu już kiedyś, nawet w tym samym pokoju! – przypomniał sobie. I tak samo jak teraz wyglądałem na ulicę, by zebrać myśli! Ile to już lat? Prawie trzy! Niby niewiele, a tyle się zmieniło. Zwłaszcza u nas, w Rzeszy!

Erich Rüdiger, trener legenda, znany w całej Europie, tytułowany zresztą w międzynarodowych gazetach mianem „dyktatora niemieckiego boksu”, zaczesał dłonią siwiejące włosy i uśmiechnął się ironicznie na wspomnienie poprzedniej wizyty w Posen. W Posen, a nie w Poznaniu – do polskiej nazwy ciągle się nie mógł przyzwyczaić. Było upalne lato 1931 roku. Już wtedy prowadził drużynę najlepszych pięściarzy kontynentu, choć znacznie słabszą niż ta, z którą przyjechał tym razem. Wtedy Polacy byli górą, co uznał za wypadek przy pracy. Fuks, moment słabości. Dlatego wrócił, by się odegrać. Zresztą nie tylko na ringu. Wrócił, bo wreszcie w jego ukochanych Niemczech doszli do władzy ludzie, na których stawiał i liczył. Nowy wódz, polityczny geniusz, zwiastował świetlaną przyszłość kraju, zduszonego przez międzynarodową żydowską finansjerę i upokorzonego po Wielkiej Wojnie kontrybucjami, a dodatkowo ściśniętego w nowych, niesprawiedliwych granicach. Pamiętał doskonale



wielką Rzeszę od Strasburga po Niemen i czuł, podskórnie czuł, że Adolf Hitler jest zesłanym przez los człowiekiem, który przywróci Niemcom odpowiednie miejsce.

Należał do ludzi trzeźwo myślących, nigdy nie ulegał podnieciom. Wolał na zimno rachować szanse nowego ruchu, który postawił sobie za cel wydzwignięcie Niemiec z dna, porzucił więc zbyt daleko idące myśli. Liczyło się tylko to, co tu i teraz. Zwłaszcza teraz. Bo teraz trzeba stawiać kolejne pewne kroki, by kiedyś dojść do celu.

Nic na wariata – pomyślał. Trzeba działać z zimną krwią...

W kilka sekund przeanalizował sceny z przyjazdu do Posen – i nagle odkrył powód do niepokoju. Ten dziwny gruby facet z rozwichrzonymi bakami, który wyglądał jak małpa... Ten, który tak podejrzliwie mu się przyglądał... Ewidentnie chciał coś zademonstrować, stojąc na peronie z rękoma rozpartymi na biodrach i bacznie, bez cienia skrępowania przyglądając się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy jego ekipie. A najbardziej jemu samemu. O co mu chodziło, do diabła? I kim on był...?

Porzucił złe skojarzenia i spróbował odgadnąć, z kim miał do czynienia. Kim był ten zwalisty Polak w szerokim prochowcu? Gdyby nie dość plebejskie rysy twarzy, uznałby bez wahania, że to jakiś policyjny szpicel. Ale pospolite, pucułowate policzki i staromodne baki mocno skorygowały to jego podejrzenie. Nie, z taką gębą mógłby być co najwyżej posterunkowym – pomyślał. O ile rzeczywiście pracuje w policji.

Uspokoił się nieco, ale zanim odszedł od okna, raz jeszcze omiół czujnym wzrokiem okoliczne chodniki. Hotel, posadowiony u zbiegu dwóch ruchliwych arterii, był doskonałym punktem obserwacyjnym. Rüdiger nie zauważył wszakże nic, a raczej nikogo podejrzanego w pobliżu Monopolu. Utwierdziło go to w przekonaniu, że mężczyzna widziany na peronie dworca – choć ewidentnie zainteresowany bokserami – wcale nie

musiał mieć coś wspólnego z polskimi służbami. Ot, zafrapował go obrazek ekipy sportowej z zaprzyjaźnionych Niemiec...

Twarz trenera przeciął znowu grymas uśmiechu, okraszonego sporą dawką przekąsu. No tak, mamy przecież okres odprężenia między naszymi krajami – pomyślał. Niech sądzą, że to coś trwałego i na serio.

### *Kamienica przy Mielżyńskiego, osiemnasta z minutami*

– Pan Jędrzej kochany był. Wszyscyśmy go lubili. Nie wiem, co mu się stało, ale jak na schody upadł, to takiego hałasu narobił, że zaraz z domu wybiegłam! Patrzę, a tu sąsiad z piętra leży! Matko Boska! Ratować go chciałam, ale on nic, ani się odezwie! Tak jakoś tylko drgał, a potem zupełnie znieruchomiał... To ja zaraz pobiegłam po syna, żeby leciał na komisariat...

Przerażone spojrzenie i rozbiegany wzrok tęgiej lokatorki spod jedyńki dobitnie świadczyły o szoku, jakiego niedawno doznała. Ubrana biednie, z tłustymi kolanami wystającymi spod przykrótkiej spódnicy, najwyraźniej gotowała w kuchni kapustę, bo jej duszny odór unosił się wszędzie. Za nią stał jej syn, nieogolony mężczyzna w wyświechtanej marynarce, na oko dwudziestoletni.

– I to pan zaalarmował policję? – zapytał Kaczmarek.

– Tak, proszę pana – potwierdził, przerykając nerwowo ślinę.

Komisarz zdjął kapelusz i przyczesał dłonią włosy na skroniach.

– Pani Bielicka, a czemu grzebała pani denatowi w kieszeniach? – zadał pytanie, patrząc kobiecie prosto w oczy.

– Że co?! – Bielicką aż zatkało z wrażenia. – Co pan opowiada! Dymeckiemu niby?! W jakiej kieszeni?!

– W kieszeni jego płaszcza, szanowna pani.

– No co pan! Ja nawet nie wiedziałam, że on tam ma jakieś kieszenie! – uniosła się gospodyni lokalu pod jedyneką. – Ja go tylko obmacałam, ooo tak... Żeby go zapytać, co mu jest. Ale nie odpowiedział, bo przytomność stracił! I nic mu nie grzebałam, jak Boga Kocham!

– Wszyscy kochają Najwyższego, a spraw jakoś przybywa – mruknął sam do siebie Kaczmarek.

Reakcja kobiety wydała mu się jednak naturalna. Podobnie jak zaskoczenie jej syna, który dosłownie zaniemówił.

– No dobrze, pani szanowna – komisarz poruszył się niespokojnie. – Musimy stać w tej ciasnej antrejce<sup>6</sup>? Może porozmawiamy jednak w pokoju?

– Tak, tak, oczywiście... – Bielicka grzecznie przepuściła policjanta do środka.

Kaczmarek wszedł do obszernego, acz skąpo umeblowanego salonu z oknami wychodzącymi na ulicę. Zgrzyt tramwajowych kół i stukot kopyt uświadomiły mu, że w mieście rozpoczął się właśnie popołudniowy szczyt komunikacyjny. Usiadł na skraju starej, wytartej sofy i wskazał kobiecie miejsce po przeciwnej stronie. Syn Bielickiej stał oparty o framugę drzwi.

– Widziała się dziś pani z Dymeckim? Rozmawiała z nim przed zgonem?

Gospodyni zadrżała z emocji. Wyteńczyła pamięć, by po kilku sekundach odpowiedzieć:

– Tak, panie władzo. Spotkałam go, jak wychodził po mięso do sklepu Dawidowskich. Pan wie, tego na Gwarnej, pierwszorzędną tam mają kaszanke...

– Taaa... – Kaczmarek machnąłby zapewne ręką na tę informację, gdyby nie to, że porządny kaszak należał do jego ulubionych dań. – Dawidowscy, powiada pani? No dobrze... O której to mogło być?

– Z Dymeckim, znaczy się? Zaraz panu powiem, panie władzo. To było, jak schody myłam. Bo pan wie, że obowiązki gospodarza kamienicy pełnię? No więc myłam schody, jak on w dół schodził. Więc to już musiało być mocno po śniadaniu. A ja śniadanie wcześniej robię, około ósmej. Dziś mieliśmy jajecznicę na boczku, taki dobry właśnie u Dawidowskich dają... – trąkotała kobieta, a komisarz cierpliwie kiwał głową. – No więc tego Dymeckiego to musiałam jakoś tak o dziewiątej widzieć. Chyba nie wcześniej.

– Co mówił?

– A takie tam pierdoły, panie kochany. Że dzień dziś ładny. I że na jakiś mecz się wybiera. A ja mu na to, że kobietę wreszcie jakąś sobie znaleźć powinien. W jego wieku to ostatni moment – dodała Bielicka, a zaraz potem się zarumieniła.

– I tylko tyle?

– Tak.

– Co pani odpowiedział?

– E, nic chyba. Machnął ręką tylko.

– A potem? Widziała go pani, jak wracał?

– No nie. Ale jak gruchnął na schody, to zaraz z chałupy wybiegłam. Bo wie pan, ja taki czujny słuch mam. Wszystko, co się dzieje w kamienicy albo ludzie mówią, to zaraz słyszę...

Nie wątpię – pomyślał złośliwie Kaczmarek.

– A co mówią?

– O czym? – nie zrozumiała w pierwszej chwili gospodyni.

– No, o tym wydarzeniu? O śmierci Dymeckiego?

– Tego to nie wiem, panie władzo. – Kobieta zrobiła duże oczy. – Od czasu, jak tu policja się zjawiała, nie miałam okazji z nikim pogadać...

– Z Wojtaszkiem mama słowo zamieniła – odezwał się syn Bielickiej.

– A tak, prawda. Zanim te pierwsze policaje przybiegli, po schodach schodził stary Wojtaszek.

– A kto to jest, szanowna pani?

– A taki stary pierdziel. – Intonacja głosu kobiety przeszła na pozycje pogardliwe. – Powiadają, że to stary wojskowy, ale nigdy go w mundurze ani z szablą nie widziałam. On mieszka obok Dymeckiego. To znaczy... mieszkał. Pan Jędrzej pod szóstką, a ten pod piątką.

– No już dobrze, dobrze. Co on powiedział, ten cały Wojtaszek? Jak skomentował to, co zobaczył?

Bielicka spojrzała na Kaczmarka ciężko wystraszona.

– Matko Boska! – wysapała, składając ręce jak do modlitwy. – Że też o tym zapomniałam... On powiedział... Powiedział, że to musi być jakaś zemsta!

*Salonik hotelu Bazar, w tym samym czasie*

*Niemcy i Polska. Przed niedzielnym meczem pięściarskim – przeczytał wybity grubszą czcionką tytuł „Kuriera Poznańskiego”. Pod kierownictwem dyktatora pięściarskiego p. Ericha Rüdigera przybywa do Poznania reprezentacja Niemiec w następującym składzie: Spannagel (Barmen), Ziglarski (Monachjum), Kästner (Erfurt), Schmedes (Dortmund), Campe (Berlin), Hornemann (Berlin), Pürsch (Berlin) i Runge (Elberfeld). Jest to niewątpliwie najsilniejszy skład wyłoniony spośród 60 tys. czynnych pięściarzy, jakim w chwili obecnej nasz niedzielny przeciwnik dysponuje, i najsilniejsza „ósemka” reprezentacyjna, jaka kiedykolwiek walczyła na ringu polskim. Omówienie sposobu walki oraz wyciąg z list rekordowych zawodników niemieckich podamy niebawem.*

Szapsel Rotholc, młody, dobrze zbudowany mężczyzna z kędzierzawymi włosami i zarumienionymi policzkami, odłożył gazetę na stolik i łyknął kawy z filiżanki. Prasa jak zwykle grzeje atmosferę – pomyślał, spoglądając z niejaką dumą na swoje dłonie. Gdy zacisnął je w pięści, poczuł napływającą moc. Choć walczył tylko w wadze muszej, miał w ramionach dynamit i był w stanie załatwić znacznie cięższego od siebie przeciwnika. Umiejętność tę wyniósł już z zaułków Warszawy, gdzie potrafił obić mordy wszystkim tym, którzy wyzywali go od „parchatych żydków”. Choć z zawodu był zecerem, nie popracował długo w swojej profesji. Mocne pięści i błyskawicznie wyprowadzane ciosy zaprowadziły go na ring stołecznej Gwiazdy, potem – dały mu miano mistrza, a następnie wicemistrza Polski w wadze muszej. Niski, szczupły, niepozorny, usypiał przeciwników, posyłając ich na deski w momencie, gdy w myślach świętowali łatwe zwycięstwo. Nic dziwnego, że wpadł w oko samemu Papie Stammowi, jednemu z trenerów kadry narodowej. Dopiero co wrócili z mistrzostw kontynentu w Budapeszcie, gdzie „Szapsio” – jak pieśczośliwie mówili na niego koledzy z reprezentacji – wybił sobie na ringu brązowy medal! Gdyby nie gorszy dzień w półfinale przeciwko Anglikowi Palmerowi, biłby się o złoto! On, ledwie dwudziestojednolatek z biednej, żydowskiej rodziny! I kto by pomyślał?

Rotholc zerknął raz jeszcze na „Kurier” i nagle przeszedł go dreszcz. Dziwnie czuł się w tym mieście, w którym prym wiedli endecy. Właśnie czytał ich gazetę i się zastanawiał, jak tutejsza publika, zwykle Żydom niechętna, przyjmie go w koszulce z orłem. Czy będą gwizdać? A jeśli ktoś krzyknie z trybun coś o „zafajdanych pejsatych”? Cholera, nie potrafił powiedzieć, jak się wtedy zachowa...

Wszystko to jednak wydało mu się nagle małym piwem w porównaniu z tym, z kim miał się zmierzyć już w niedzielę. On, warszawski Żyd, miał



się na ringu w Poznaniu boksować z samym Wernerem Spannagem, uchodzącym za gwiazdę ekipy niemieckiej. On, Żyd, przeciwko zawodnikowi ze swastyką na piersi! W dodatku wbrew woli władz swojego żydowsko-robotniczego klubu! Jego Gwiazda zwróciła się wszak z protestem do Polskiego Związku Bokserskiego. Szefowie klubu uznali bowiem, że Szapsio ma podstawy, by odmówić walki z Niemcem – reprezentantem kraju, który niszczy Żydów.

On jednak nie rozumiał tego sprzeciwu. Jakże to?! Może dać szwabowi w pysk i ma nie skorzystać z takiej okazji?! Wydało mu się to absurdalne. Zapytany przez działaczy związku o swoje stanowisko, gorąco potwierdził wolę walki na ringu. To nic, że Spannagel jest cztery lata starszy i bardziej doświadczony. On, Szapsel Rotholc, nie da plamy! Nie w takim pojedynku! Już jego w tym głowa!

Mimowolnie znowu zacisnął pięści. Przypomniał sobie, co o jego szansach w starciu ze sławnym Niemcem napisał niedawno „Przegląd Sportowy”. Fachowy dziennik uznał je za znikome. Zni-ko-me! No, to on im pokaże, co potrafi polski Żyd! Jeszcze odwołają to, co napisali!

Wstał od stołu, dumnie wyprostowany w czerwonym dresie z orłem na piersi. Nagle przypomniał sobie fragment artykułu „Przeglądu”. Jak to szło? *Do reprezentantów białego orła nie apelujemy nigdy z patosem najcięższego kalibru: rozumieją oni swą rolę i potrafią ją z honorem wypełnić.*

O tak, on swoją rolę rozumiał doskonale.

*Pierwsze piętro kamienicy przy Mielżyńskiego, po dziewiętnastej*

Stara pierduśnica<sup>Z</sup>naopowiadała mi niezłych bajek...

Komisarz wspominał z niesmakiem rewelacje Bielickiej, kiedy zapukał do drzwi mieszkania z numerem pięć. Ale choć opowieści kobiety traktował półserio, Leona Wojtaszka musiał zapytać o jego nietypowy komentarz.

Drzwi otworzył wychudły dżentelmen w szlafroku, spod którego wystawała piżama. Wyglądał na mniej więcej sześćdziesiąt lat. Okulary w drucianych oprawkach na długim nosie sprawiały, że nie odbiegał od zwyczajowego wyobrażenia akademickiego profesora.

– Tak? – zapytał od progu.

Na jego łysej, lśniącej jak lustro głowie odbijało się światło żarówki.

– Komisarz Kaczmarek z wydziału śledczego. Pan pozwoli, że zadam kilka pytań.

– W związku z tym biedakiem Dymeckim?

– Właśnie.

– Czy... jestem może podejrzanym?

Zastrzelił Kaczmarka tym pytaniem.

– Boże Broń! – odpowiedział komisarz.

Pomyślał, że tego nieszczęsnego dnia wszyscy zdecydowanie zbyt często powołują się na Boga. On także uległ tej manierce.

Nieco uspokojony jegomość poprowadził Kaczmarka przez zadbane, czyste mieszkanie ku jasnemu pokojowi z pięknymi starymi meblami. Na honorowym miejscu nad kredensem z wiśniowego drewna wisiał wielki portret generała Hallera. Dało to komisarzowi sporo do myślenia.

– Proszę! – Gospodarz wskazał Kaczmarkowi jeden z dwóch obitych złoconym materiałem foteli, sam zaś usiadł z godnością w drugim. – To w czym mogę panu komisarzowi pomóc? – zapytał.

Kaczmarek chrząknął, a potem przyjrzał się uważnie Wojtaszkowi. Nie dostrzegł w jego bladym obliczu żadnych oznak niepokoju czy paniki.

– Od jak dawna znał pan świętej pamięci Dymeckiego?

– Od lat trzynastu, odkąd się tu wprowadziłem.

– Utrzymywaliście dobre kontakty? Zażyłe?

– Aż tak, to nie. Od czasu do czasu zaglądał do mnie na wódeczkę albo koniaczek.

– O!

– Nic takiego, panie komisarzu, zwykle sąsiedzkie relacje. Połączyły nas wspólne poglądy na politykę. I fakt, że obaj jesteśmy starymi kawalerami.

– Czy Dymecki kiedykolwiek powiedział panu, że ktoś mu grozi? Albo że czuje się zagrożony?

– Nie przypominam sobie – odpowiedział bez namysłu Wojtaszek. – A sam pan rozumie, że tego typu sprawę na pewno bym zapamiętał.

– A nie odwiedzał go ktoś ostatnio? Z rodziny? Albo znajomych?

– Nie zauważyłem. Cóż, to niewykluczone, Dymecki miał chyba brata. Nic pewnego o tym jednak nie wiem.

– A jeśli wolno zapytać o pana... O pański zawód, wykształcenie?

– Jestem emerytem, panie komisarzu – powiedział z niejakim żalem gospodarz. – Przez długie lata byłem radcą prawnym. Jestem też podporucznikiem, oczywiście w stanie spoczynku.

– Rozumiem – powiedział Kaczmarek, rozglądając się po bogato umeblowanym wnętrzu, zdecydowanie odbiegającym wystrojem od ubogiego lokalu Bielickiej. – Mam jeszcze kilka pytań do pana, szanowny panie Wojtaszek...

– Zamieniam się w słuch.

– Z moich ustaleń wynika, że był pan świadkiem znalezienia zwłok świętej pamięci Dymeckiego.

– Tak jest.

– Został pan przy nich Mariannę Bielicką?

– W rzeczy samej.

– Kogoś jeszcze?

– Słucham?

– Widział pan tam kogoś jeszcze?

– Nie – odpowiedział równie szybko, jak poprzednio Wojtaszek.

– A co pan z tej chwili zapamiętał?

– Co niby?

– Proszę nie odpowiadać pytaniem.

– Bo ja wiem... – Chudy gospodarz w szlafroku bodaj po raz pierwszy poruszył się niepewnie. – Były schody... Czyste, bo dopiero co umyte przez Bielicką... No i leżał ten nieszczęsny Jędrzej. Wydał mi się jakiś taki pokręcony. Przepraszam za to wyrażenie, ale on leżał w takiej nienaturalnej pozie. Od razu pomyślałem, że zwijał się wcześniej z bólu.

– Czy on jadał na mieście?

– Obiady?

– Cokolwiek, szanowny panie.

– Nie mam pojęcia. Może. W końcu byłoby go stać.

– Tak pan sądzi?

– Panie komisarzu, z jego wojskową emeryturą... – zachnął się Wojtaszek.

– A może gotował sobie sam? Albo miał gospozię? Zaprosił pana kiedyś na obiad?

– Nic o tym nie wiem. Nigdy u niego nie jadłem, do siebie nie zapraszał.

– Rozumiem. – Zbity z tropu Kaczmarek podrapał się energicznie za uchem. – W takim razie mam ostatnie pytanie. Przynajmniej na razie.

– Tak?

– Miał się pan dzisiaj wyrazić nad zwłokami, że pański sąsiad padł ofiarą zemsty. Jakiej zemsty? Czyjej?

Oczy lodowato wręcz dotąd spokojnego Wojtaszka nagle wydały się Kaczmarkowi większe i żywe, jakby zapłonęły w nich płomienie.

– Na pewno załatwili go ci cholerni piłsudczycy! – wysyczał ze złością. – Musi pan wiedzieć, że Dymecki był zajadłym krytykiem rządu i marszałka!

---

<sup>3</sup> Ady (gwara poznańska) – ale.

<sup>4</sup> Szczun (gwara poznańska) – młodziak.

<sup>5</sup> Gelejza (gwara poznańska) – oferma.

<sup>6</sup> Antrejka (gwara poznańska) – przedpokój, korytarz.

<sup>7</sup> Pierduśnica (gwara poznańska) – plotkarka.

# OKO DIABŁA





### ***Niemcy przejmują odpowiedzialność za losy Europy***

*Berlin (PAT). Wicekanclerz Papen wygłosił wczoraj w klubie przemysłowców w Dortmundzie przemówienie. [...] „Dla przyszłości narodu niemieckiego decydujące znaczenie posiada należyte uwzględnienie jego potrzeb przy reorganizacji stosunków, która stała się konieczna w Europie. Narodowy socjalizm stworzył już podstawy do wielkiej rozgrywki europejskiej. Reorganizacja Europy – zakończył Papen – wyrasta z rewolucji niemieckiej. Niemcy przejmują odpowiedzialność za losy Europy”.*

„Kurier Poznański”, 27 kwietnia 1934

*Poznań, nadal czwartek, 26 kwietnia 1934 roku, prosektorium przy ulicy Śniadeckich, około dwudziestej trzeciej*

– To był arszenik – orzekł doktor Marciniak.

Za oknem jego gabinetu przy Śniadeckich już od dawna panowały nieprzeniknione ciemności. Wieczór nadciągnął tego dnia wyjątkowo szybko.

– Czyli morderstwo – podsumował w swoim stylu Kaczmarek, krótko i rzeczowo.

– Bez cienia wątpliwości – potwierdził Marciniak, studiując raport z laboratorium toksykologicznego. – Ktoś podał Dymeckiemu dawkę, która powaliłaby konia, a co dopiero takiego chudego mężczyznę.

Kaczmarek westchnął i mimowolnie zaczął szarpać palcami prawy bak. To nie było tylko kolejne przestępstwo. Dla niego stanowiło ono także osobisty szok. Głęboko osobisty. Z Jędrzejem Dymeckim znali się jak łyse konie. Razem zaciągali się do Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego<sup>8</sup>, razem – przemykając jak duchy z kompanii skautowskiej – zdobywali fort Grolman, w końcu nacierali na lotnisko w Ławicy, przechwytyjąc je rekordowo szybko mimo gradu niemieckich kul z cekaemów. Dymecki był mu prawie tak samo bliski, jak niegdyś Józek Jęczkowiak, zanim ten nie wyjechał do Gdyni. Albo jak Wincenty Wierzejewski, ich ówczesny komendant. Byli zgraną drużyną, z której każdy poszedłby za drugim w ogień. Czasy były gorące, przynaglały do działania i oni wszyscy zdali wtedy egzamin wyznaczony przez wielką historię. Osobistym poświęceniem, krwią i potem odzyskali ten kraj, wypędzając zaborców z Poznania i całej dzielnicy. Nic dziwnego, że tacy jak Dymecki cieszyli się potem słusznym szacunkiem i uznaniem wdzięcznego społeczeństwa. Kto by jednak przypuszczał, że pewnego dnia Jędrzej skończy tak nagle i dramatycznie? By nie powiedzieć: niegodnie.

– Kiedy to się stało?

– Co? – Stary Marciniak potrząsnął głową, jakby nagle wyrwał się z drzemki.

– Kiedy ktoś zaaplikował Jędrzejowi to świństwo? I w jaki sposób?

Doktor raz jeszcze zerknął w notatki z laboratorium. Cmoknął, a potem przez chwilę obliczał coś w milczeniu.

– W tak dużym stężeniu trucizna mogła zadziałać stosunkowo szybko. Myślę, że przyjął ją dwie, góra trzy godziny wcześniej, zanim przewrócił się na zawsze. Panie świeć nad jego duszą!

Czy oni się wściekli? – Kaczmarek wzdrygnął się z niesmakiem. Wszyscy wokół niego odwoływali się ciągle do Boga, tymczasem

Opatrzność jakoś niespecjalnie czuwała nad Dymeckim!

– To znaczy, że arszenik był w jego śniadaniu – zauważył trzeźwo.

– Tak można sądzić po analizie treści pokarmowej jego żołądka – przyznał mu rację Marciniak. – To było lekkie śniadanie, gotowane jajka i chleb z masłem. Osobiście obstawiałbym jednak, że ktoś wsypał mu truciznę do herbaty. Tak najłatwiej byłoby ją ukryć. Wchłanianie toksyny też jest pewniejsze niż przy zwykłym trawieniu. A na pewno szybsze.

Kaczmarek przypomniał sobie popołudniową wizytę w mieszkaniu denata. Przez wysokie okna wpadało do niego sporo światła. W salonie na stole ciągle jeszcze leżały talerz i sztućce, z których korzystał Dymecki w czasie śniadania. A także filiżanka z rdzawymi śladami wypitego napoju.

– Kawa – poprawił natychmiast Marciniaka. – Dymecki wypił kawę, nie herbatę.

– To bez różnicy – sarknął lekarz.

– Pytaniem pozostaje, kto i w jaki sposób dodał truciznę temu staremu kawalerowi.

– A to już twoje zmartwienie, Biniu – zauważył Marciniak, uśmiechając się nieco ironicznie. – Ale ufam, że dasz sobie radę.

Muszę – pomyślał śledczy.

Za szybą przeszklonej ściany prosektorium widać było blade, nagie ciało zamordowanego spoczywające na metalowym stole. Na jego piersiach i brzuchu komisarz zobaczył długi, pomarszczony ścieg po sekcji. Denat przeżył niespełna trzydzieści siedem lat. Przed nim było jeszcze całe życie, a jednak trafił na stanowisko sekcyjne policyjnego zakładu medycyny sądowej. Ktoś wysłał go tak wcześnie w zaświaty. Kto?

– Pójdę tam jeszcze raz. – Zmęczony Kaczmarek podniósł się z krzesła i sięgnął po płaszcz wiszący na ścianie przy drzwiach.

W kieszeni palta namacał klucz do lokalu zamieszkiwanego do niedawna przez denata.

Coś nie dawało mu spokoju. Nie mógł się pogodzić z tym, że jeden z dawnych towarzyszy broni padł ofiarą zbrodni. W dodatku z ręki jakiegoś truciela...

– Już na coś wpadłeś, Sherlocku? – zażartował zza stołu stary Marciniak.

Kaczmarek machnął tylko ręką i wyszedł z królestwa umarłych. W tej chwili zdecydowanie chciał wrócić do żywych.

### *Poznań, śródmieście, pół godziny przed północą*

Wieczór był ciepły, zachęcał do pójścia w miasto. Po kolacji i odprawie z zespołem Rüdiger dał swoim podopiecznym wolne i uznał, że po długiej podróży koleją z Berlina także jemu należy się chwila relaksu. Z poprzedniego pobytu w Posen, zwanym teraz po polsku Poznaniem, zapamiętał, że niedaleko, na placu przy zbiegu pięciu ulic, który w dawnych czasach nazywał się Neustädtischer Markt, znajduje się ciekawy lokal o niebieskim neonie, nieco na wyrost nazwany Trocadero. Zapamiętał też, że przed wejściem kłębiły się zwykle tanie prostytutki. Tym razem nie miał ochoty ani nastroju na tego typu rozrywkę, chciał po prostu coś wypić i się rozluźnić.

Miał ważną sprawę do załatwienia, ale akurat ona mogła poczekać. Okoliczności zmieniły się wszak diametralnie. Człowiek, w którego wierzył i którego rządów wypatrywał jak zbawienia – dla siebie i dla Niemiec – od bez mała półtora roku był kanclerzem Rzeszy i krok po kroku przywracał jej godność, należną wielkiemu narodowi, jakim bez wątplenia byli Niemcy. Ruch, któremu przewodził Adolf Hitler, nie musiał już

zachowywać się jak skromny nowicjusz wpuszczony na europejskie salony. Od zimy 1933 roku – czy ktoś w Europie chciał, czy nie – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników stała się głównym rozgrywającym w Niemczech. Powstała, by obudzić śpiącego kolosa. Przywrócić mu siłę i dumę. A on, Erich Rüdiger, świetnie się w tym wszystkim odnajdował. Prowadzona przez niego reprezentacja bokserska stała się wizytówką nowych Niemiec. Na zakończonych dopiero co mistrzostwach Europy w Budapeszcie zdobyła aż cztery medale, ustępując tylko gospodarzom – i tej cholernej Polsce. Jakimś cudem ci *Polacken*<sup>9</sup> zgarnęli dwa srebrne i trzy brązowe krążki! I tylko dzięki złotemu medalowi Ottona Kästnera w wadze piórkowej Niemcy przeskoczyli Polaków w klasyfikacji zawodów. Ale przeskoczyli!

Wynik Polaków z Budapesztu zaniepokoił Rüdigera, uświadomił mu bowiem, że za wschodnią granicą rodzi się mocny rywal. Wprawdzie trzy lata wcześniej przegrali w Posen z Polakami, ale wtedy nie przyjechali tu w optymalnym składzie i nieco zlekceważyli mniej znanych rywali. Tym razem szef niemieckiej ekipy nie mógł sobie pozwolić na podobną wpadkę, dlatego zabrał ze sobą elitę niemieckiego boksu. Był pewny, że rewanż będzie nadzwyczaj udany.

Wyszedł wprost na ulicę przez przeszkłone wahadłowe drzwi hotelu Monopol. Skierował się w lewo, w dół, ku placowi, który nosił teraz polską nazwę. Drażniły go tabliczki w języku polskim. Pamiętał jeszcze dawne czasy, gdy Posen zdawał się do cna niemiecki. W latach Wielkiej Wojny pracował w sztabie zlokalizowanym w zamku cesarskim. Widywał tam samego marszałka Hindenburga! Na myśl, że w majestatycznej budowli mieści się teraz polski uniwersytet, aż nim zatrzęsło.

Po lewej minął restaurację Pod Strzechą. Na twarzy poczuł ciepły podmuch wiatru dobiegający od strony dawnego Neustädtischer Markt

i zdobiącej go fontanny z Perseuszem i Andromedą. Wiosna rozkręcała się na dobre, a on chciał się napić. Choćby i w polskiej knajpie. W końcu w Polsce mają ponoć niezłą wódkę...

Pochyła ulica była niemal pusta. Ku niemu, bo z naprzeciwka, szedł jakiś barczysty osobnik. W mroku nie dało się rozpoznać rysów jego twarzy, ale w tej sylwetce było coś znajomego. Rüdiger wpatrywał się w nią bezwiednie, aż nagle, gdy zwisająca z gzymsu latarnia doświetliła postać mężczyzny, trener poczuł na plecach dreszcz niepokoju.

Już wiedział, kogo ma przed sobą.



Kaczmarek zasapał się na ostrej pochyłości ulicy Mielżyńskiego. Waga była jego przekleństwem i od dłuższego czasu obiecywał sobie, że skończy z miłością do ciasta, zwłaszcza do tortu bezowego, rewelacyjnego w Grand Café na placu Wolności. Może nawet zdecyduje się na jakiś sport? Natłok obowiązków nie pozwalał jednak przymierzyć się do tego na poważnie.

Kiedy szedł teraz ku feralnej kamienicy, w której wyzionął ducha jego serdeczny kompan, zastanawiał się, czy to aby nie sprawka tego cholernego szwaba, który znowu – jak w 1931 roku – przywiózł do Poznania swoich objmordów. Wtedy maczał zapewne palce w ciężkim ranieniu jego podwładnego. Czy również tym razem zjawił się tu na podobne występy?

Nie! Zrozumiał to, gdy tylko ta myśl zabłysła w jego głowie. Było to zwyczajnie niemożliwe z bardzo prostego powodu. Ten drań przyjechał z ekipą w piątek przed południem, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Jędrzej Dymecki opuścił swoje mieszkanie, by już nigdy do niego nie wrócić...

Nie, tego zwyczajnie nie mógł zrobić ten drań Rüdiger!

Ktoś szedł z naprzeciwka szybkim, sprężystym krokiem.

Gdy wyłonił się nagle z mroku, światło latarni wyłowiło z ciemności jego znajome rysy...

Serce śledczego uderzyło mocniej, jak po małej czarnej w ukochanej Grand Café.

To on!

To Erich Rüdiger!

Ten sam, którego widział dziś rano na dworcu!

Czy to nie dziwne, że ledwie dziewięć godzin później ich drogi znowu się przecięły?!



Niemiec pohamował chęć złośliwego uchylenia kapelusza. Zamiast tego spojrzał Polakowi hardo w oczy. Kaczmarek wytrzymał spojrzenie.

Odruchowo, nie wiedzieć czemu, sięgnął prawą dłońią w stronę skrytej pod płaszczem kabury, ale w ostatniej chwili powstrzymał ten ruch.

W oczach Niemca zobaczył coś w rodzaju zawahania, może nawet strachu.

Do trzech razy sztuka, pomyślał, puszczając Rüdigera lewą stroną wąskiego chodnika.

*Palmarium przy Półwiejskiej, tego samego wieczoru*

Sam Sandi rozsiadł się wygodnie w głębokim fotelu i wskazał swojej klientce miejsce naprzeciwko, w równie miękkim siedzisku. Między nimi stał stoliczek na zgrabnych nogach w kolorze hebanu.

– Czego sobie szanowna pani życzy? – zapytał uprzejmie, tasując w dłoniach talię kart.

Pulchna blondynka w poważnym wieku i w nieco zbyt obcisłej kreacji poruszyła się niespokojnie, a na jej twarz wypłynął niepewny uśmiech.

– Chcę wiedzieć, czy jest mi wierny. I czy będzie... – dopowiedziała szeptem.

Sam skłonił się delikatnie w fotelu, nie komentując prośby. Z doświadczenia wiedział, że autorytetu nie buduje się nadmiarem słów, ale raczej powagą.

– Słyszałam, że pańskie wróżby spełniają się w stu procentach – pochwaliła go kobieta, najwyraźniej szukając wspólnego języka z egzotycznym wróżem.

Czarnoskóra mężczyzna w liberii uśmiechnął się.

– Miło słyszeć, szanowna pani – odpowiedział.

A potem zaczął gwałtownie wykladać na blat dokładnie wymieszane karty. Gdy rzucił na stolik szóstą kartę, przerwał wykładanie i pochylił się nad figurami.

– Ooo, bardzo niedobrze, szanowna pani – orzekł krótko niezwykle poważnym tonem.

– Wiedziałam! – jęknęła nieszczęsna, zakrywając usta dłonią. – Wiedziałam, że ta różnica wieku... Co jeszcze widzisz? To znaczy, co tam pan jeszcze...

– Walet pik karta niedobra, pani szanowna. On do innej oddicha, inną kocha. Pani zobaczi... O, tu obok dama karo... To musi bić strojna dama. Znaczi: riwalka...

Oczy kobiety w drogiej sukni okraszonej na ramionach sobolem nabiegły łzami.

– To ta wydra Zuza z urzędu! – zawyła cicho, acz żałośnie. – Wiedziałam, że ma kochankę! I co... Co jeszcze tu widać, panie czarny!? No co?!



Sandi zdobył się na gest współczucia i delikatnym gestem pogłaskał dłoń swojej rozmówczyni.

– Ona go nie kocha – pocieszył zrozpaczoną. – Pani zobaczi: tu i tu dwa króle.

– Co to znaczy, panie szanowny? – ożywiła się kobieta, wycierając ukradkiem łzy.

– Ta strojna dama na piniązek patrzy, nie na serce. Ona kariery szuka, nie jego. Rozumie mnie pani szanowna?

– Tak... Rozumiem, rozumiem – potwierdziła bez przekonania kobieta.

– O! A na koniec dwójka trefl.

– Czyli?

– Nic z tego nie będzie, pani droga. On niekochani będzie, tylko jego piniązki. Ona wibierze innych, znaczy bogatszych.

– A dobrze mu tak, staremu rębajle! – ucieszyła się niespodziewanie elegancka pani za stolikiem. – Niech go zdzira kantem puści, a co! Ja bym jeszcze draniowi...

Sandi się uśmiechnął najpiękniej, jak potrafił, pokazując udobruchanej klientce rząd białych równych zębów.

– Dziesięć złotych należy się, pani szanowna – powiedział Sandi, łagodnym gestem wyciągając dłoń w stronę kobiety.

– Zapłacę z przyjemnością, czarny panie. – Dama sięgnęła bez wahania po malutką torebkę, schowaną dotychczas na pasku za ramieniem. – O, proszę. Należy się! I dziękuję! Dziękuję bardzo!

Chwilę później w czarnej dłoni wróża spoczął banknot Banku Polskiego.

W oczach damy zagrały niespodziewanie jakieś radosne ogniki. Zebrała się na odwagę i pochyliła ku Sandiemu.

– A czy szanowny pan tylko wróży, czy również pociesza strapione dusze? – zagadnęła cichym, acz przymilnym głosem, spoglądając z uznaniem na mocne dłonie, szerokie barki i rysujące się pod liberią bicepsy wróża.

– Szanowna pani wibaczi, obowiązki. – Główny wykidajło lokalu uśmiechnął się nieco sztucznie i wstał z fotela, po czym ukłonił się grzecznie.

– Ach, ci mężczyźni – mruknęła rozczarowana klientka. – Czy biali, czy czarni, zawsze tacy sami...

### *Mieszkanie Dymeckiego przy ulicy Mielżyńskiego, nocną porą*

Chciał tu przyjść raz jeszcze, pokręcić się spokojnie i bez presji. Kiedy był w mieszkaniu kilka godzin wcześniej w otoczeniu swojej ekipy i techników, skupił się wyłącznie na tym, co zwykle. Grupa działała automatycznie, wykonywała wyuczone procedury, koncentrując się na zabezpieczeniu śladów, których – jak się szybko okazało – w mieszkaniu nie znaleziono. To znaczy były, ale wszystkie zostawił jego lokator. Mieli natomiast trudności ze wskazaniem czegokolwiek, co świadczyłoby o obecności osób trzecich.

Jędrzej Dymecki prawdopodobnie wiódł życie samotnika. Kaczmarek zdał sobie z tego sprawę bardzo szybko – i niemal tak samo błyskawicznie poczuł się winny. Gdzieś, kiedyś, w dalekiej już przeszłości, urwała się ta niewidoczna nić łącząca niegdyś tych odważnych, młodych ludzi, którzy przy końcu Wielkiej Wojny rzucili się w wir innej służby, wreszcie dla Polski. Im dalej było od chwili stwierdzenia zgonu dawnego kompana, tym więcej komisarz rozmyślał o tamtych błogich dniach czynu, kiedy żaden z nich nie zastanawiał się nad ryzykiem. Byli wtedy młodzi i porywczy i pewnie dlatego nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, ile mogą stracić.

Gdyby wiedzieli, być może niejeden by się zawahał, może nawet cofnął. Ale los tak chciał. Dzięki temu odzyskali kraj. Wywalczyli go, by się nim cieszyć i w nim żyć. Choć w wolnej Polsce żywot wielu z nich miał gorzki posmak.

Z głębokiej kieszeni płaszcza wyjął klucz i przekręcił nim w zamku mieszkania tragicznie zmarłego dawnego przyjaciela. Nie było pilnowane – po dokładnych oględzinach uznał trzymanie przed nim stójkowego za rzecz zbyteczną.

Drzwi lekko zaskrzypiały. Chwilę później znalazł się w ciemnym korytarzu. Zamknął drzwi i stanął na moment w absolutnej ciszy. Opuszczone mieszkanie nadal żyło swoim sekretnym wewnętrznym życiem. Z salonu dobiegał cichy stukot mechanizmu zegara ściennego. W kuchni agregat nadal chłodził wnętrze lodówki...

Nie zapalił światła. Nie chciał, by jego blask w oknie przyciągnął wzrok osób niepożądanych. Nie życzył sobie niepotrzebnej sensacji. Zamiast tego wolnym, posuwistym krokiem, by niczego nie przewrócić, przeszedł z korytarza do gabinetu. Znajdował się on nieco z boku, za salonem i toaletą.

Zdawał sobie sprawę, że w salonie nie ma sensu szukać – niczego tam nie znajdzie. Gdy dokonywali policyjnych oględzin, zauważył, że oficjalny, gościnny pokój denata wprost lśnił czystością. Wydawał się w żaden sposób nieskalany niczyją ingerencją czy przedmiotem pochodzącym z zewnątrz. Wszystko było poukładane w należyтым porządku – od gazet, ułożonych chronologicznie od najstarszej do najnowszej, po skarpety i bieliznę ofiary w szufladach komody. Podobnie zresztą było w niedużej łazience. Na półkach nad umywalką panował nienaganny porządek, do którego zamięłowanie denat wyniósł zapewne jeszcze z wojska. Jeśli chciał, by te odwiedziny incognito w mieszkaniu zmarłego miały jakikolwiek sens,

musiał się siłą rzeczy skoncentrować na jego gabinecie. Komisarz zwyczajnie nie miał czasu, by w trakcie oględzin drobiazgowo zapoznać się z zawartością szuflad biurka, wczytać w zgromadzone na blacie teczki z korespondencją związku powstańców czy pobuszować w zakamarkach biblioteczki Dymeckiego. Dlatego opuszczając jego mieszkanie późnym popołudniem, obiecał sobie, że tu wróci. Teraz tę obietnicę realizował.

Gabinet był właściwie gabinecikiem – pokój miał nie więcej niż osiem metrów kwadratowych. Liczne półki i zarys biurka bynajmniej nie zaskoczyły Kaczmarka. Zanim zapalił światło, podszedł do niedużego okna i zaciągnął szczelnie kotarę.

Kto i czego szukał w kieszeni płaszcza Dymeckiego, gdy ten już nie żył? – to pytanie kołatało w głowie komisarza, gdy zabierał się do szczegółowego przejrzania dokumentów spoczywających na biurku. Leżały w kilku teczkach, których odręcznie naniesione tytuły wskazywały, że to pisma związane z kombatantami powstania. Nie zniechęcił się tym. Usiadł w fotelu, w którym jeszcze poprzedniego dnia siedział denat, i zaczął drobiazgową lekturę.

Szybko odkrył, że nie tędy droga. Pierwsze dwie teczki zawierały bowiem korespondencję Dymeckiego, wiceprezesa związku powstańców, z wojewodą i prezydentem miasta w sprawach zapomóg dla dawnych bohaterów i pomocy w organizacji różnych inicjatyw patriotycznych. Trzecia pełna była zdjęć z życia związku, a w czwartej znalazł najświeższe prasowe wycinki na temat jego działalności. Przejrzał je pobieżnie, ale tylko po to, by utwierdzić się w przekonaniu, że na blacie biurka nic istotnego dla śledztwa nie znajdzie.

Schylił się więc i sięgnął do pierwszej, najwyższej z szuflad biurka Dymeckiego. Na jej dnie znalazł kilka złożonych w czworo egzemplarzy „Kuriera” i „Dziennika Poznańskiego”. *Ruch budowlany w Gdyni* – rzucił

mu się w oczy tytuł. Dymecki podkreślił go ołówkiem. Dlaczego? Z lektury niedużego tekstu trudno było to wywnioskować. Autor artykułu zachwalał tempo budowy nowych domów w dynamicznie rozwijającym się porcie, polskim oknie na świat. Młode miasto przyciągało coraz więcej prywatnych inwestorów z innych części kraju.

Westchnął i odłożył gazety, zasunął pierwszą z szuflad i chwycił za rączkę drugiej, środkowej. Znalazł w niej jakąś mapę. Gdynia! Znowu! To chyba nie przypadek?

Zaintrygowany rozłożył barwną płachtę mapy na biurku. Po prawej zobaczył błękit Bałtyku, po lewej – zabudowane i puste parcele wzdłuż niedawno wytyczonych ulic. Czyżby Jędrzej chciał się przenieść do Gdyni? Ale po co? Stać go było na zakup ziemi i budowę domu nad morzem? A może tylko robił wstępne rozeznanie?

Tak czy owak, Kaczmarek uznał, że powinien sprawdzić ten wątek. Przyjrzał się uważnie mapie w poszukiwaniu śladów poczynionych piórem lub ołówkiem, ale rozczarował się – nic takiego nie znalazł. Złożył więc plan nadmorskiej perły odrodzonej Rzeczypospolitej i schował go w szufladzie. A potem chwycił za rączkę ostatniej, najniższej z szuflad.

Niespodziewanie stawiała opór.

Nie chciał się włamywać siłą, więc spojrzął uważnie wokół siebie. Na biurku klucza nie było. Gdzie Dymecki mógł go schować?

Wzrok komisarza padł na metaliczne pudełko połyskujące na półce naprzeciwko biurka. Pozornie było ukryte, wciśnięte między książki – ale odbicie sztucznego światła świetnie wyeksponowało jego srebrną pokrywę.

Wstał zza biurka i chwycił za pudełko. Jest! W środku opakowania po wykwinnych czekoladkach znalazł filigranowy wytrych do szuflady.

Usatysfakcjonowany, z trudem ponownie ulokował się w fotelu za biurkiem i przekręcił kluczyk w niedużym zamku. Jego okrągła twarz

nabiegła purpurą, gdy schylił się nad najbardziej strzeżoną szufladą biurka.  
Zaraz potem na obliczu policjanta odmalowało się totalne zaskoczenie.

### *Hotel Bazar, tej samej nocy*

Szapsel Rotholc był zmęczony jak pies treningiem w Hali Reprezentacyjnej Międzynarodowych Targów. Trener Stamm dał im ostry wycisk, zmuszając do ciągłego sparowania między sobą. Chciał, żeby poczuli atmosferę meczu, weszli między liny ringu, na którym za dwa dni stoczą ważny, prestiżowy pojedynek z Niemcami. Sam stał nieco z boku, obok ringu, w tym swoim charakterystycznym cienkim swetrze i szalu wokół szyi, rzucając od czasu do czasu konkretne uwagi:

– Szapsio, garda wyżej! Wyżej, bo jak nie, to ci Spannagel obije tę twoją piękną buźkę! O, teraz dobrze! Tak jest! I lepsza praca nóg! Szerzej, szerzej! No, może jednak dotrwasz do ostatniego gongu!

– Ja tak, ale Niemiec nie! – odkrzyknął w pewnym momencie Szapsel, rozjuszony docinkami trenera.

Teraz, kiedy wziął już prysznic w hotelu i siedział w sportowym dresie z orłem w saloniku prasowym, przeglądając prasę – co zresztą bardzo lubił – jego myśli znowu poszybowały ku przyszłemu przeciwnikowi. Los zesłał mu niebywałą okazję. Mógł się odegrać, odwdzińczyć szwabom za to wszystko, co robią z Żydami w Niemczech. Od swojej dalszej rodziny z Berlina wiedział, że sytuacja stawała się dramatyczna. Ograniczenia, kontrole, zajęcia mienia – wszystko to źle wróżyło na przyszłość. Rozpętana w Niemczech awantura pod hasłem „Żydzi to pasożyty” spowodowała, że krewni Szapsela zaczęli się zastanawiać nad wyjazdem do Polski. Ale ciągle jeszcze nie podjęli decyzji.

Wygram dla nich – pomyślał Rotholc. Zaatakuję Spannagela już od pierwszej rundy i nie dam mu rozwinąć skrzydeł. Zaskoczenie – oto czym go załatwię!

Zdawał sobie sprawę ze swoich braków kondycyjnych spowodowanych niedawnym przeziębieniem, które zwalczył tuż przed wyjazdem do Budapesztu. Dlatego zdecydował, że w pierwszych dwóch rundach da z siebie wszystko, a trzecią po prostu będzie kontrolował. Był przekonany, że to doskonały plan na pewnego siebie Niemca.

Sięgnął znowu – tak jak rano – po leżący na stoliku „Kurier Poznański”, tyle że po wydanie wieczorne, i zaczął wertować gazetę w poszukiwaniu wiadomości sportowych. Ich trening na pewno był śledzony przez dziennikarzy, ciekawe, co też dzisiaj napisali...

Nie dotarł jednak do kroniki wydarzeń sportowych, bo jego uwagę przykuł tytuł na czwartej stronie. *Gdyńskie życie żydowskie* – przeczytał zaintrygowany. Lektura dalszych akapitów z miejsca podniosła mu ciśnienie. Korespondent „Kuriera” donosił bowiem w sensacyjnym tonie o żydowskim piśmie, które zaczęło się ukazywać w Gdyni. Jak wynikało z relacji dziennikarza, gazeta powstała w celu „obrony żydowskich interesów”, zagrożonych przez „wzmagającą się propagandę antysemityczną”.

*Dla każdego patrzącego na ustawiczny napływ Żydów do Gdyni jasne jest, że nie o obronę tu chodzi, lecz o opanowanie całego życia nad morzem – donosił korespondent „Kuriera”. – Żydzi usadowili się tu już tak mocno, że nie ma niebezpieczeństwa dla nich, lecz odwrotnie: Polacy i wszyscy inni uginają się pod silnym naporem Żydów.*

Rotholc zacisnął nerwowo pięść, gniotąc stronę gazety. W artykule reprodukowano grafikę z opisywanego żydowskiego pisma, na której widniały dwie polskie flagi z wpisanymi w nie gwiazdami Dawida.

*Widocznie dla „obrony” interesów żydowskich jest im potrzebna nowa flaga polska, która zamiast orła polskiego będzie mieć gwiazdę możeszową – konkludował dziennikarz. – Przeciwno takiej „obronie”, wyrażającej się w wyciskaniu żydowskiego piętna na wszystkim, co zbudowała polska ręka nad Bałtykiem, musi społeczeństwo polskie wystąpić zdecydowanie.*

Szapsel nie doczytał artykułu do końca. Zamiast tego zmiął gazetę i cisnął do kosza.

I ja mam ich reprezentować? – pomyślał. Ich i ich plugawe gazety? W czym oni się różnią od Niemców? Tylko jeszcze nie zamykają nas w obozach...

Ze smutkiem spojrzął na białego orła wyhaftowanego na piersi.

*Znowu kamienica przy Mielżyńskiego, w środku nocy*

Na dnie szuflady leżała nieduża srebrna broszka w kształcie węża spletanego w małą piramidę. Lekko zaśniedziała, sprawiała wrażenie, jakby spoczywała w tym miejscu co najmniej od czasów cesarza Wilusia<sup>10</sup>. W słabym świetle była ledwo widoczna, ale Kaczmarek jej nie przeoczył. W pierwszym odruchu chciał po nią sięgnąć, ale w porę opanował pokusę, by poczuć jej chłód w palcach.

Broszka u Dymeckiego? U tego zaprzysiężonego starego kawalera? Co ona tu robi, do jasnej cholery?

W jednej chwili poczuł uderzenie gorąca. Było to nieprzyjemne uczucie, podobne do tego, jakiego doświadcza człowiek odkrywający coś, czego się nigdy nie spodziewał, a co w znaczący sposób mąci dotychczasowe wyobrażenia o dawnym przyjacielu. I choć odnalezienie damskiej broszki o niczym nie przesądzało, komisarz zdał sobie nagle



sprawę z tego, że być może wiedział o Dymeckim o wiele mniej, niż wcześniej sądził.

A jeśli to tylko zwykła rodzinna pamiątka? Coś, co pozostało mu po matce? Albo po dawnej niespełnionej miłości?

Nie mógł tego wykluczyć. Wydawało mu się to nawet więcej niż możliwe. Gdzie, jakim cudem Jędrzej, człowiek dotychczas od kobiet stroniący, miałby nagle wejść w jakąś zażyłą relację?!

Czy jednak rodzinną pamiątkę zamykałby w szufladzie na klucz, schowany w dodatku nie wiadomo przed kim? Skoro był starym kawalerem i żył od zawsze sam, dlaczego w ogóle zamknął szufladę na klucz? Przecież poza broszką nie było w niej nic innego...

Zaintrygowany, schylił się raz jeszcze nad ostatnią skrytką biurka zmarłego przyjaciela, by upewnić się, czy rzeczywiście poza broszką nic w niej nie ma. Kiedy nabrał tej pewności, sięgnął do kieszeni po świeżą chustkę, którą wepchnęła mu tam rano żona, rozłożył ją, a następnie chwycił od spodu trzema palcami. Dopiero potem dotknął – przez materiał – srebrnego cacka i je podniósł.

Było lekkie, nabrał nawet wątpliwości, czy na pewno odlano je ze srebra. Kiedy spojrział na nie pod światło, dostrzegł drobne oczko gada. Przez otwór wielkości szpicy igły na krótki moment rozbłysła złowroźnie żółta kropka.

– Oko diabła, jak Boga kocham – mruknął do siebie Kaczmarek.

Pokusa przyzywania Najwyższego była zbyt mocna.

Zniesmaczony, zwinął dopiero co ujawniony precjoz w chustkę i włożył delikatnie do kieszeni spodni.

Oddam Aniole do analizy – uznał. Technik z Prezydium Policji z pewnością wyciągnie z tego, co trzeba...

## *Nieopodał, hotel Monopol, kwadrans później*

Cały czas miał w oczach przysadzistą sylwetkę mężczyzny w płaszczu przypominającego tajniaka. I od powrotu do hotelu prześladowała go myśl, że to nie mógł być przypadek. To, że los zetknął ich już drugi raz tego samego dnia.

Kim jest ten gruby facet? Policyjnym szpiclem? Tajniakiem? Detektywem? A może oficerem polskiego kontrwywiadu? Wszystkie cztery możliwości wydawały mu się prawdopodobne. I wszystkie powodowały, że rósł w nim niepokój. Niewinna podróż do Posen zaczynała się komplikować.

Choć w swoim życiu bywał już w sytuacjach ekstremalnych, zwłaszcza w okopach Wielkiej Wojny, nigdy nie zaznał strachu. A jednak teraz, w pozornie niegroźnej sytuacji, jego puls podejrzenie przyspieszył. Było w tym wszystkim coś dziwnego. Coś, co trudno mu było wytłumaczyć.

Od razu pomyślał o swojej poprzedniej wizycie w tym cholernym mieście. Pamiętał ją doskonale. Trzy lata temu przyjechał do Posen z tajną misją, która omal nie została zniweczona przez wścibskiego Polaka, zapewne szpicla, nieodstępującego go na krok. Potraktował go wtedy żelaznym łomem. Nigdy jednak nie sprawdził, czy skutecznie wyeliminował natręta. Do tej pory nie sądził, by ta wiedza była mu do czegoś potrzebna. Być może to był błąd – uznał, siadając na łóżku. Może powinien spodziewać się kłopotów i... odwetu?

Położył się na poduszce, podkładając ręce pod głowę. Na suficie nad sobą zobaczył rdzawy zaciek. Jego kształt przypominał mu jajowaty granat obronny.

Muszę być bardziej ostrożny – uznał, zamykając oczy.

Tej nocy nie spał najlepiej.

Wcale nie z powodu zbliżającego się meczu z Polakami.

---

8 Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego – tajna polska organizacja niepodległościowa, która przygotowywała powstanie wielkopolskie.

9 *Polacken* (niem.) – pogardliwie: Polaczki.

10 Wiluś (gwara poznańska) – zdrobniałe określenie cesarza Wilhelma II, ostatniego z Hohenzollernów na tronie niemieckim, abdykował w 1918 roku.

# NA BEZRYBIU I RAK RYBA



### ***Niemiecka swastyka zwycięża pornografię***

*W wiedeńskim tygodniku „Schöne Zukunft” dr Wiedemann opisuje, jak dzisiejsze Niemcy toczą walkę z pornografią. Można mieć zastrzeżenia dla obecnego niemieckiego reżimu, jednakże trudno odmówić mu słuszności w przedsięwziętej energicznej walce z pełną błota i brudu moralnego lekturą. [...] Nic dziwnego, że wśród pornografistów – w wielkiej mierze Żydów – zapanował nieopisany popłoch. Konfiskaty odbywały się w iście amerykańskim tempie. [...] Czyż nie należałoby walczyć tak z pornografią w Polsce? Jak przedstawia się sprawa pornografii u nas w Poznaniu? Od niedawna zjawily się nieznane dotychczas na bruku poznańskim pisma typu pornograficznej „Warszawianki”, miesięcznika „wytwornego” „On i Ona”, wreszcie ostatnio „Za parawanem”. Czyżby puszczali je w obieg Żydzi, nie mogąc uprawiać swego procederu w Niemczech?*

*„Kurier Poznański”, 27 kwietnia 1934*

*Prezydium Policji przy ulicy Ratajczaka, piątek, 27 kwietnia 1937 roku,  
wczesnym rankiem*

– A więc powiadasz, Biniu, że Jędrzej Dymecki został otruty?

Awansowany dopiero co na inspektora Zygfryd Kayser wyjął z szuflady fajkę z czereśniową główką francuskiej firmy Ropp i zaczął ubijać ją tytoniem marki Muszkatele. Bezpośredni przełożony komisarza czynność tę lubił ponad wszystko. No, może z wyjątkiem małej chłodnej anyżówki, serwowanej w nieodległej Arkadii. Gdzie zresztą zaglądał też na bilard.

– Czy stary Marciniak ma absolutnie pewne dane, że to był arszenik? – dopytał Kayser, ciągle skoncentrowany przede wszystkim na tym, by jak najszybciej wyekspediować w przestrzeń powietrzną swojego gabinetu rudą chmurkę dymu.

Chwilę później rozległ się dźwięk tarcia zapalniczki o draskę, a potem syk wznieconego na końcu zapalniczki ognia. Na twarz inspektora wypłynął od razu błogi uśmiech, zwiastujący najwyższy stan szczęśliwości. Nic dziwnego: pod okadzonym nikotyną sufitem zawisł właśnie pierwszy tego dnia tytoniowy cumulus.

– Tak wynika z analizy toksykologicznej – powiedział Kaczmarek, cierpliwie czekając, aż Kayser przestanie zajmować się swoją ulubioną zabawką. – Dawka, jaką otrzymał Dymecki, powaliłaby słonia.

– Ktoś go bardzo nie lubił – mruknął Kayser i posłał w górę kolejny obłok dymu, przypominający dla odmiany warstwowego cirrostratusa. – Jakież hipotezy?

Kaczmarek odszedł od okna i usiadł po przeciwnej stronie biurka szefa.

– Na razie brakuje solidnych punktów zaczepienia. Sąsiedzi zgodnie przyznają, że Dymecki wiódł żywot samotnika, żeby nie powiedzieć pustelnika. Żadnych wzmianek o dziwnych znajomych czy kobietach. Żadnych. A przynajmniej nikt nic nie słyszał.

– Gospodarz domu?

– Wyjątkowo wścibska kobieta. Na pewno wiedziałyby, gdyby Jędrzej miał jakąś kochankę.

– A twoim zdaniem miał?

Kaczmarek zawahał się z odpowiedzią.

– Do wczoraj nigdy bym nie przypuszczał – zaczął ostrożnie. – O Dymeckim krążyły raczej inne głupie plotki

– Jakie plotki?

– Że woli mężczyzn. To znaczy... – Komisarz zrobił się nagle czerwony jak indyk. Niezręcznie mu było relacjonować niesprawdzone pogłoski o tragicznie zmarłym koledze. W dodatku Kayserowi, zatwardziałemu staremu kawalerowi jak Dymecki. – To znaczy nigdy nie dał powodu, by tak twierdzić. Ale od małego, od skautów, obracał się w środowisku mundurowych mężczyzn w różnym wieku. Ktoś chyba mu nieprzychylny puścił famę, że bardzo mu to odpowiada. Nawet więcej niż bardzo. Oficjalnie nikt nigdy tego nie potwierdził, ale plotka już do niego przylgnęła.

– To czemu zmieniłeś zdanie w kwestii ewentualnej kochanki denata? – Kayser sprawiał wrażenie autentycznie zaintrygowanego.

– Bo znalazłem coś podczas rewizji mieszkania.

– Co?

– W szufladzie jego biurka leżała nieduża broszka.

– O!

– Srebrna, w kształcie węża. Oddałem ją przed godziną Aniole do analizy pod kątem ewentualnych odcisków.

Kayser zakrztusił się nagle zbyt dużym haustem dymu i zakaszał nerwowo, a jego twarz nabiegła czerwienią.

– W kształcie węża... – wyszeptał autentycznie przejęty. – Hm... A ty wiesz, Biniu, jaka jest symbolika węża?

Kaczmarek spojrzał na szefa sceptycznie.

– W Biblii to symbol grzechu czy też szerzej zdrady – odezwał się niechętnie.

Szczerze mówiąc, czuł, że wchodzi na grząski grunt. Na grunt, po którym nigdy nie stąpał zbyt pewnie. Dla niego liczył się konkret, materialny dowód. Niespecjalnie lubił doszukiwać się ukrytych sensów.

– Wąż to w Piśmie Świętym Szatan – skitował jego wypowiedź inspektor, znowu pykając fajkę. – Szatan, który w postaci węża skusił Ewę, by skosztowała owocu zakazanego. Ale wąż to symbol nie tylko sił diabelskich. Starożytni Grecy czy też Rzymianie uważali na przykład węże za duchy opiekuńcze swoich świątyń. W szerszej jednak perspektywie, że się tak wyrażę, wąż – serpentyna – jest zapowiedzią jakiegoś nieładu, chaosu, zburzenia porządku świata. Zdaje się, że od dalekiej przeszłości związane są z nim śmierć i nieśmiertelność, zło i perwersja, ale też grzech, podstęp, sztuki medyczne, a czasem nawet trucizna...

– No proszę, coś zaczyna się nam układać – sarknął komisarz, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Widzę, że szef jest biegły w tych sprawach jak mało kto. Nie wiedziałem...

Kayser, który nie wyczuł w głosie podwładnego ironii, potraktował jego opinię jako wyraz uznania.

– Czytało się co nieco. – Uśmiechnął się lisio. – Tobie, Kaczmarek, też by się przydało.

– Wolę literaturę fachową – odciął się zręcznie komisarz.

Przez grzeczność nie dodał, że bajdurzenie o ukrytych znaczeniach przedmiotów pozostawia cygańskim wróżkom.

– Czy myślimy o tym samym, Zbigniewie? – Oczy inspektora Kaysera rozbłysły niezdrowym światłem. – Czyżby naszego nieboszczyka wysłała w zaświaty jakaś zacna dama?

Tym razem sarkazm w głosie Kaysera był aż nadto wyczuwalny.

– Może – bąknął Kaczmarek, z natury ostrożniejszy w sądach od przełożonego.

Spokoju nie dawały mu kolejne cisnące się na usta pytania: Czy nieznajoma podejrzana zostawiła broszkę celowo? Czy też Dymecki ukrył ją wcześniej bez jej wiedzy?



*Starołęka, na południu Poznania, w tym samym czasie*

Nad horyzontem zawisły brzemienne chmury. Zbierało się na deszcz. Wojciech Kopa z wolna kończył zmiatanie wąskiego chodnika przed swoim skromnym domkiem przy ulicy Bystrej. Z oddali dał się słyszeć świst oślizgłego od smaru parowozu, mozolnie ciągnącego pociąg do Jarocina i Kępna. Od strony ulicy Pochylej, od cmentarza ewangelików, szła w stronę dworca nieznajoma kobieta.

Pewnie spóźniła się na pociąg – pomyślał Kopa, schylając się po metalową szufelkę.

W pozycji klęczącej rzucił w stronę nadchodzącej uważne spojrzenie, wyniesione jeszcze z czasów służby w powstaniu, a potem wojny bolszewickiej. Na froncie zawsze robił za obserwatora, ostatnimi czasy wzrok jednak znacznie mu się pogorszył. Miał jedynie trzydzieści sześć lat, a już nie był w stanie nic przeczytać bez okularów. Nie widział więc dokładnie rysów twarzy zbliżającej się kobiety. Intuicyjnie odnotował tylko, że była dość młoda i chyba ładna. Skłonił lekko głowę, wychowany był bowiem od małego w szacunku do kobiet.

Nieznajoma wykonała podobny gest, nieznacznie zasłaniając przy tym twarz dłonią. Może chciała ochronić się przed natarczywymi podmuchami wiatru?

Wstydliva bestyjka – pomyślał Kopa, wodząc za nią rozmarzonym wzrokiem. I chyba zgrabna. Nóżki, zdaje się, palce lizać...

Wzrok, choć kiepski, pozwolił mu jeszcze na krzepiący wniosek.

Po pustej garbatej uliczce hulał ciepły wiatr, wzniecając tumany kurzu. Szara chmura jak na złość opadła na dopiero co zamieciony przez Kope pasek chodnika. Zdenerwował się, wybity z przyjemnego zamyślenia.

– Dawniej to było... – mruknął, schylając się ponownie po szuflę. Kiedy wracali z wojny bolszewickiej, powabne kobiety ciągnęły do nich, jak pszczoły do miodu... – Ech! – westchnął tylko, stęknął i wprawnym ruchem omiół znowu pasek chodnika przylegającego do jego posesji.

Gdyby tylko mógł poznać kobietę taką, jak ta przechodząca tędy przed chwilą... Życie z powrotem nabrałoby sensu.

### *Znowu Prezydium Policji, dwie godziny później*

Aspirant Grzegorz Anioła, technik poznańskiej komendy, nie sprawiał wrażenia człowieka zadowolonego z rezultatów swojej pracy. Kaczmarek dostrzegł to od razu, zbyt dobrze znał swojego podwładnego.

– Zupełnie nic? – zapytał wprost.

– Jeśli chodzi o odciski palców, to nędza – przyznał Anioła. – Są tylko jego, zresztą słabe.

– A inne ustalenia? Jakież wnioski?

Aspirant westchnął ciężko, jakby właśnie otrzymał zadanie wrózenia z fusów.

– Odlew wykonany jest rzeczywiście ze srebra, ale niewysokiej próby. Robota wygląda na chałupniczą, raczej wątpliwe, by odlano go u któregoś z jubilerów w Poznaniu. Pochodzi sprzed dwóch lat, góra trzech. Tak przynajmniej twierdzi Wichniarek z naszego laboratorium.

– Coś jeszcze?

– Nie wiem, szefie, czy powinienem to panu mówić... – zaczął nieśmiało Anioła.

– No?

– Czy jest pan komisarz pewny, że to dowód w sprawie? Broszka jak broszka, mogła być w posiadaniu denata zupełnie przypadkowo. A może to

rodzinna pamiątka? Skoro tak pilnie jej strzegł...

Kaczmarek uśmiechnął się pod nosem. Gdyby powiedział to ktoś inny, być może zdenerwowałby się na taką sugestię, ale akurat Aniołę bardzo lubił. Z młodym technikiem przeszli już przez niejedno śledztwo. Brali nawet udział w akcji z użyciem broni pod niemiecką granicą.

– Biorę pod uwagę i taką możliwość, Grzesiu – odpowiedział życzliwym tonem, co nie zdarzało mu się często w relacji z podwładnymi. – Sam wiesz, jak jest. Na bezrybiu i rak ryba. Łapię każdy trop, jaki się trafia. I każdy sprawdzam. Taka już moja psia dola...

Anioła skinął głową na znak, że świetnie to rozumie. Bał się zadać to pytanie, a kiedy już to zrobił, poczuł ulgę. W gruncie rzeczy dobrze mu się pracowało z dobiegającym czterdziestki śledczym. Nawet jeśli Kaczmarek bywał czasem szorstki i porywczy. Anioła wiedział, że wtedy lepiej było po prostu zejść mu z drogi.

– Ten wąż... – przypomniał sobie nagle komisarz. – Nie ma na nim żadnej inskrypcji? Znaków? Symboli?

– Obejrzałem go dokładnie pod lupą. Nic takiego nie stwierdziłem.

Mam nadzieję, że to jednak nie jest ślepy tor – pomyślał smutno Kaczmarek. Nie dysponował przecież żadnym innym punktem zaczepienia.

– A Borowczak? Jest u siebie? – zapytał Aniołę.

– Tak, panie komisarzu.

– Zawołaj go do mnie, tylko szybko.

– Już się robi!

Aspirant wybiegł z gabinetu Kaczmarka. Chwilę później komisarz usłyszał stukot jego butów po schodach prowadzących w dół, na parter, a minutę później – równie pospieszne kroki. Starszy przodownik, szczupły, z zadbanymi, zaczesanymi na bok blond włosami, stanął przed Kaczmarkiem na baczność.

– Spocznij! – rzucił do niego komisarz, kładąc mu jednocześnie dłoń na ramieniu. – Słuchaj, Borowczak. Mamy znowu w Poznaniu tego gagatka, który zaprawił cię wtedy, w trzydziestym pierwszym, w bramie na Piekarach.

Starszy przodownik drgnął, mimowolnie chwytając się prawą dłonią za skroń. Zdrowo wtedy oberwał paskudnym ajzolem<sup>11</sup> i przez długi czas leżał na granicy dwóch światów w szpitalu przy Szkolnej. Jego powrót między żywych mimo pęknięcia czaszki i wstrząsu mózgu graniczył z cudem.

– Co on tu robi, szefie? – odezwał się rozedrganym głosem.

– To samo – mruknął Kaczmarek. – Znowu przyjechał ze swoimi objmordami, żeby odegrać się za tamtą porażkę. Zresztą pewnie nie tylko po to.

– Chce szef, żebym...

– Nie, nie, kolego! Nie tym razem! – zaproponował gwałtownie komisarz. – Wezwałem cię po to, żebyś potwierdził, że to właśnie jego śledziłeś wtedy, zanim nie potraktował cię brechą.

Obrócił się w stronę biurka i wziął z niego tekturową teczkę z fotografiami wykonanymi z ukrycia przez policyjnego obserwatora wczesnym rankiem pod hotelem Monopol, kiedy ekipa niemieckich pięściarzy udawała się na trening. Otworzył ją przed Borowczakiem. Obaj zobaczyli mocno zbudowanego Aryjczyka pod pięćdziesiątkę, o dobrze zarysowanej, masywnej szczęce. Elegancka marynarka, w którą był odziany, wcale nie łagodziła ostrości jego rysów.

– Tak, to on – powiedział cicho Borowczak, opuszczając w końcu dłoń. – To jego śledziłem wtedy, kiedy w knajpie na Ogrodowej spotkał się z jakąś kobietą.

– Pamiętam, pamiętam. – Kaczmarek zamknął teczkę i ją odłożył. – Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że tamto zadanie może skończyć się dla

ciebie tak dramatycznie...

To Kayser nalegał, by śledzić Niemca. Ubzdurał sobie, że ten ma coś wspólnego z niesławnym porwaniem profesora Krygowskiego – przypomniał sobie Kaczmarek.

– Ale to stare dzieje, teraz mamy nowy rozdział. I musimy zrobić wszystko, by szwaba ukarać – dodał.

– Ale jak, panie komisarzu? Na jakiej podstawie? Moje zeznania to za mało. Zresztą... nie widziałem tego, kto mnie zaatakował.

– Widziałeś jednak, jak Rüdiger i tamta lala wchodzą do bramy, w której dostałeś po głowie, prawda?

– Prawda.

– No to już coś mamy – mruknął Kaczmarek.

W duchu przyznawał rację Borowczakowi, ale nie zamierzał się poddawać. Nie po to w końcu pofatygował się ostatnio na dworzec.

– A ta kobieta... Jak wyglądała? Pamiętasz?

Borowczak zmarszczył czoło.

– Była naprawdę ładna. Czarne włosy, brwi, pieruńsko zgrabna. Wyglądała jak aktorka albo piosenkarka.

– Aktorka, powiadasz?

– Wszyscy mężczyźni na ulicy się za nią oglądali.

– Ciekawe... – syknął Kaczmarek.

Nie wiedział jeszcze, jak się do tego zabrać, ale pamiętał, że ekipa niemiecka zarezerwowała pokoje w Monopolu do poniedziałku. Czasu mu na pewno nie zabraknie...

– Borowczak?

– Słucham, panie komisarzu.

– A nie kręć się, proszę, w najbliższych dniach w okolicy placu Gwarneho.

Starszy przodownik przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Sprawiał wrażenie niesfornego uczniaka przyłapanego właśnie na niedobrej myśli.

– Tak jest – zgodził się niechętnie.

Zrozumiał, że jego szef postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

### *Hala Reprezentacyjna Międzynarodowych Targów Poznańskich, około południa*

Wyciskał z nich ostatnie poty. Poprzednia porażka zapadła mu mocno w pamięć, ciągle w nim jeszcze tkwiła, jak drzazga pod paznokciem. Przyjechał do Posen z mocnym postanowieniem zatarcia wspomnienia sprzed trzech lat. Zbyt pewni byli wtedy wygranej i Polacy całkowicie ich zaskoczyli. Przegraliśmy właściwie na własne życzenie – powtarzał w myślach. Wynik 6 : 10 był najniższym wymiarem kary. Nadeszła pora, by zmazać tamtą hańbę.

Rüdiger z dumą przyglądał się świetnie umięśnionym zawodnikom ze swastykami na piersiach, sparującym zawzięcie ze sobą. Werner Spannagel był jego tajną bronią. Niespełna dwudziestopięcioletni wirtuoz wagi muszej gwarantował mu zwycięstwo. Owszem, na olimpiadzie w Los Angeles mu nie poszło, odpadł w ćwierćfinale, ale od tamtego czasu poczynił ogromne postępy. Na pewno poradzi sobie z tym polskim Żydem. Rotholc, co prawda, przywiózł z ostatnich mistrzostw kontynentu w Budapeszcie brąz, ale zdobył go po walkowerze Rumuna, z którym miał walczyć. Spannagel na pewno spuści Rotholcowi łomot!

Był też pewny triumfu Ziglarskiego, w końcu wicemistrza olimpijskiego, a także Kästnera i Schmedesa. To na nich oparł kadre,

w każdej chwili mógłby postawić na nich duże pieniądze. Wierzył też, że i reszta da sobie radę. W końcu nie uważał Polaków za potentatów boksu. Może i podciągnęli się w ostatnich latach, ale to nadal europejscy średniacy. Przy solidnej koncentracji można z nimi wygrać nawet na ich terenie.

Stał przy linie z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, pokrzykując na swoich podopiecznych niczym oficer na piechurów przed wyskokiem z okopów do ataku. Gdy zabrakło prawdziwych męskich podniet, boks był dla niego doskonałym erzacem. Wojna przeniosła się z frontu na ring – i ta zmiana prawdopodobnie ocaliła jego psychikę, roztrzaskaną po wielkiej klęsce. Boks okazał się zresztą świetną szkołą charakterów. I perfekcyjnie zakamuflowaną kuźnią nowych Niemiec. Areną krzewienia nowych idei i wartości. Miejscem podnoszenia się z kolan, otrząsania z upokorzenia i siłą wtlaczanego Niemcom wstydu. Czuł, że idą nowe czasy. Już wszyscy wokół inaczej ich traktują. Z należnym szacunkiem. Z respektem. Choć jeszcze nie ze strachem. Nie z trwogą. Ale na to przyjdzie czas. Poczekajmy. Jeszcze nasi wrogowie zbledną z przerażenia... Jeszcze nadejdzie czas wyrównywania rachunków. Także z Polakami.

– Ej, Hans! Przyłóż się! – Rüdiger nie oszczędzał gwiazdy wagi koguciej, Ziglarskiego, zdawał sobie sprawę, że zespół dobrze to odbiera. – Bijesz dziś jak stara baba!

Ziglarski nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko kwaśno. Wiedział, że te pozorne połajanki szefa to element pewnego rytuału. Rüdiger źle by się czuł, gdyby nie powiedział coś równie głupiego jemu albo Spannagelowi.

– Szefie, trzeba by kończyć, bo chłopaki się jeszcze przegrzeją – zwrócił uwagę trenerowi jego asystent, podsuwając mu pod nos zegarek.

– *Donnerwetter!*<sup>12</sup> – zaklął dyktator niemieckiego boksu. – Masz rację, bracie! *Genug, meine Herren, genug! Für heute genug!*<sup>13</sup>

Zaraz potem ruszył z ręcznikiem do spoconego Ziglarskiego. Największa gwiazda jego kadry w żadnym przypadku nie mogła się przeziębicić.

### *Znowu Prezydium Policji, trzynasta*

Komisarz miał sporo czasu na przemyślenie kilku kwestii. Przede wszystkim zdecydował, że dyskretnie rozpyta w związku kombatanckim Dymeckiego o jego sprawy osobiste. Niewykluczone przecież, że pozorny stary kawaler mógł okazać się człowiekiem emocjonalnie zaangażowanym. Być może ktoś wiedział coś, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę tajemniczego zejścia Dymeckiego z tego świata. Każda poszlaka czy trop były warte próby.

Ponadto Kaczmarek wezwał do siebie podkomisarza Łysiaka i nakazał mu raz jeszcze udać się z ekipą techniczną do mieszkania denata, by zbadać je dokładnie pod kątem jakichkolwiek śladów obecności kobiety. Skoro on w krótkim czasie i w niesprzyjających godzinach nocnych był w stanie znaleźć broszkę, niewykluczone, że za dnia śledczy odkryją coś więcej, co uprawomocniłoby hipotezę o obecności przedstawicielki płci przeciwnej w niezwykle hermetycznym dla osób postronnych życiu (i mieszkaniu) wiceprezesa.

Gdy Łysiak wyszedł, komisarz wywołał telefonicznie zaufanego przodownika Zygmunta Gruszeckiego. Ostrzyżony na zapałkę chudy mężczyzna, przypominający bardziej więźnia niż policjanta, stawiał się bez zbędnej zwłoki przed Kaczmarkiem. Komisarz spojrzał mu głęboko w oczy.

– Słuchaj, Zyguś – odezwał się poważnym tonem. – Mam dla ciebie zadanie specjalne. Pamiętasz tamtą sprawę, kiedy Borowczak oberwał w łeb i o mały włos nie przekręcił się na tamtą stronę?



Gruszecki drgnął.

– Oczywiście, panie komisarzu! Chodzi o tego Niemca, co zwiął do Rajchu, zanim go aresztowaliśmy?

– Dokładnie o niego. Znowu jest w Poznaniu, bo znowu mamy mecz z Niemcami. Mieszkają w Monopolu, jak trzy lata temu. A twoje zadanie to śledzić jego ruchy. O! Tu jest jego zdjęcie! Masz za wszelką cenę dowiedzieć się, co, gdzie i kiedy robi, a zwłaszcza, z kim się spotyka. I meldować mi o tym regularnie.

– Przyskrzynimy go, szefie? – Przewodnik z miejsca zapalił się do działania.

– Mam nadzieję, Zyguś. Ale nie od razu. Jak wiesz, nie mamy żadnego twardego dowodu. Dlatego trzeba znaleźć jego słaby punkt. Ale to już moje zmartwienie...

– Od kiedy?

– Od zaraz – rozkazał Kaczmarek. – Umówmy się, że codziennie o dwudziestej drugiej będziesz dzwonił na mój domowy numer. A rano widzimy się o ósmej w moim biurze.

– Tak jest!

– No to wieczorem czekam na twój pierwszy telefon.

– Będę dzwonił, szefie.

– Do roboty, Zyguś!

Gdy Gruszecki opuścił gabinet, komisarz pozwolił nieoczekiwanie, by jego myśli zajęło prywatne życie. Pomyślał o żonie. Nie układało się im ostatnio najlepiej. Kłótnie wywołane jego późnymi powrotami, pretensje o niezrozumienie natury jego pracy, wzajemne żale i dąsy skutecznie zatruwały im wspólnie spędzany czas wolny. No i ciągle nie mogli się doczekać dziecka. Choć od siedmiu lat byli małżeństwem, a i namiętności między nimi nigdy nie brakowało. Małe kwilące zawiniątko było ich

wspólnym marzeniem, które jednak ciągle nie chciało się spełnić. Może dlatego coraz częściej wybuchali na siebie ze złością...

Czas to zmienić – postanowił.

Usiadł za biurkiem i pochylił się nad „Dziennikiem”. W rubryce „Kina” odnalazł wykaz filmów granych wieczorem w poznańskich kinach. Dawno już obiecał Loni, że weźmie ją na coś nowego. Właściwie mieli pójść już poprzedniego dnia, ale zdarzyła się ta przykra historia z Dymeckim i plany na udany wieczór prysły w jednej chwili jak mydlana bańka. Kaczmarek postanowił, że nadrobią to właśnie dzisiaj.

Zerknął do gazety. W kinie Apollo grali tego wieczoru *Sztukę życia*, w Corso – *Króla cyrku*, a w Europie *Piekło upadłej kobiety*. Pewnie znowu jakiś kicz – skrzywił się. Przesunął więc palcem niżej. Kino Gwiazda zapowiadało film *Pat i Patachon jako strzelcy*, którego tytuł nic Kaczmarkowi nie mówił. Skoro tak, to może poszliby do Metropolisu? Co tam dziś grają? *Zemstę doktora Fu*. To chyba nowy film z Warnerem Olandem... Zapewne sensacyjna historia w sam raz na te dni. Chyba że Lonia będzie wolała *Piekło upadłej kobiety*... Ech, może ją najpierw zapytam.

Gdy sięgał po słuchawkę, rzucił wzrokiem na pierwszą stronę. Dziennikarze donosili o właśnie zakończonej wizycie szefa francuskiej dyplomacji. *Minister Barthou po powrocie z Warszawy: „Polska jest wielkim mocarstwem”* – było entuzjazmem z tytułu informacji.

Kaczmarek mimowolnie uśmiechnął się z przekąsem.

„Wielkim mocarstwem”, dobre sobie! Obyśmy nigdy nie musieli tego sprawdzić – pomyślał.

*Godzinę później, lokal Związków Powstańców Wielkopolskich przy ulicy Ratajczaka*

– Panie komisarzu szanowny, przecież on stronił od kobiet. Jaką kochankę, na Boga? Dymecki?!

Prezes Józef Wituski skrzywił się, jakby postawiono przed nim talerz z przeterminowaną wątrobianką. Albo kazano mu wypić lampkę wytrawnego bordeaux, którego szczerze nienawidził. Wizyta komisarza Kaczmarka związana z niejasnymi okolicznościami zgonu jego byłego zastępcy była dla niego szokiem, a pierwsze pytanie śledczego wprost ścięło go z nóg.

– No, nie wiem... – Komisarz na moment stracił rezon, bo zaskoczenie szefa związku nie wydawało się jedynie teatralnym zagranem. – Może coś mu się w życiu odmieniło? Sam pan wie, mężczyźni w pewnym wieku zaczynają odczuwać różne ciągoty, żeby nie powiedzieć pokusy... Może ktoś z waszych ludzi zauważył ostatnio coś dziwnego w jego zachowaniu? A może komuś się z czegoś zwierzył?

Kaczmarkowi było cholernie niezręcznie drażnić akurat ten temat, ale nie miał wyboru. Z bogatego doświadczenia zawodowego wiedział, że najważniejsze informacje pochodzą często z okruchów doniesień, z półoficjalnych przekazów czy zwykłych pogłosek, a czasem nawet w plotce znaleźć można ziarno prawy.

Prezes Wituski chrząknął znamienne i wywrócił oczyma za szklami okularów.

– Panie komisarzu, no coś pan! – warknął niemal z oburzenia. – Przecież pan znał go chyba nawet lepiej niż ja. Czy naprawdę uważa pan, że nasz drogi Jędrzej zdolny był prowadzić podwójne życie? Jedno na pokaz, a drugie hołdujące prymitywnym namiętnościom? Przecież pan sam nie wierzy w to, o co pyta, prawda?

Kaczmarek zrobił krok w tył, wzruszając w obronnym geście ramionami. To prawda, cała ta hipoteza z sekretnym związkiem

Dymeckiego z jakąś bliżej nieokreśloną kobietą zupełnie nie trzymała się kupy. Dymecki wydawał się komisarzowi mężczyzną niezdolnym do nawiązania romansu. Za młodu był typem służbisty, skoncentrowanego na wykonywaniu rozkazów i karierze w wojsku. Nikt nigdy nie widział u jego boku kobiety, co z kolei wywoływało podejrzenia o jego odmienną orientację.

– Wie pan – odparował prezesowi spokojnym tonem – zbyt długo pracuję w wydziale śledczym, by uprzedzać się do jednych hipotez, a drugie z góry wykluczać. I tak samo jest w tym przypadku. Mam podstawy sądzić, że w jego życiu mogła pojawić się w ostatnim czasie jakaś kobieta. Tyle mogę szanownemu panu prezesowi powiedzieć. I stąd moje pytania, które panu wydają się bezzasadne.

– No... nikt nie mówi, że nie ma pan prawa pytać, panie komisarzu. – Siwy jak gołąb Wituski podniósł się zza biurka, przesłaniając swoją szeroką postacią portret Dmowskiego. – Niemniej jednak wydaje mi się, że akurat to zagadnienie, które pan komisarz poruszył, jest klasycznym ślepy m torem. Znał pan zapewne niewybredne plotki na temat zmarłego...

– Obiły mi się o uszy.

– Rozpuszczali je nasi polityczni wrogowie, niech im ziemia lekka będzie... – mruknął prezes, poprawiając falę białych włosów, które opadły mu na czoło. – I choć prawdy w nich było za grosz, ohydne te plotki na pewno w jakiś sposób odpowiadają na trapiące pana pytanie. W pewnym sensie mogą nawet stanowić gwarancję, że nasz drogi Jędrzej nigdy nie był bohaterem żadnego skandalu. O ile oczywiście myślimy o tym samym, drogi panie komisarzu.

– Ależ oczywiście, oczywiście! – przytaknął natychmiast Kaczmarek.

Chciał jak najszybciej zakończyć tę żenującą rozmowę, ale też przynajmniej osiągnąć cel, w jakim przyszedł do lokalu związku.

– W każdym razie mam do pana prezesa wielce serdeczną prośbę.

– Tak?

– Proszę uprzejmie pana prezesa o uważność. Musi pan wiedzieć, że w prowadzonym przeze mnie śledztwie każda, najdrobniejsza nawet informacja na temat świętej pamięci Jędrzeja Dymeckiego może okazać się bezcenna...

– Rozumiem.

– ...dlatego chciałbym prosić pana prezesa o możliwie delikatne rozpytanie wśród członków waszego związku, czy aby któryś z nich nie zauważył w ostatnim czasie czegokolwiek dziwnego w zachowaniu naszego denata. Czegokolwiek, panie prezesie.

– Tak będzie.

– Zostawiam panu moją wizytówkę z numerem telefonu. Prośbę moją proszę potraktować priorytetowo.

– Czyli dzwonić do pana, jakby co?

– Bardzo bym prosił, panie prezesie. Uszanowanie!

### *Palmarium, Półwiejska 5, wieczorem*

Tego dnia chętnych do powróżenia jakoś zabrakło. Sam stał więc lekko znudzony na posterunku przy drzwiach lokalu, przyglądając się bystro kolejnym wchodzącym doń klientom i klientkom. Mimo że w Poznaniu mieszkał już od pół roku, jego ciemna twarz nadal stanowiła sensację na jednej z najbardziej ruchliwych śródmiejskich ulic. Obserwował więc znowu zaskoczone spojrzenia gości, zwłaszcza kobiet. Do jego uszu dofrunęło też kilka mniej pochlebnych uwag na temat polityki kadrowej właścicieli Palmarium. Udawał jednak, że ich nie słyszał. Jego zadaniem było wabić do lokalu – ale też dbać o porządek. Gdyby doszło do jakichś

aktów przemocy, dobiegający pięćdziesiątki Sandi skrywał pod liberią całą moc atletycznych argumentów, pamiątkę po burzliwym okresie zapaśniczych i bokserskich walk w warszawskim Cyrku Staniewskich. Tam nigdy nie poległ w walce z profesjonalistami, a tu równie znakomicie dawał sobie radę. Mimo wieku ciągle był sprawny i szybki. Może odrobinę gorzej było z kondycją, ale w końcu szefowie Palmarium nie oczekiwali od niego sześciu czy dziewięciu rund z awanturującymi się gośćmi. Działał błyskawicznie i czysto, co właściciele lokalu cenili najbardziej.

Wieczór zapowiadał się spokojnie. Sandi wydobyl z kieszeni fajkę i włożył ją do ust, by dodać sobie szyku. Pod jarzącym się neonem Palmarium wyglądał teraz jak połączenie hotelowego boya najwyższej próby z angielskim dżentelmenem. Nadal jednak pozostawał czujny, życie nauczyło go bowiem, że nic tak nie usypia człowieka, jak nuda.

Z lokalu dobiegły jego uszu pierwsze dźwięki orkiestry. A zaraz potem za jego plecami rozbrzmiały słowa najnowszego filmowego szlagieru samego Bodo:

*Posłuchajcie mej piosenki  
I o litość błagam was,  
Rzewne tony, rzewne dźwięki  
Wzruszą marmur, beton, gład,  
Czy do wyciągniętej ręki  
Wpadnie grosz, czy złotych sto,  
Mnie nie zależy, bądźmy szczerzy,  
Grunt, by jakoś szło!  
Już taki jestem zimny drań  
I dobrze mi z tym, bez dwóch zdań,  
Bo w tym jest rzeczy sedno,*

*Że jest mi wszystko jedno,  
Już taki jestem zimny drań!*

Sandi wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. Lubił Bodo i jego piosenki, czuł z nim jakąś ciepłą, bliżej nieokreśloną więź. Czyżby z racji coraz gorętszych plotek o jego romansie z tahitańską piękną Reri? Sam nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiał. Po prostu lubił słuchać melodii o „zimnym draniu” – ot i cała tajemnica!

Nagle usłyszał odgłosy kłótni dobiegające od strony kuchni. Zrazu ciche, niepozorne, a potem gwałtownie wzbierające na sile. Gdy na ulicę dobiegł brzęk tłuczonych talerzy, Sandi natychmiast wyjął fajkę z ust, wrzucił ją w kieszeń i zdecydowanym ruchem wpadł do lokalu.

Skierował się w lewo, w wąski korytarz wiodący ku kuchni. W półmroku dostrzegł wysokiego, smukłego osobnika o wygolonej do skóry głowie wymachującego nożem i widelcem przed zdezorientowanym szefem kuchni. U stóp awanturnika leżał rozbity talerz z resztkami mielonego.

– I pan to nazywasz kotлетem?! Wolne żarty! Toć to same trociny! To dobre dla psa, ale nie dla człowieka!

Zaatakowany przez klienta tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce nic nie odpowiedział, bo za plecami awanturnika zauważył już potężne jak łopaty koparki dłonie Sama. Sandi chwycił składającego zbyt gwałtowną reklamację klienta pod pachy, a następnie splótł fachowo dłonie na jego karku.

– Co jest! – syknął zaskoczony intruz, daremnie usiłując się uwolnić z uścisku wykidajły. – Puszczaj mnie, ty czarna małpo! Ale natychmiast! Czy ty wiesz, kim ja jestem, do diabła? Jestem Bombka! Pre-zes Konrad Bombka! Stanowczo żądam uwolnieniaaaa!

Przyduszony przez Sandiego prezes nie wiadomo dlaczego wypuścił z rąk sztucę. Sam profesjonalnym nelsonem zmusił intruza do współpracy i wyprowadził go wąskim korytarzem na ulicę.

– Puść mnie, ty czarny draniu! Aaa! Luuudzie, na pomoc! Małpa mnie bije! – darł się obezwładniony mężczyzna.

Nie wskórał jednak wiele, nie znalazł bowiem żadnych obrońców. Chwilę później prezes Bombka wreszcie odzyskał wolność... na bruku Półwiejskiej, daleko za progiem lokalu. Na chudych pośladkach poczuł sążnistego kopniaka.

– Ożeż ty! – syknął rozwścieczony, rozmasowując nadwerężoną szyję i grożąc egzotycznemu wykidajle pięścią. – Odpowiesz mi za to, ty bambusie! Jeszcze się policzymy!

Na usta Sama wypłynął błogi uśmiech. Zignorował gesty byłego już klienta Palmarium, stanął w szerokim rozkroku i podparł się pod boki. Z głębi lokalu do uszu obu mężczyzn dobiegły słowa:

*Już taki jestem zimny drań  
I dobrze mi z tym bez dwóch zdań,  
Bo w tym jest rzeczy sedno,  
Że jest mi wszystko jedno,  
Już taki jestem zimny drań!*

*Schody kina Metropolis, między ulicami Piekary i Ratajczaka, trzy godziny później*

Komentując półgłosem dopiero co obejrzany film, tłum widzów z wolna opuszczał jedno z największych poznańskich kin, należące do kupca Jana Łuczaka. Kaczmarek lubił ten podniecony gwar, znamionujący niedawno



przeżyte emocje. Tym razem nieco się zdziwił, bo *Zemsta doktora Fu* nie okazała się bynajmniej arcydziełem, raczej kolejnym seryjnym produkcyjniakiem z Olandem w roli głównej. Ponieważ jednak nie udało mu się już zdobyć biletów na *Piećlo upadłej kobiety*, musieli z Lonią zadowolić się filmem sensacyjnym na średnim poziomie. Z drugiej jednak strony, nie film był w tym wszystkim najważniejszy. Liczył się wreszcie wygospodarowany, miły wieczór spędzony z żoną. Tym bardziej że przed seansem udało im się zjeść kolację w Palmarium.

Przed nimi żarzyły się teraz światła Palais de Danse, popularnej Palejki. W ogródkach lokalu mimo chłodu siedziały zakochane pary, ciesząc się swoim towarzystwem.

– Usiądziemy? – zapytał Zbigniew, czule przytulając małżonkę.

– Chyba za zimno – odpowiedziała. – Może innym razem? Lepiej wracajmy do domu...

Nagle Longina Kaczmarek coś sobie przypomniała, bo z radości aż klasnęła w dłonie.

– Ale ten bramkarz w Palmarium był pierwsza klasa – powiedziała, uważnie stąpając po stromych kamiennych schodkach. – Usunął tego piniacza szybko i zgrabnie.

Kaczmarek uśmiechnął się tajemniczo.

– A wiesz, że go znam? Tego wykidajkę?

– Niemożliwe! – Lonię przebiegł dreszcz na wspomnienie potężnego czarnoskórego ochroniarza w liberii. – Jak?! Skąd?!

Komisarz przez chwilę milczał, by wzmóc zainteresowanie żony.

– No, gadajże, Biniu! Czemu się ze mną drocysz?!

– Gdzieżbym śmiał! – Znowu nie powstrzymał śmiechu. – No już dobrze. Poznałem go na... wojnie.

– Na wojnie?

– Tak, z bolszewikami. Chyba wiosną dwudziestego. A może latem? Zdaje się, że służył wtedy w wielkopolskiej eskadrze lotniczej.

– Latał na maszynie? – Lonia zrobiła wielkie oczy.

– Raczej przygotowywał naszym orłom obiady – uściślił Kaczmarek.

Spacerem przeszli pośród tłumu pod tablicą zawieszoną nad zachodnim wejściem do pasażu Apollo. „Dałeś mi Boże w swej szczodroblewości, dajże i temu, który mi zazdrości” – brzmiało hasło, które zawisło tu na życzenie właściciela kina Jana Łuczaka, a stanowiło przytyk do jego szwagra, również maniaka kina i znanego kupca, Stefana Kałamajskiego. Cicha rywalizacja szwagrów w biznesie kinowym przyniosła Poznaniowi same pożytki – zmobilizowany przez Łuczaka Kałamajski postawił niedaleko równie nowoczesne kino, o nazwie Słońce.

– Czyli jedziemy do domu? – zapytał Kaczmarek raz jeszcze, przywołując dłonią taksówkę.

– Tak, Biniu – szepnęła do niego czule, przywierając mocniej do jego ramienia. – Czas się nieco rozgrzać, prawda?

Wsiedli do chevroleta i komisarz rzucił kierowcy adres. Małżonkowie rozsiedli się na tylnej kanapie, przytuleni i wpatrzeni w siebie. Szare ściany kamienic na Ratajczaka, a potem na Świętym Marcinie przesuwały się za oknami niczym dekoracje. Nawet nie zauważyli, kiedy samochód zakołysał się na niewielkich garbach zbiegu Świętego Marcina z Podgórną, zostawił po prawej stronie plac Świętokrzyski i smukłe nogawki Księżych Portek<sup>14</sup>, by wjechać w Szkolną i zatrzymać się ostatecznie przed bramą z numerem 10.

Kiedy taksówka przyhamowała, komisarz wypuścił Lonię z objęć i wyskoczył z auta, by otworzyć jej drzwi. Był tak szybki, że uprzedził kierowcę.

– Dziękujemy – powiedział, wciskając mu w dłoń dwa złote.

A potem poprowadził żonę na drugie piętro, otworzył drzwi ich mieszkania i wpuścił ją przodem. Zamknął drzwi, a gdy tylko się odwrócił, już wisiła na jego szyi, wpijając się w jego usta.

Nie zapalali świateł. Lichy półblask z okien położonego naprzeciwko szpitala miejskiego w wystarczającym stopniu oświetlał im drogę do sypialni. Zbigniew, choć zwalisty i potężny, dał się delikatnie popchnąć szczupłej Loni w stronę łóżka – i opadł teatralnie na poduchę, pociągając za sobą swoją miłość.

I właśnie wtedy, gdy ich usta zwały się w namiętym uniesieniu, a jego dłonie przystąpiły do kontemplacji jej pokus, w gabinecie Kaczmarka za ścianą złośliwie zadzwonił telefon.

Co jest? – obruszył się w duchu komisarz, zerkając ukradkiem na zegarek. Dopiero dwudziesta pierwsza, Gruszecki miał dzwonić znacznie później...

– Biniu, daj temu spokój – szepnęła mu do ucha Lonia, rozpinając guziki jego koszuli.

– Kiedy nie mogę...

– Zadzwonią później... Świat się nie zawali...

– Kiedy jednak...

Romansowy nastrój w jednym momencie przegrał z naturą służbisty. Kaczmarek westchnął i delikatnym ruchem wyswobodził się z objęć żony. Lonia obserwowała rozczarowanym wzrokiem, jak jej mąż, potykając się, spieszy do swojego gabinetu. Chwilę później usłyszała charakterystyczny dźwięk zwalnianych widełek telefonu. Na moment w mieszkaniu zaległa absolutna cisza.

– Tak, przy telefonie... – głos komisarza był rozdrażniony, ale jednocześnie czujny. – Że co?! Gdzie? Kiedy? Kto go znalazł?

Longina Kaczmarek, z domu Klupś, opadła twarzą na poduszkę,  
a kąciki jej oczu zwilgotniały.

Zaraz mi powie, że musi gdzieś jechać – pomyślała.

Do diabła z taką robotą!

---

11 Ajzol (gwara poznańska) – żelazny łom.

12 *Donnerwetter!* (niem.) – Cholera.

13 *Genug...* (niem.) – Dostyć, panowie, wystarczy! Na dzisiaj wystarczy!

14 Zwyczajowa w międzywojennym Poznaniu nazwa nadana nieistniejącemu już dziś kościołowi ewangelickiemu św. Piotra z racji jego dwóch bliźniaczych wież.

# ŚMIERDZI SIARKĄ



### ***Wywożę z Polski jak najlepsze wrażenia***

*Kraków (PAT). U kresu swego pobytu w Polsce p. minister Barthou udzielił w Krakowie wysłannikowi PAT specjalnego wywiadu, w którym streścił ogólne wrażenie i wyniki swej wizyty. Wynoszę – powiedział p. min. Barthou – jak najlepsze wrażenia ze swego pobytu w Polsce, jak również z przyjęcia, jakiego doznałem. Trudno mi wypowiedzieć, jak bardzo wzruszyła mnie serdeczność przyjęcia ze strony p. marszałka Piłsudskiego. Odnalazłem u niego tę samą żywość umysłu, tę samą doskonałą orientację w zagadnieniach politycznych, co w roku 1921, gdy miałem sposobność zetknąć się z nim po raz ostatni. [...] Rozmawiał ze mną jak z przyjacielem. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny.*

„Dziennik Poznański”, 27 kwietnia 1934

*Poznań, Starołęka, około północy z 27 na 28 kwietnia 1934 roku*

Nieprzeniknione ciemności kryły południowe krańce miasta. Policyjny fiat 508, prowadzony wytrawnymi ruchami dłoni aspiranta Zygmunta Rogali, dawno już zostawił za sobą przęsła mostu Świętego Rocha i półrolnicze zabudowania Rataj. Po prawej stronie szosy w zagłębieniu terenu sunęły słabo widoczne brunatne wody Warty. Jasno podświetlony kompleks Łazienek Miejskich mignął przez krótki moment po drugiej stronie rzeki, by chwilę później ustąpić miejsca odległym światłom Wildy, wątłym jak siatka gwiazd na niebie.

Jeszcze chwila jazdy po wyboistej drodze i auto wiozące komisarza Kaczmarka i technika Aniołę znalazło się na rozjeździe szosy ratajskiej.

– W lewo! – rzucił do szofera Kaczmarek, który był już kiedyś w tej okolicy. Dobrze znał zwłaszcza pobliski cmentarz ewangelicki.

Rogała posłusznie skręcił we wschodnią odnogę drogi i rychło znaleźli się pośród niskiej, w większości drewnianej zabudowy, przypominającej raczej wieś niż dzielnicę na obrzeżach metropolii. Wygaszone światła w oknach nie pomagały zorientować się w terenie, na szczęście przed jedną z chałup stał potężny policyjny reflektor rzucający ostry blask na ogrodzoną posesję i krzątających się wokół niej mężczyzn w granatowych mundurach.

– Tam! – rozkazał komisarz, choć ziewający Rogala zdążył już skierować wóz w stronę iluminowanego domu.

Minutę później fiat się zatrzymał, a Kaczmarek wyskoczył z jego przytulnego wnętrza w zimną noc. Za nim bez entuzjazmu wyszedł z auta Anioła. Choć komisarz miał na sobie ciepły płaszcz, poczuł przenikliwy, wilgotny chłód, sunący od strony rzeki. Było na tyle nieprzyjemnie, że nie zdziwiłby się, gdyby poproszyło śniegiem.

– Tutaj, panie komisarzu – usłyszał przytłumiony głos posterunkowego.

Ruchliwy człowiek w mundurze, który przyskoczył do oficera, najwidoczniej dbał o to, by nie zakłócać ciszy nocnej mieszkańcom domów przy ulicy Bystrej.

– Przecież widzę – mruknął Kaczmarek. – A nie wypadałoby się najpierw przedstawić?

– Posterunkowy Adam Wichaj. – Gospodarz terenu spieszył się, ustępując przejścia komisarzowi. – Jesteśmy na miejscu od dobrej godziny.

Kaczmarek bez słowa ruszył w stronę domu. Był to niski, parterowy budynek ze skośnym dachem. Wyglądał na drewniany, ale obramowanie drzwi z cegły sugerowało, że został tylko obłożony impregnowanymi deskami. W zasadzie nic ciekawego – pomyślał Kaczmarek. Sekundę

później już o tym zapomniał, jego uwagę przykuł bowiem ludzki kształt w progu domowiska.

Denat leżał w samym wejściu skulony, jakby ktoś poczęstował go nożem w brzuch. Wokół nie widać było jednak kałuży krwi. Ani śladów jakiegokolwiek walki. Zmarły sprawiał wrażenie osoby, która przewróciła się nagle w progu domu, twarzą do mieszkania. Musiał iść do środka, śmierć zaskoczyła go w najmniej spodziewanym momencie.

– Nazwisko denata?

– Kopa. Wojciech Kopa – pospieszył z informacją Wichaj. – Potwierdziliśmy w dokumentach, które są w domu.

Komisarz mimowolnie drgnął. Godność nieboszczyka wydała mu się skądś znana. Tylko skąd?

– Kto go znalazł?

– Sąsiad, panie komisarzu. Siedzi u nas na posterunku, spisują jeszcze jego zeznania. Słabo idzie, bo jest roztrzęsiony.

– Co zeznał?

– Że wracał z cmentarza, leży tam jego matka. Było jakoś po dwudziestej, więc już ciemno. Zainteresowały go drzwi domu Kopy, bo były otwarte na oścież. W środku paliło się światło... Podszedł bliżej i wtedy go zobaczył.

– Ruszaliście go?

– Boże broń. Sprawdziłem tylko, czy żyje. Ale nie miał pulsu.

– Wchodził ktoś do środka?

– Tylko ja, żeby znaleźć jakieś papiery denata.

– Do cholery! – zdenerwował się komisarz. – Słuchajcie, Wichaj, nie robi się takich rzeczy, zanim nie zjawi się na miejscu ekipa dochodzeniowa! Nie uczyli was tego w szkole policyjnej?



Policjant zmieszał się po raz drugi i skłonił nisko.

– Anioła! – Kaczmarek przywołał technika z komendy. – Wejź do środka i rozejrzyj się w sytuacji. Ale ostrożnie, tak jak potrafisz. Trzeba by też natychmiast wezwać starego Marciniaka, żeby obejrzał ciało i zabrał je do prosektorium. Wichaj, czy jak ci tam? Daleko ten wasz posterunek?

– Przy Starołęckiej, niedaleko torów. Będzie z pół kilometra.

– Telefon macie?

– A jakże!

– To zasuwaj na komisariat i dzwoń do Prezydium, żeby natychmiast przysłali tu lekarza sądowego. Koniecznie Marciniaka. Podasz im wszystkie namiary. Tylko się pospiesz, bo zwłoki stygną...

– Tak jest! – W Wichaja jakby wstąpił nowy duch. – Zaraz dzwonię! Już się robi! Już!

Kaczmarek zobaczył jego plecy niknące w mroku ulicy i natychmiast wrócił do wstępnych oględzin miejsca zgonu. Kopa leżał w poprzek deski progowej, ubrany jedynie w sweter i szare znoszone spodnie. Sądząc z odzienia, nie przelewało mu się. Kopa, Wojciech Kopa... Do diabła, Kaczmarkowi nazwisko to brzmiało dziwnie znajomo. Skądś je znał... Gdzieś, kiedyś musieli się już zetknąć. Tylko kiedy? W jakim momencie?

Usiłował to sobie przypomnieć, schylając się nad denatem. Ciało leżało głową w stronę wnętrza domu, twarzą do podłogi. Postanowił, że nie odwróci zwłok, dopóki nie będzie przy tym Marciniaka. Choć znajomo brzmiące nazwisko zmarłego aż go korciło, by nagiąć policyjne procedury.

Zamiast tego raz jeszcze przyjrzał się uważnie korpusowi mężczyzny. Ani na plecach, ani na ramionach, rękach i nogach nie dostrzegł żadnych krwawych śladów czy oznak pchnięcia ostrym narzędziem. Nikt z pewnością również do Kopy nie strzelał... Kopa, Kopa... Zaraz...

No tak! Wojtek Kopa! Z POW. Rany boskie, przecież to on!

Zaraz potem poczuł zimny dreszcz na karku.

*Poznań, Solny, lokal niższej kategorii przy Szewskiej 9, tej samej nocy*

Przy szlachetnej wódce Baczewski dyskusja ideologiczna rozgorzała na całego. Adwokat Michał Howorka, poza sądem jeden z liderów poznańskiego oddziału Obozu Narodowo-Radykalnego, rzucił nośny temat: ekspansja żydostwa we wszystkich dziedzinach polskiego życia publicznego. Szybko okazało się, że każdy z członków organizacji jest w stanie przytoczyć przynajmniej jeden przykład mośka rozpychającego się łokciami w polskiej adwokaturze, biznesie, medycynie czy sporcie. Zwłaszcza „wyjątkowo bezczelna ekspansja Żydów” w tej ostatniej dyscyplinie zdecydowanie rozsierdziła towarzystwo.

Andrzej Dudko, młody i chudy pomocnik introliigatora, z niepokojem czekał na swoją kolej. Zdawał sobie sprawę, że nie ma talentu oratorskiego, nie chciał jednak wypaść blado na tle szanownego koleżeństwa w mundurach z opaskami z falangą. Wiedział, że im mocniej przemówi, tym większy szacunek zyska. Brakowało mu jednak najważniejszego – choć jednego dobrego przykładu Żyda na eksponowanym stanowisku. Nerwowo wertował więc „Kurier Poznański” w poszukiwaniu argumentów. Dowodów, których jednak ciągle, jak na złość, nie mógł znaleźć.

– Precz z Żydami! – krzyknął Howorka po wystąpieniu kolegi Toczki. – Wywłaszczymy ich tak samo, jak bolszewicy wywłaszczyli kułaków w Rosji! Odbierzemy im majątki, a potem wyrzucimy z kraju! Nasza aryjska solidarność musi zwyciężyć! I zwycięży!

Ucieszone Baczewskim towarzystwo zareagowało entuzjastycznie, wznosząc w górę dłonie w geście salutów. Zaraz potem przyszła kolej na

pryszczatego Szramkowskiego. Dudko mimowolnie wzdrygnął się – następny był on.

Z jeszcze większą pasją rzucił się do zgłębiania zawartości „Kuriera”. W akcie ostatecznej desperacji omiótł wzrokiem nawet kolumnę sportową. Ostatniej deski ratunku szukał pod bitym grubą czcionką tytułem: *Wielki mecz bokserski w Poznaniu Polska – Niemcy*. Chaotyczny wzrok oenerowca prześlizgnął się po składzie Niemców, których Dudko szczerze podziwiał za ich stanowcze ciosy zadawane światowemu żydostwu, a potem trafił na przewidywany skład reprezentacji Polski. Nagle zakłopotana twarz Dudki pokraśniała z radości. Jest! Jest Żyd! W dodatku w bokserskiej reprezentacji kraju!

Skandal wprost nie do opisanania!

Odetchnął z ulgą, a potem zaczął wbijać sobie w pamięć nazwisko tego zuchwalca. Rot-holc. Szap-sel Rot-holc! Toż to jak nic żydek, pewnie z Warszawy albo okolicy! Rot-holc, Rot-holc... Jakie to szczęście, że ma tak łatwe do zapamiętania nazwisko...

Dudko uspokoił się, poprawił oddech, skupił na tym, co zamierzał powiedzieć. Kiedy jego sąsiad zakończył wreszcie nieco przydługi wywód o Żydzie odkrytym niedawno w okręgowej izbie adwokackiej, zagaił znowu sam Howorka, lider.

– Wiemy, czym grozi polskiej substancji narodowej, zdrowej substancji narodowej, nieuczciwa żydowska konkurencja! – przemówił, a z każdym wypowiedzianym słowem jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. – Nasze hasło: „Chleb w Polsce tylko dla swoich”, jest oczywiście hasłem walki z żydostwem. W okresie, kiedy pół miliona rejestrowych bezrobotnych szuka bezskutecznie kawałka chleba, milionowe masy żydostwa mają w Polsce pracę i chleb! Kiedy drobnego kupca chrześcijanina likwiduje egzekutor, takież sam kupiec żydowski

oszukańczymi sposobami, sztucznymi bankructwami czy fałszywą księgowością nie tylko ratuje swą egzystencję, ale się bogaci! Kiedy szpitale wypełniają się młodymi lekarzami Żydami, a o-siem-dzie-siąt procent aplikantów adwokackich to Żydzi, wtedy „niepotrzebnym ludziom” aryjskiego pochodzenia stawia się *ex cathedra* dogmat likwidacji. W okresie powolnego, ale systematycznego bogacenia się żydostwa giną z głodu setki i tysiące naszych braci! Walka o uzdrowienie życia gospodarczego to walka z bezrobociem – to walka z panoszącym się żydostwem. Nie ma w Polsce kawałka chleba dla bezrobotnego Polaka bez usunięcia żydostwa! Nie ma rozwiązania kryzysu gospodarczego bez usunięcia żydostwa!

W ciasnej salce Solnego rozbrzmiały rześiste oklaski. Howorka umiał przemawiać i wszyscy pozostali członkowie organizacji po cichu mu tego zazdrościli. Także Dudko, choć akurat w tym momencie marzył raczej o w miarę składnej wypowiedzi niż o dorównaniu liderowi.

– No, Dudko, teraz ty – szef zwrócił wzrok w jego stronę. – Gdzie jeszcze widać żydowską ekspansję?

Rozgrzana do czerwoności publika w jednej chwili zamilkła. Dudko wstał, przełykając z emocji ślinę. Nerwowo poprawił zieloną opaskę z falangą, opinającą – jak mu się zdawało – zbyt mocno lewe ramię.

– Powszechnie wiadomym jest, że Żydzi odbierają pracę polskim robotnikom – zaczął ostrożnie, nawiązując do ostatniej wypowiedzi lidera. – Ale żydostwo wciska się nie tylko pomiędzy zdrową tkankę polskiego ludu pracującego. Żydzi mają czelność mienić się Polakami, a nawet kraj nasz oficjalnie reprezentować!

Przerwał, by zobaczyć reakcję kolegów. Pierwsze pomruki aprobaty, a może też zdziwienia, dodały mu pewności siebie.

– Tak, tak, reprezentować! – potwierdził, wznosząc w górę zaciśniętą pięść dla wzmocnienia efektu. – W niedzielę właśnie tutaj, w piastowskim Poznaniu, rozegrany zostanie mecz bokserski pomiędzy drużynami narodowymi Niemiec i Polski. I wyobraźcie sobie, koledzy i towarzysze, że w szeregach Polski, która stawia opór niemieckiej potędze, znajdzie się... – Dudko zawiesił na moment głos, by dodać swojemu wystąpieniu dramatyzmu.

– Żyd? – rzucił ktoś z niedowierzaniem z końca sali.

– Tak, koledzy! Żyd! Niejaki Rot-holc! Rot-holc! Chyba nie ma wątpliwości, kim jest ktoś z takim nazwiskiem?! – zawył w uniesieniu Dudko. – Żyd z orłem na piersi?! Toż to jawna prowokacja!

W towarzystwo jakby trafił grom z jasnego nieba i nagle wszyscy poderwali się z krzeseł. Na ich twarzach malował się święty gniew.

– Pro-wo-ka-cja! Pro-wo-ka-cja! – zaryczała sala.

Oenerowcy zaczęli rytmicznie uderzać pięściami w blaty stolików, wygrywając rytm bojowego marsza. Oczywiście przed ostateczną rozprawą z „ekspansywnym żydostwem”.

Zadowolony Howorka podszedł do Dudki i z uznaniem poklepał go po ramieniu.

– Prowokacja! – krzyknął raz jeszcze Dudko.

Stał z płomiennym wzrokiem, szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Poczuł w sobie wzbierającą siłę kolektywu, nareszcie doznał wszechpotężnej akceptacji. Sam nie wiedział, które uczucie było mu milsze. Tylko dla siebie zachował informację, że miał obiecany bilet na ten mecz. I wcale nie zamierzał z niego rezygnować.

*Znowu Starołęka, dom przy ulicy Bystrej, około pierwszej w nocy*

Martwa twarz Kopy znamionowała wielkie cierpienie. Rysy twarzy ściągnęły się w ostatnim grymasie, a usta rozwarły, jakby umierający chciał wydobyć z siebie jakieś niezwykle ważne słowo – i zamarły w tej pozycji.

– Z pewnością nie zszedł na skręt kiszek – stwierdził z właściwym sobie poczuciem humoru doktor Marciniak. – Wiesz, Biniu, o czym myślę?

Komisarz po raz wtóry poczuł lodowaty dreszcz, tym razem na plecach.

– Casus Dymeckiego? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź.

– Tak to wygląda na pierwszy rzut oka – potwierdził Marciniak. – Ale musimy to potwierdzić w laboratorium. W każdym razie sprawa robi się arcyciekawa. A może raczej: arcyzagadkowa.

Kaczmarek zostawił lekarza przy zwłokach, a sam ostrożnie przekroczył próg i wszedł do środka. Wnętrze domu było ciągle oświetlone, oczom policjanta ukazał się więc zadbanej salon z aneksem kuchennym. Środek okupował masywny stół z drewna dębowego przykryty serwetą. Na nim stała lampa naftowa, paląca się pełnym płomieniem. W tle widać było mały korytarz i drzwi do sypialni.

Zabójca musiał się spieszyć, skoro nie zgasił lampy. A może ktoś go spłoszył? – analizował w ciszy Kaczmarek.

Spojrzał na ścielący się mu pod nogami mocno zużyty dywan w wypłowiałe, niegdyś jaskrawe barwy. Choć schylił się i uważnie go zlustrował, nie zauważył na nim żadnych wartych uwagi śladów. Jedyne, ledwo widoczny odcisk buta bez dwóch zdań należał do denata – Kaczmarek bez trudu porównał rozmiar podeszwy jego butów z obrysem kurzu na starym dywanie.

Jeśli to zabójstwo, w grę wchodzi profesjonalista. Albo profesjonalistka – uznał śledczy.

Zaraz potem jego uwagę zwróciły naczynia wstawione do zlewu, widocznego po prawej stronie za rozsuniętym parawanem.

– Wojtuś! – zawołał do ciągle klęczącego nad denatem Marciniaka. – A pozwól no tutaj, z łaski swojej!

– Zrób, szcunie, zdjęcia – nakazał doktor aspirantowi Aniole, podnosząc się z ziemi.

Podszedł do Kaczmarka, a po chwili na ścianach pokoju błysnął policyjny flesz.

– Zobacz, Wojtuś... – Komisarz wskazał koledze zlew. – Te naczynia... Może warto się nimi zainteresować?

Marciniakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Poczłapał we wskazanym kierunku, by zająć się fachową oceną zawartości kącika kuchennego nieboszczyka. W tym samym momencie Kaczmarek się zorientował, że Dymeckiego i Kopę coś łączy: obaj mieszkali samotnie. I obaj mieli za sobą udział w powstaniu, a potem wojnę bolszewicką.

No i obaj znali mnie, a ja ich – pomyślał komisarz. Ta uwaga wydała mu się jednak najmniej istotna.

– Biniu, podejdź no, proszę. – Głos starego lekarza zapowiadał jakieś odkrycie. – Spójrz na te talerze. Widzisz? Ewidentnie było z nich coś jedzone. Talerze są dwa, a Kopa ponoć mieszkał sam. Ciekawe... Trzeba zabrać je do analizy. Wprawdzie opłukał je wodą, ale zdaje się niezbyt dokładnie.

Kaczmarek przyjrzał się resztkom jakiejś potrawy rozmazanej na jednym z talerzy. Przypominała barwą musztardę – może był to jakiś sos?

Cholera wie, niech to sprawdzą – uznał. Ciekawe, czy w tym, co ocalało, wykryje ślad toksyny.

– Wojtuś, niech Grzesiu Anioła weźmie te talerze do analizy... Koniecznie ostrożnie, w rękawiczkach. Nie chciałbym go mieć na sumieniu...

Marciniak cmoknął z niesmakiem. Kaczmarkowe poczucie humoru nie należało do jego ulubionych.

– Zgoda, mistrzu – odpowiedział w podobnej konwencji, maskując drobną urazę. – Na pewno nikt w tym pokoju nie spapra sprawy.

Jak ten Biniu traktuje doświadczonych fachowców! – Marciniak pokręcił głową. On sam karierę w policji rozpoczął przecież wraz z Kayserem jeszcze w niemieckim Kripo<sup>15</sup>! W czasach, gdy Kaczmarek robił w majtki albo co najwyżej ganiał z kolegami po podwórkach Świętego Marcina!

– No już dobrze, Wojtuś! To tylko żarty! – Kaczmarek wyczuł, że przesadził, i postanowił udobruchać starego lekarza.

– W naszej robocie żarty idą na bok, kolego komisarzu – usłyszał oficjalną odpowiedź. – Kostucha nie ma poczucia humoru, lepiej z niej sobie nie drwić. To tylko prowokuje zły los, komisarzu Kaczmarek. Zapamiętaj moje słowa!

*Prezydium Policji, sobota, 28 kwietnia 1934 roku, ósma z minutami*

Komisarz nie mógł powstrzymać ziewania. Trudy nocnego wyjazdu na Starołąkę dawały mu się we znaki. Do domu wrócił o czwartej, zziębnięty i sfatygowany, ledwie więc zmrużył oko, a już musiał wstawać, żeby zdążyć na odprawę u szefa.

– Musisz walnąć sobie dużą czarną – rzucił życzliwą uwagę inspektor Kayser, cmokając swoją ukochaną fajkę, tym razem nienabitą. – No, a na razie raportuj, co i jak. Strasznie jestem ciekaw.

– Co tu opowiadać, szefie? – Kaczmarek klapnął na krzesło po drugiej stronie biurka Kaysera. – Denat to Wojciech Kopa, mój dobry znajomy. Może nie przyjaciel, ale braliśmy udział w niejednej akcji. To znaczy



w osiemnastym, szef rozumie. Znaleziony został przez sąsiada późnym wieczorem, właściwie już w nocy na progu swojego domu.

– Przesłuchałeś go?

– Oczywiście. To Arnold Wildecki, kolejarz zatrudniony na stacji Starołęka. Wracił z cmentarza i zauważył, że drzwi u sąsiada są otwarte, a w środku świeci się światło. Podeszedł bliżej i wtedy zobaczył Kopę. Był już zimny. Z wrażenia od razu pobiegł na komisariat przy Starołęckiej, a tamtejszy posterunkowy nas zaalarmował.

– Powiedział jeszcze coś ciekawego? Ten świadek?

– Niespecjalnie. Był przybity, roztrzęsiony. Jeszcze rano rozmawiali z Kopą trochę o polityce i takie tam... Wildecki podejrzewa, że sąsiad mógł mieć wrogów.

– No, to jest ważne, Biniu! – Kayser się ożywił, odkładając fajkę na rzeźbiony podstawek. – Jakich wrogów? Zasugerował jakieś nazwiska czy tropy? Podał powody?

Kaczmarek machnął zniecierpliwiony ręką.

– Polityka! – syknął pogardliwie. – Wszystkim się wydaje, że to, co dzieje się w Warszawie, musi zaraz znaleźć odbicie w Poznaniu.

– To znaczy?

– Wildecki próbował mnie przekonać, że to zemsta sanacji. Szef wie: Kopa działał w związku złożonym przeważnie z sympatyków narodowców, więc zapewne naraził się czymś skrytobójcom z...

– Ciii, Zbigniewie! – Kayser odruchowo przyłożył palec do ust, jednocześnie machając drugą ręką, jakby rozganiał mgłę. – Wszystko jasne, już nic nie mów. Krótko mówiąc, sąsiad denata sugeruje motyw polityczny.

– Właśnie – przytaknął Kaczmarek. – Tak samo zresztą jest w przypadku zabójstwa Dymeckiego. Sąsiad Jędrzeja również jest święcie przekonany, że sprzątnęła go z tego świata ekipa...

– No tak! Już dobrze wiemy czyja – wszedł mu w słowo Kayser, rozglądając się po kątach, jakby obawiał się podsłuchu.

Lękliwe zachowanie Kaysera zastanowiło Kaczmarka. Widywał już szefa w różnych dziwnych stanach emocjonalnych, ale nigdy wcześniej nie dostrzegł, by obawiał się rozmawiać o polityce. Po procesach brzeskich i represjach wobec opozycji coś w tym kraju zmieniało się na gorsze, Kaczmarek doskonale to wyczuwał.

– Czego jeszcze udało ci się dowiedzieć? – zapytał szef wydziału śledczego.

Kaczmarek podrapał się zakłopotany w głowę. Mimo wszystko wyczuwał, że ani on, ani jego przełożony nie traktują wątku zemsty politycznej całkiem poważnie.

– Nic, co mogłoby być jakimś punktem zaczepienia – odpowiedział. – Z ustaleń poczynionych przez naszych ludzi na miejscu zbrodni można jednak wnioskować, że przed śmiercią Kopa miał gościa.

Kayser uniósł brew.

– To znaczy?

– Ktoś go odwiedził. Mogą o tym świadczyć dwa talerze w zlewie, jeszcze nieumyte. Anioła pobrał z nich próbki resztek jedzenia. Lada chwila będziemy mieć wyniki toksykologiczne i dowiemy się, czy i tym razem posłużono się trucizną. Wszystko na to wskazuje.

– Nikt z okolicznych mieszkańców nie zauważył, że Kopa ma gościa? Skoro żył samotnie, takie odwiedziny mogły rzucić się w oczy jakiemuś przypadkowemu świadkowi – zauważył zdroworozsądkowo Kayser. – Może ktoś widział jakąś obcą osobę kręcącą się koło jego domu?

– Też tak pomyślałem – powiedział Kaczmarek. – Rozpytywałem o to gapiów, którzy zgromadzili się w nocy na miejscu zdarzenia. Ale jak

kamień w wodę – nikt nikogo wcześniej przy domu Kopy nie widział. Chyba że...

– Chyba że to były bardzo dyskretne odwiedziny – dokończył Kayser.

– Ano właśnie, szefie.

W gabinecie inspektora zapadła cisza. Tylko na krótką chwilę, bo zaraz ktoś zastukał energicznie w drzwi. Do wnętrza wszedł dziarskim krokiem doktor Marciniak.

– Dobrze, że was widzę razem – wysapał, taszcząc swoją służbową walizeczkę. – Nie będę musiał opowiadać dwa razy.

– Pan spocznie, panie doktorze. – Kayser poderwał się z miejsca i podsunął medykowi sądowemu fotel.

– A, dziękuję, dziękuję! Ale jeśli spocznę, to dopiero w grobie – zdobył się na osobliwy żart Marciniak. – Teraz co najwyżej odsapnę chwilę. No! W zasadzie najważniejsze już wiemy.

– Otruty? – zapytali niemal jednocześnie Kaczmarek i Kayser.

– Niestety, tak.

– Arszenik? – dopytał komisarz.

– A jakże. Znowu w dawce, która powaliłaby smoka.

– Czyli sprawca ten sam – podsumował Kayser.

Stary Marciniak pochylił się w fotelu nad walizką, otworzył ją i zaczął szukać czegoś w środku.

– Sprawca, a może raczej sprawczyni – powiedział, wyciągając płócienny woreczek.

Z właściwą swojemu doświadczeniu zawodowemu wprawą założył gumowe rękawiczki i sięgnął do środka woreczka.

Oczom komisarza i jego szefa ukazał się nieduży błyszczący przedmiot: broszka z węzem. Dokładnie taka sama jak ta znaleziona przez Kaczmarka

w domu Dymeckiego.

– Śmierdzi siarką... – syknął Kayser.

*Plac Gwarny, w tym samym czasie*

Wywiadowca Gruszecki nie był zbyt szczęśliwy. Obserwacja trenera niemieckiej ekipy pięściarskiej okazała się bowiem zajęciem nadzwyczaj nudnym i przewidywalnym. Poprzedniego wieczoru nie wydarzyło się nic szczególnego. Z posterunku Gruszecki zszedł około dwudziestej trzeciej, gdy w hotelowym oknie Rüdigera zgasło światło. Następnego dnia zjawił się w cywilnych ciuchach przed hotelem już o siódmej rano, by po przeprowadzonym w holu Monopolu rekonesansie zorientować się, że Niemcy jeszcze smacznie śpią – nie zauważył ich bowiem w hotelowej restauracji. Zaczepiony przez jednego z boyów, musiał mu wcisnąć gadkę o tym, że jest dziennikarzem sportowym i wypatruje szansy na wywiad. Stworzył więc sobie wystarczającą legendę, by zająć miejsce na jednej z wersalek w rogu holu, i w kulturalnych warunkach, wertując poranną prasę, obserwować stamtąd wydarzenia.

Życie hotelowe rozkręcało się w swoim rytmie. Przez obrotowe drzwi co kwadrans wpadali nowi goście, z reguły osobnicy wyglądający na kupców lub osoby o podobnych interesach. Przeważali mężczyźni, z rzadka towarzyszyły im kobiety. W tym czasie Gruszecki zdążył przejrzeć najnowsze numery „Kurier” i „Dziennika Poznańskiego”, a w nich przeczytać wzmianki o niedzielnym meczu pięściarskim. Prasa donosiła, że Polaków czeka trudny pojedynek – Niemcy przywieźli bowiem do Poznania „najcięższe armaty”.

Kwadrans po ósmej na hotelowych schodach zrobiło się głośno i tłoczno. Prowadzona w języku niemieckim ożywiona dyskusja nie

pozostawiała wątpliwości co do tego, kto schodzi na śniadanie. Wśród mocno zbudowanych, wysokich mężczyzn w marynarkach wywiadowca dostrzegł również osobnika po czterdziestce, którego znał ze zdjęcia. Odniósł wrażenie, że Rüdiger przez krótką chwilę zatrzymał wzrok na jego osobie – ale może było to tylko złudzenie... Gruszecki udawał, że z zaciekawieniem czyta „Dziennik”, ciągle kontrolując sytuację. Zauważył więc, że trener Niemców oddalił się od grupy i z karteczką w dłoni podszedł do ukrytego za kotarą telefonu.

Jak sprawdzić, pod jaki numer dzwoni? – zastanawiał się gorączkowo Gruszecki, podczas gdy niemiecki szkoleniowiec wykręcił cztery cyfry i przyłgął uchem do słuchawki.

Zaraz potem zaczął z kimś rozmawiać ściszym głosem. Dodatkowo zasłonił usta ręką, w której trzymał kartkę. Mimo że Gruszecki siedział niedaleko, nie był w stanie nic usłyszeć.

– *Ja, ja, alles klar...*<sup>16</sup> – doleciało do jego uszu dopiero po kilku minutach, gdy trener już kończył rozmowę.

Odchodząc od aparatu, Niemiec niespodziewanie rzucił wywiadowcy ostre, badawcze spojrzenie.

Wie, że go pilnuję – przemknęło przez głowę Gruszeckiego.

Poczuł niepokój.

*Prezydium Policji, chwilę później*

– Wojtuś, skąd to wzięłeś, do cholery?! – Pytanie Kaczmarka nie należało bynajmniej do tych parlamentarnych.

Stary Marciniak nie zmieszał się ani przez chwilę. Ręka trzymająca broszkę w kształcie węża nawet mu nie zadrżała.

– Znalazłem w spodniach denata.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał klakson samochodu i stukot końskich kopyt na ulicznym bruku. Między szybami okna miotła się desperacko uwięziona mucha.

– Biniu, do diabła! Nie sprawdziłeś mu kieszeni? – zdenerwował się Kayser.

– Nie – mruknął Kaczmarek, rozdrażniony własnym niedopatrzeniem. – Za bardzo skupiłem się na domu.

– Błąd – podsumował inspektor, znowu chwytając za pustą fajkę, by ją sobie pogryźć. – Doktorze, proszę zostawić nam tę broszkę do analizy papilarnej. Choć, szczerze mówiąc, nie spodziewam się rewelacji. Wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z niezwykle inteligentnym, potrafiącym zacierać ślady przestępcą.

– Tak jest – odpowiedział Marciniak, chowając broszkę do woreczka.

– Biniu, ta osoba z nami pogrywa. – Kayser skonstatował na głos to, co właśnie uświadomił sobie Kaczmarek. – Myślę, że celowo zostawia ten symbol w miejscach zbrodni. Nie wiem tylko, czy po to, by nas rozdrażnić, czy może jest w tym ukryty jakiś głębszy sens...

– Stawiam na to drugie – podchwycił wątek Marciniak. – Myślę, że zostawia te broszki w konkretnym celu. Chce nam w ten sposób coś przekazać.

– A mnie się wydaje, szefie, że to jakaś blaga. – Kaczmarek nie zgadzał się z Kayserem, zresztą nie pierwszy raz w swojej karierze.

– Blaga? – zdziwił się Kayser. – Mógłbyś wyrazić się jaśniej?

Kaczmarek westchnął, bo trudno mu było uzasadnić coś, co na razie wyczuwał czysto intuicyjnie.

– Hm, to raczej odczucie niż pewność – zastrzegł się. – Odnoszę jednak wrażenie, że ten trick z węzami na broszkach ma nas skierować na ślepy tor.

– Ślepy?

– Tak. To, jak dla mnie, rozwiązanie zbyt nachalne, by było czymś więcej niż pułapką. Broszka wepchnięta w kieszeń martwego Kopy utwierdziła mnie tylko w przekonaniu, że komuś usilnie zależy, by popchnąć nas w jakąś absurdalną stronę...

– A ja sądzę, że zmyłka, o ile rozpatrujemy to w tych kategoriach, może dotyczyć raczej płci sprawcy – wszedł komisarzowi w słowo Kayser. – Dlaczego podrzuca te broszki? Bo chce, żebyśmy sądzili, że to kobieta. Zresztą już tak zaczęliśmy myśleć.

– To tylko hipoteza, nic poza tym – zaasekurował się Kaczmarek.

– A widzisz, Biniu! – Kayser klasnął w dłonie, uradowany jak małe dziecko. – Jestem zdania, że te broszki to próba wmówienia nam, że za morderstwami stoi kobieta, podczas gdy sprawcą może być mężczyzna. Niezależnie jednak od tego uważam, że forma tych broszek nie jest bez znaczenia. Symbolika węża daje wiele możliwości interpretacyjnych.

– To prawda – odezwał się z fotela milczący dotąd Marciniak. Miał posępną twarz, wyglądał jakby dopiero co zobaczył ducha. – Wąż to symbol zdrady. Nieczystych sił, które przywiodły człowieka do popełnienia grzechu pierworodnego. Mówiąc w skrócie, wąż to posłaniec Szatana.

– Właśnie! – odzyskał inicjatywę Kayser. – Mówiłem ci już, Zbigniewie, że ten wąż może oznaczać więcej, niż przypuszczamy. Już tylko trzymając się Biblii, dojdziemy do wniosku, że wąż to symbol grzechu, perwersji czy zła.

– W medycynie może być symbolem trucizny – przypomniał Marciniak.

– A w szerszym ujęciu chaosu i upadku świata – dodał gorliwie Kayser.

– Skupmy się może na węższym zagadnieniu, jakim jest... – zaczął Kaczmarek, ale nie zdołał uciec od ciągu dalszego interpretacji.

– Poczekaj, kolego! – Inspektor uniósł w górę palec wskazujący, jakby w tym samym momencie wpadł na genialny pomysł. – Przypomniałem sobie, że w niektórych środowiskach wąż to również znak okultystów. Podobno rozpoznają się i kontaktują w ten sposób, za pomocą symboliki tylko dla nich czytelnej. A może nawet w ten sposób się podpisują? Broszki z motywem węża mogą oznaczać formę podpisania się pod swoim dziełem...

– Szeffie, to jakieś spekulacje – obruszył się Kaczmarek. – Chyba nie chce szef powiedzieć, że za tymi zbrodniami stoją okultyści?

– A czemu *a priori* wykluczasz tę możliwość? – Kayser sprawiał wrażenie urażonego pytaniem podwładnego. – Przecież naprawdę wiele na taką ewentualność wskazuje.

– Wiele? Raptem dwie takie same broszki w kształcie węża – uściślił Kaczmarek. – I co jeszcze, szefie? Co jeszcze?

– No, symbolika tych dowodów w sprawie – zachnął się inspektor. – Plus oczywiście charakter obu zbrodni, wyjątkowo perfidny i niegodny.

Kaczmarek wywrócił oczami, a potem policzył w myślach do pięciu. Jego szef miewał w przeszłości różnorakie, mniej lub bardziej udane, hipotezy śledcze, ale ta wydała się komisarzowi wyjątkowo naciągana.

– Przepraszam, polegam wyłącznie na dowodach materialnych – powiedział spokojnym tonem, choć już się w nim w środku gotowało. – Prawda jest taka, że na razie możemy jedynie spekulować. Na dobrą sprawę nie wiemy nic o mordercy lub mordercach. Bo przecież mogło ich być więcej.

– Mogło – zgodził się Kayser. – Okultyści to wcale liczne plemię.

– Okultyzm to religia Szatana – dorzucił stary Marciniak.

Kaczmarek strzelił palcami. Dyskusja skręcała ostro w stronę, której zdecydowanie wolał uniknąć.



– Uroboros, mówi ci to coś, Biniu? – odezwał się znowu Kayser z miną, która miała znamionować znawstwo tematu.

Sro-ro-bo-ros – sarknął w myślach Kaczmarek.

– Nic a nic – mruknął za to w odpowiedzi.

– To inaczej wąż zjadający własny ogon – popisał się swoją wiedzą Kayser. – Przedstawiany w ten sposób jest z kolei symbolem wieczności.

– Czyli co właściwie szef sugeruje? Że będziemy rozwiązywać tę sprawę w nieskończoność? – zirytował się nie na żarty komisarz.

– Niepotrzebnie się unosisz, Biniu. Spójrz na sprawę szerzej, wyjdź poza schematy. W pierwszej kolejności powinieneś się zainteresować okultystami na naszym terenie.

*Nadal Prezydium Policji, godzinę później*

Miny podwładnych Kaczmarka mówiły w zasadzie wszystko. Czyli nic. Zarówno podkomisarz Jerzy Łysiak, jak i aspirant Grzegorz Anioła nie przynieśli z mieszkania Dymeckiego żadnych nowych informacji.

– Szczerze mówiąc, były to stracone godziny – westchnął Łysiak. – Mieszkanie okazało się sterylne czyste. Zupełnie jakby ktoś je dokładnie wysprzątał.

– Może rzeczywiście tak było – warknął Kaczmarek. – Naprawdę nie odkryliście żadnych śladów gościa Jędrzeja? Żadnych włosów w łazience? W odpływie wanny? W toalecie?

– Otóż to – sapnął Anioła, spuszczać wzrok, jakby czuł się winny. – Jak już mówił pan podkomisarz, wszystkie te miejsca były idealnie czyste.

– Żadnych odcisków palców na szklankach? Naczyniach? A może na klamkach?

Łysiak pokręcił smętnie głową.

– Nic z tych rzeczy, panie komisarzu. Stary kawaler, a mieszkanie miał wypucowane jak cholera. Aż mi się nie chce wierzyć, że tak dbał o czystość. Zresztą, niech pan sam powie: czy stary facet mieszkający samotnie wyciera starannie szmatką nawet nosek kranu?

– No właśnie! – przyznał mu rację Kaczmarek. – Możliwości są dwie: albo Dymecki był chorobliwym pedantem, jakich mało, albo mamy do czynienia z profesjonalistą. Lub profesjonalistką. Tak czy owak, z mordercą z wyższej półki.

Zamyślili się na chwilę. Łysiak kręcił palcami młynka, siedząc przy biurku Kaczmarka. Komisarz zrobił kilka kroków w stronę okna i z powrotem. A Anioła spojrzął na czubki swoich butów, ale nie znalazł tam żadnej podpowiedzi.

Kaczmarek myślał nad tym, co się mogło wydarzyć w mieszkaniu Dymeckiego, a później także u Kopy. Nie miał żadnych wątpliwości, że obaj kogoś gościli. Kogoś, kto zdobył ich zaufanie i pod pozorem wspólnego posiłku poczęstował śmiertelną toksyną. Tylko co łączyło tych samotników z osobą, która okazała się mordercą? Jeśli była to rzeczywiście kobieta, jak wkradła się w ich łaski? Jak dostała się do ich mieszkań, skoro obaj byli z gruntu nieufni? Czy rzeczywiście mogło być tak, że dwaj podstarzali kawalerowie stracili dla jakiejś kobiety głowę – a potem również życie?

Nagle się ocknął, jakby coś sobie przypomniał.

– Grzesiu – zwrócił się do Anioły. – A co z broszką, którą znalazł w spodniach Kopy doktor Marciniak? Miałeś ją poddać analizie...

Główny technik komendy uśmiechnął się kwaśno.

– Dupa – oświadczył krótko. – Żadnych odcisków.

---

15 Kripo (niem.), skrót od Kriminalpolizei – policja kryminalna.

16 *Ja, ja, alles klar...* (niem.) – Tak, tak, wszystko jasne...

# WSPARCIE, CZYLI KŁOPOTY



### ***Niemcy wstrzymują wypłaty zagraniczne***

*Berlin (PAT). W związku z rozpoczynającą się konferencją transferu wygłosił wczoraj przez radio przemówienie prezes Banku Rzeszy dr Schacht. [...] Oświadczył, że Niemcy uznają obowiązek płacenia długów, jakkolwiek trudności transferu powstały w wyniku błędów politycznych przeszłości. Winę za niemożność uzyskania potrzebnych do przekazywania dewiz ponosi zagranica, która zamyka się przed importem.*

„Dziennik Poznański”, 28 kwietnia 1934

*Sobota, 28 kwietnia 1934 roku, kwadrans po trzynastej*

Była kłębkim nerwów. Niepewnym swoich atutów i umiejętności. Gdy tylko wysiadła z pociągu na dworcu Poznań Główny, poczuła, że łydki jej drżą. Trudno też jej było opanować nerwowe ruchy dłoni. Pomagała w tym nieduża walizka, w którą zmieściła ledwie kilka ciuchów i drobnych kosmetyków. Celowo nie wzięła taksówki ani dorożki. Potrzebowała się przejść, by uspokoić myśli i przewietrzyć głowę. Trasę przećwiczyła już wielokrotnie, pochylając się nad mapą miasta.

Kiedy zostawiła daleko za sobą gwarny budynek dworca i kilka kolejowych składów, zaznaczonych dymami z kominów parowozów, poczuła się nieco swobodniej. Niepokój jednak nie ustąpił. Bała się tego, co miało za chwilę nastąpić. Niby pracowała w miejscu, w którym nie wypadało się wahać, a jednak niepewność wprost zżerała ją od środka. Zupełnie jakby była kompletną amatorką. A przecież miała już za sobą kilka udanych akcji.

Jaki on jest? – zastanawiała się, maszerując przed siebie w stronę ulicy Wjazdowej. Czy uwierzy jej i pozwoli rozwinąć skrzydła? Czy nawiąże z nim nic zaufania? Czy on dopuści ją do największych sekretów?

Słyszała wiele o jego wybuchowym charakterze. O tym, że potrafi być apodyktyczny. niesprawiedliwy w ocenach. Gwałtowny i nieprzystępny. Obawiała się, jak ją przyjmie. W końcu trudno od razu zaufać nieznajomej...

Była tak zaaferowana nowymi zadaniami, że nie zwróciła uwagi na efektowny widok: majestatyczny zamek ze strzelistą wieżą, jaki wyrósł przed jej oczyma. Główna arteria Poznania pulsowała ruchem powozów i – nieco rzadszych – samochodów. W normalnych okolicznościach zapewne usłyszałyby ludzki gwar i stukot kopyt o bruk Świętego Marcina, nadający śródmieściu Poznania swojski klimat, znany jej doskonale ze stolicy. Ona jednak denerwowała się coraz bardziej, skręcając w Gwarną, a potem w prawo, ku Teatrowi Polskiemu. Była coraz bliżej celu, a serce w jej piersi wyczyniało harce, przywodząc ją niemal do utraty oddechu...

Musiała przystanąć, by przymknąć oczy i opanować emocje. Za wszelką cenę chciała poskromić niepotrzebne durne myśli. Dasz sobie radę, Baśka! Dasz! W końcu nie taki diabeł straszny, jak go malują!

Wzięła kilka porządnych wdechów, a potem otworzyła oczy i ruszyła ku drzwiom dwupiętrowego budynku z niemal płaskim dachem.

Kiedy nacisnęła klamkę, myślała już tylko o kolejnym zadaniu.

*Prezydium Policji, około czternastej*

– Zapraszam do mnie na chwilę. – Kaczmarek usłyszał w słuchawce głos Kaisera.

Zdziwiony, bo przecież całkiem niedawno rozmawiał z szefem o szczegółach śledztwa, ruszył schodami na drugie piętro. Tuż przed drzwiami gabinetu inspektora zauważył, że sekretarka szefa uśmiechnęła się do niego jakoś tak inaczej. A kiedy wszedł do środka, lekko go zatkało.

Za stołem, przy którym zwykle odbywali narady, siedziała młoda kobieta w kurtce o kroju frencza z marynarkowym kołnierzem i w służbowej spódnicy. Spod kurtki wystawała szara koszula i granatowy krawat, a na blacie stołu spoczywała policyjna czapka i brązowe rękawiczki. Blondynka miała modną fryzurę à la Hanka Ordonówna i wyglądała na najwyżej dwadzieścia pięć lat. Gdy zaskoczony Kaczmarek przymknął drzwi, zerwała się z krzesła i podeszła do komisarza z wyciągniętą dłonią.

– Aspirant Barbara Przysługa – przedstawiła się z lekkim dygnięciem.

Zbaraniały Kaczmarek uścisnął jej drobną dłoń, by zaraz potem zwrócić się z niemym pytaniem do stojącego pod oknem Kaysera.

– To jedna z podopiecznych pani podkomisarz Paleolog<sup>17</sup>, pan wie, kierownik referatu Policji Kobiecej przy Komendzie Głównej – wyjaśnił z lisim uśmiechem na twarzy Kayser. – Pani aspirant jest osobą bardzo zdolną, właśnie czytałem jej akta służbowe. W policji od siedmiu lat, specjalizuje się w kwestiach szeroko rozumianej przestępczości wśród kobiet. Została nam polecona przez Komendę Główną w ramach programu wymiany kadr.

– No cóż... – Kaczmarek z dużym trudem szukał słów wystarczająco delikatnych. – Bardzo mi miło. Bardzo. Ale... dlaczego przedstawia ją pan właśnie mnie?

Aspirantka Przysługa mrugnęła nerwowo, tracąc pewność siebie.

Kayser zasunął firankę i podeszedł do swoich gości.

– Biniu, mógłbyś być bardziej domyślny. – Puścił oko do policjantki, jakby wygłosił właśnie świetny dowcip. – No dobrze... Ponieważ aspirant Przysługa została skierowana właśnie do nas, wraz z komendantem uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli to właśnie ty otrzymasz wsparcie.

– Wsparcie? Pięknie dziękuję, na razie daję sobie radę – obruszył się komisarz.

– Ejże, Biniu! – Kayser bez żenady chwycił podwładnego pod ramię i przesunął ku swojemu biurku, ścisząc jednocześnie głos do szeptu. – Nie rób, proszę, scen! Wytypowaliśmy ciebie, bo charakter twojego śledztwa wskazuje, że pani aspirant właśnie tobie się przyda. W końcu istnieje duże prawdopodobieństwo, że mordercą, którego szukasz, jest kobieta, prawda? Musisz wiedzieć, że pani aspirant jest utytułowaną specjalistką w dziedzinie psychologii, zresztą po studiach na Uniwersytecie Lwowskim. Uwierz mi, naprawdę przyda ci się takie wsparcie! Ma też za sobą fakultet chemiczny i praktykę laboratoryjną. Sam rozumiesz, lepiej nie mogło się nam trafić...

Kaczmarek stał nieprzekonany, a jego czerwona twarz znamionowała głębokie wzburzenie. Ze słów Kaysera docierało do niego ledwie co drugie zdanie. Propozycję szefa odebrał jako swoiste, niewypowiedziane wotum nieufności. To już z komendantem w niego nie wierzą? Muszą mu podsyłać jakąś panienkę z Komendy Głównej, żeby go pilnowała? Albo próbowała korygować jego decyzje?

Spojrzał bykiem na stremowaną, nerwowo przestępującą z nogi na nogę dziewczynę w mundurze. Ładne kwiatki! Tego jeszcze w porzundnej<sup>18</sup> poznańskiej komendzie nie przerabiali! Wsparcie z szeregów Policji Kobiecej! Owszem, Kaczmarkowi coś tam się o niej o uszy obilo, nie spodziewał się jednak, że to aż tak poważny projekt. Osobiście uważał to za swego rodzaju fanaberię kilku nadaktywnych kobiet



w mundurach, niemającą raczej szans, by wyjść poza warszawskie opłotki. Jak bardzo się pomylił!

– No, Zbyszku... Tak nie wypada – ponaglał go szeptem Kayser. – Proszę, zachowaj się jak należy. Zobaczysz, ona naprawdę może ci się przydać w śledztwie...

Akurat! – zachnął się w myślach komisarz. Sprawa, którą miał, zapowiadała się na wyjątkowo trudną. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby musiał ją prowadzić z jakąś Przysługą z Warszawy! Też mi przysługa, pożałuj się Boże!

Chrząknął, chcąc pokryć tym zmieszanie i usprawiedliwić to, że tak długo milczał. W gardle czuł grubą kluczę, a w środku aż go trzęsło ze złości.

– Pani aspirant – powiedział, uwalniając się z uchwytu Kaysera i odwracając w stronę swojej nowej podwładnej. – Proszę wybaczyć moje... moją reakcję. To wszystko z powodu zaskoczenia... Cóż... Zapraszam w takim razie do mojego gabinetu. Jeśli pani pozwoli, omówimy szczegóły naszej współpracy...

Policjantka przygryzła wargę, usiłując jednocześnie się uśmiechnąć. Wyszło równie nienaturalnie, jak przemowa komisarza Kaczmarka.

– Mój gabinet jest piętro niżej. Zapraszam. – Kaczmarek wskazał dłonią drogę, puszczając aspirantkę Przysługę przodem.

Zanim wyszli z pokoju szefa, Kayser wcisnął mu pod pachę teczkę osobową nowego nabytku wydziału śledczego.

Kiedy drzwi zamknęły się za parą świeżo skojarzonych śledczych, Kayser zataił radośnie dłonie i klepnął się z zadowolenia w udo.

– No! To kolejna sprawa do przodu – powiedział do siebie.

Zaraz potem poprosił sekretarkę o połączenie z referatem Policji Kobiecej w Warszawie.

*Hala Reprezentacyjna Międzynarodowych Targów Poznańskich, w tym samym czasie*

Erich Rüdiger nie mógł pozbyć się uczucia *déjà vu*. I wcale nie chodziło o to, że po trzech latach znowu zjawił się w tym samym mieście, w tym samym hotelu – ba! w tej samej hali! – żeby rozegrać wraz ze swoimi podwładnymi mecz bokserski z Polakami. Wrażenie powtórki z przeszłości znacząco spotęgował widok tajniaka, który usiadł w jednym z ostatnich rzędów – święcie przekonany, że jest niewidoczny – i obserwował stamtąd trening jego podopiecznych. Rüdiger doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie jego zawodnicy znaleźli się na celowniku agenta, ale on sam.

Już raz tak było, latem trzydziestego pierwszego. Wtedy podobny do dzisiejszego szpiega młodzieniec również wszędzie za nim łąził – był nie tylko na ich treningu w tej samej hali, ale ośmielił się nawet mu przeszkadzać w trakcie pewnej tajnej misji.

Wtedy udało mu się pozbyć tej osobliwej kurateli, unieszkodliwić polskiego tajniaka i wyjechać bez żadnych konsekwencji. Ale niedawne spotkanie z postawnym, otyłym Polakiem na dworcu w Poznaniu, który interesował się nim w aż nadto widoczny sposób, uświadomił mu, że Polacy nie odpuszczą. I że najwyraźniej zagięli na niego parol. A to oznaczało ni mniej, ni więcej, że tym razem musi działać w bez porównania trudniejszych warunkach. Niewykluczone, że teraz w ogóle nie uda mu się dotrzeć do celu...

Szpicel, którego namierzył już w hotelowym holu, zachowywał się nadzwyczaj pewnie. Może dostał takie instrukcje? Może celowo ma kłuć go w oczy? Wywierać presję? Skłonić do błędu? Sprowokować? Ale do czego?

Zastanawiał się nad tym, obserwując sparingi swoich asów. Spannagel, Ziglarski, Kästner, Schmedes, Campe, Hornemann, Pürsch i Runge – kwiat niemieckiego pięściarstwa ćwiczył aż miło. Nie żałowali siły i zaangażowania, jakby za chwilę mieli stanąć do meczu o mistrzostwo świata. A przecież przed nimi był ledwie mecz z Polakami.

Werner, zdaje się, stanie w ringu przeciwko Żydowi – pomyślał nagle o Spannagelu. Zaskakująca osobliwość tej sytuacji sprawiła, że uśmiechnął się krzywo. Los lubi płać figle – skonstatował. Całe szczęście, że akurat w tym przypadku był absolutnie pewny wygranej swojego zawodnika.

Oderwał wzrok od szczupłej sylwetki Wenera i ponownie spojrzął na tylne rzędy. Kto go tu w ogóle wpuścił? – zastanawiał się nie bez złości. Organizatorzy meczu mieli im zapewnić całkowity spokój...

Tajemniczy Polak aż nazbyt teatralnie udawał zainteresowanie bokserami na ringu. Sztuczność tej sytuacji biła po oczach. Rüdiger zaklął pod nosem, a potem machnął na szpicla ręką.

– I tak nic nie wiesz, psie – powiedział sam do siebie. – I tak nic nie widzisz...

### *Prezydium Policji, kwadrans później*

Nigdy wcześniej nie został postawiony w takiej sytuacji. Do tej pory dowodził wyłącznie mężczyznami i tak gwałtowna zmiana spowodowała, że nie wiedział, jak postępować z niespodziewaną podwładną. Aspirantka Barbara Przysługa chyba poczuła się równie niezręcznie, bo przez całą drogę do gabinetu Kaczmarka milczała. Komisarz nie skierował do niej nawet pół zdania, więc do celu doszli w ciszy.

Kaczmarek zamknął drzwi za Przysługą. Nie sposób było nadal milczeć.

– Proszę usiąść – wskazał asyście krzesło przed swoim biurkiem.

Stremowana aspirantka zajęła wskazane jej miejsce, a komisarz usiadł po drugiej stronie. Rzucił na blat teczkę funkcjonariuszki i raz jeszcze przyjrzał się nowej podwładnej. Dopiero teraz zauważył, że jest całkiem ładna. I strasznie zdenerwowana. Jej dłonie, złożone na kolanie, drżały.

To przeze mnie – uznał. Ochłonał już nieco, przynajmniej na tyle, by zrozumieć, że u Kaisera zachował się jak idiota. Ciężki idiota.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie. – Wyciągnął z kieszeni spodni chustkę i otarł nią pot z czoła. – Skoro mamy współpracować, proszę opowiedzieć mi trochę o sobie.

Uśmiechnęła się tak sztucznie i nerwowo, że zrobiło mu się jej żal.

– W policji jestem od siedmiu lat – rozpoczęła niepewnym głosem. – Od początku pod skrzydłami podkomisarz Paleolog. Współdziałałam z nią w zwalczaniu sutenerstwa i nierządu w stolicy. W tezcze znajdzie pan opinię pani podkomisarz o moich kompetencjach i osiągnięciach na tym polu. Mam też doświadczenie w pracy nad tworzeniem sylwetek psychologicznych osób podejrzanych. Pan rozumie, w czym rzecz, prawda?

– Tak, tak – przyznał zaskoczony Kaczmarek.

Takich umiejętności po Barbarze Przysłudze zupełnie się nie spodziewał.

W końcu dotarło do niego, dlaczego to akurat jego Kayser „pokarał” tą urodziwą, choć niechcianą pomocą.

– Czy... – zaryzykował pytanie. – Czy pracowała już może pani aspirant nad sylwetką potencjalnego przestępcy? Pani wie, nie chodzi mi o osobę podejrzaną o czyn kryminalny, ale o osobę poszukiwaną w śledztwie.

– Doskonale pana rozumiem, panie komisarzu. – Aspirantka Przysługa skromnie spuściła wzrok. – Nie, tego jeszcze nie robiłam, ale... Ale jestem

gotowa podjąć się takiego zadania. Nic tak nie rozwija, jak nowe wyzwania...

Święta prawda – przyznał w myślach Kaczmarek. Dziewczyna zaczynała go intrygować.

– Mam też ukończony fakultet chemiczny i praktykę w laboratorium Komendy Głównej – pochwaliła się Przysługa. – Wiem od pana inspektora, że śledztwo, które pan komisarz prowadzi, tyczy również chemii...

Pierwszy stres wyraźnie ustępował. Na okrągłe policzki aspirantki wychynęły niespodziewanie dwa rumieńce.

– Poniekąd, pani aspirant – przyznał chętnie, bo wzmianka o śledztwie dawała szansę na szybkie przejście do meritum sprawy. – Widzę, że pani umiejętności rzeczywiście mogą być bardzo pomocne. Zanim jednak zastanowimy się, jak je spożytkować, muszę przedstawić pani podstawowe kwestie związane ze śledztwem. Przede wszystkim musi pani wiedzieć, że szereg poszlak wskazuje na kobiece sprawstwo dwóch morderstw na terenie Poznania.

Gdy wypowiedział te słowa, w błękitnych oczach aspirantki Przysługi komisarz dostrzegł przebłysk autentycznego zainteresowania, a już na pewno ożywienia. Policjantka poruszyła się na krześle, zupełnie jakby chciała wstać i przejść się po gabinecie Kaczmarka.

Z tym „szeregiem poszlak” to trochę przesadziłem, uznał samokrytycznie komisarz. Zależało mu jednak na tym, by zrobić na podwładnej odpowiednie wrażenie.

– To... niezwykle pobudzające, panie komisarzu. – Na pojaśniałej twarzy aspirantki nie było już widać cienia tremy. – Będę wdzięczna za wszystkie informacje, które pozwolą mi na sporządzenie czegoś w rodzaju teczki osobowej osoby, której szukamy.

– Zakładając oczywiście, że dobrze interpretujemy to, co dotychczas zebraliśmy – zastrzegł się natychmiast Kaczmarek.

Szczere chęci i zaangażowanie policjantki naprawdę mu zaimponowały. A błysk w jej oczach świadczył, że jej inicjatywa bynajmniej nie jest na pokaz. To, co jeszcze kwadrans wcześniej wyglądało Kaczmarkowi na przykrość losu, nagle wydało mu się szansą na popchnięcie sprawy do przodu.

Może jednak aspirantka Barbara Przysługa z Warszawy do czegoś mu się przyda...

*Poznań, plac Wolności, około piętnastej*

– Masz?

– Mam. Ale kosztuje drożej.

– Czemu?

– Bo od konika. Oficjalnie nie było szans.

– Czyli za ile?

– Za dychę złotych polskich, kolego.

– Chyba na łeb upadłeś, Oluś. Dam ci piątaka, nie więcej.

– Albo dajesz dychę, albo fyraj<sup>19</sup>mi stąd. Mam dwóch innych chętnych, płacą od ręki. W końcu każdy chce zobaczyć, jak nasi leją szkopów, co nie?

Zniecierpliwiony Andrzej Dudko sięgnął do kieszeni, ale zanim wyciągnął z niej swoje oszczędności, spróbował raz jeszcze się potargować.

– No dobra, Oluś. Dam ci osiem. I jesteśmy kwita.

– Chyba z konia spadłeś, Andrzejku. Za tyle od konika wziąłem, to tobie mam darmo oddać?

– Ech, ty żydzie pierdolony... – syknął ze złością Dudko, wyciągając ze spodni stary wytarty portfel.

Z jego wymiętego wnętrza wydobył nie mniej sfatygowane dwa banknoty pięciozłotowe i podał Olkowi Kiedaczowi, znanemu w śródmieściu specjalście od spraw niemożliwych, a już zwłaszcza od biletów na najważniejsze imprezy sportowe.

– No, trzeba tak było od razu – ucieszył się Oluś.

– A gdzie mój bilet, łachudro?

– No, no, tylko grzeczniej proszę! – Kiedacz poczuł się lekko urażony. – Masz, masz! Piąty rząd, wyobrażasz sobie?! A ty mi z ósemką nędzną wyskakujesz! Wstydu nie masz za grosz!

– Dobra, dobra, ty orle koników! – obruszył się tym razem Dudko. – Może i Niemcy dostaną w pysk. Ale w jednym pojedynku górą musi być szwab, rozumiesz? Ten, który będzie walczyć z żydkiem Rotholcem. Nie będzie nam żaden mosiek w koszulce z orłem na ringu walczył!

– Ale Rotholc to chyba mistrz Polski – zaprotestował niespodziewanie Kiedacz, z zakłopotaniem poprawiając kaszkiet na głowie. – On niezły walczak jest, na pewno szkopa pokona!

– Żaden tam mistrz, tylko cwaniak! – pouczył go Dudko, wykorzystując słowa zasłyszane od kolegów z ONR. – Miejsce zdolnym Polakom w kadrze blokuje. Prawdziwym Polakom! I dlatego powinien dostać wycisk. A ja to chętnie zobaczę. Choćby i za tę dychę, niech stracę!

Olek Kiedacz spojrział na Dudkę bykiem. Czegoś tu nie rozumiał, ale nie zaryzykował dalszej dyskusji. Andrzej był wyższy i dużo silniejszy, w przypadku scysji z pewnością spuściłby mu manto. Albo nasłał na niego swoich koleśków z organizacji. Nie, takich komplikacji Kiedacz zdecydowanie sobie nie życzył.

– Bilet masz, jak było obiecanie – podsumował dopiero co sfinalizowaną transakcję. – Mam nadzieję, że mecz ci się spodoba. A może chcesz też bilet na najbliższy mecz Warty?

– Nie, dzięki. – Twarz Andrzeja Dudki wykrzywiła się w lekceważącym grymasie. – Boks to prawdziwie męski sport. A futbol... Futbol jest dobry dla pederastów.

*Prezydium Policji, kwadrans po piętnastej*

Głos doktora Marciniaka w słuchawce zdradzał żywe emocje, które malowały się zapewne na jego steranej życiem twarzy.

– Mam już wyniki badania toksykologicznego naczyń z mieszkania Kopy – zachrypiął lekarz.

– I? – zapytał Kaczmarek.

– Na jednym z talerzy odkryliśmy śladowe ilości arszeniku – wyznał Marciniak.

– A więc jednak! – westchnął komisarz.

Zaraz potem uznał, że ten nowy szczegół powinna poznać aspirantka Przysługa. W końcu otrzymała zadanie stworzenia czegoś w rodzaju portretu zabójcy, a liczył się każdy detal.

– Możemy mówić o recydywie, drogi Biniu – podsumował w swoim stylu Marciniak. – Nasz seryjny morderca posługuje się wcale zręcznie trucizną. To zdaje się coś nowego na naszym terenie? Ostatnią sprawę z otruciem pamiętam jeszcze z czasów Wilusia. Ale wtedy okazało się, że winny zatrucia był jad kiełbasiany, nie perfidny zabójca.

Kaczmarek słuchał go niespecjalnie uważnie, mrużąc do słuchawki zdawkowe przytaknięcia. Zastanawiał się nad potwierdzonym właśnie faktem identycznego *modus operandi* sprawcy. Wyglądało na to, że zabójca albo zabójczyni postępuje w zaplanowany sposób. Szybkość działania mordercy czy morderczyni sugerowała dobre przygotowanie całej akcji



i nasuwała niejasne przeczucie, że denat Kopa ze Starołęki wcale nie musi być ostatni na liście ofiar.

Komisarz zrozumiał, że powinien jak najszybciej wgryźć się w biografię obu zamordowanych. I znaleźć jak najwięcej elementów łączących ofiary. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mu, że klucz do zagadki musi tkwić w ich przeszłości.

– Dziękuję, Wojtuś. Dobra robota – pochwalił doktora.

Poprosił o oficjalne wyniki na papierze i się rozłączył. Spokoju nie dawała mu myśl o opróżnionej kieszeni płaszcza Dymeckiego. Ktoś ewidentnie wyjął z niej coś tuż po śmierci Jędrzeja na schodach... Tylko kto? I co?

Czy było to coś, co mogło pomóc w identyfikacji mordercy?

Ziewnął przeciągle i nagle przypomniał sobie o zadaniu Gruszeckiego. Cholera, przez to całe nocne zamieszanie na Starołęce nie usłyszał jego raportu!

Sięgnął raz jeszcze po słuchawkę i wykręcił numer centrali.

– Połączcie mnie z aspirantem Gruszeckim.

Kiedy dyżurny oddzwonił, Kaczmarek westchnął zawiedziony.

– Aspirant Gruszecki wykonuje swoje zadania w terenie – usłyszał od dyżurnego. – Nie opowiadał się, o której wróci.

– Dziękuję – burknął komisarz i odłożył słuchawkę na widełki.

Co może w tej chwili robić Gruszecki? – zastanawiał się przez moment. Pewnie idzie krok w krok za Rüdigerem. Może jest na treningu Niemców?

Nerwowo sięgnął do kieszeń spodni, by wyjąć z niej nieco pognieciony kartonik w kształcie prostokąta. Jest! Bilet na mecz międzypaństwowy Polska – Niemcy nie przedstawiał się wyjątkowo okazale. Ot, kawałek białej tekturki z czarnym nadrukiem. Kosztował go równe pięć złotych,

miał jednak wrażenie, że były to wyjątkowo dobrze zainwestowane pieniądze.

*Mieszkanie nad Palmarium, Półwiejska 5, w tym samym czasie*

– A czy tatuś musi znowu iść do placy? – zapytała Gabrysia, śliczna mała dziewczynka o nieco ciemniejszym odcieniu skóry.

Przeglądała właśnie bajeczki na kanapie i szczerze się zmartwiła na widok Sama Sandiego nakładającego po raz kolejny liberię na swój atletyczny tors. Nie wiadomo, czy właśnie ze względu na strój, czy na sławę afrykańskiego kraju, tak czy owak, Sandi nazywany był żartobliwie na łamach nie tylko poznańskiej prasy „ambasadorem pełnomocnym Liberii”. A może było tak dlatego, że dobrze znał aż cztery języki, a w Warszawie uczył panienki z dobrych domów języka angielskiego? To właśnie w ten sposób poznał swoją przyszłą żonę, młodszą od niego o równo dziesięć lat.

– Muszę, córeczka – odpowiedział ojciec, też zasmucony jak Gabrysia. – Praca daje piniązek. A bez piniązek trudno żyć...

– Józek! – Łucja, z domu Woźniak, małżonka Sama, pogroziła swojemu mężowi palcem. – Ty Gabrysi o pieniądzach za wcześnie nie opowiadaj! Ty jej lepiej szybko jakąś bajeczkę wymyśl. Tak bardzo je lubi. Inaczej przez cały wieczór będzie nie w sosie!

Sam zrobił duże oczy, a na jego twarzy zagościł niewinny uśmiech.

– Jak jej smutno jest, to niech przez okno popatrzy – poradził. – Jak tatulka zobaczy, to od razu radoszcz będzie.

– Kiedy ty, Józek, częściej ostatnio w lokalu przesiadujesz i te swoje karty przed ludźmi rozkładasz. Strach pomyśleć, co ty im tam przepowiadasz – docięła mu znowu Łucja.

– Z tego piniązek jest – zauważył trzeźwo jej małżonek.

– Wiesz, Józek, a ja się im dziwię. Tym wszystkim damulkom, co to do ciebie po wróżby przychodzą – Łucja nie darowała Samowi, puszczając do niego jednocześnie zalotnie oko. – Przecież ty żadnych papierów na to twoje wróżenie nie masz. To jeden pic na wodę...

– No, no! Żona, uważaj! – zdenerwował się Sandi. Uwaga Łucji najwyraźniej uraziła jego zawodową dumę. – A na walki w cirku Staniewski papiery miałem? A walczyłem, *isn't truth?*<sup>20</sup>

– Do tego to ty miałeś mięśnie – zauważyła jego ukochana, śmiejąc się głośno.

– Jak to miałem? A nie mam? – Sandi zgiął prawą rękę w łokciu, prezentując nadal okazały biceps, który napiął zielen liberii.

– Masz, masz! – Łucja objęła go w pól, a potem zwiesiła mu się na szyi. – Masz, ty mój Herkulesie! No dobrze, idź już do roboty. Piniązek dobra rzecz, ale ojciec jeszcze lepsza. Gabrysia, pamiętaj o tym! Tatuś być musi i już!

– Tatusiu, pomodlę się dziś za ciebie – oświadczyła niespodziewanie Gabrysia znad książeczki z obrazkami.

Widząc szczęście rodziców, porzuciła bajeczki i zeskoczyła z kanapy, by się do nich przytulić.

– Ale najpierw opowiesz mi bajeczkę!

Sandi rzucił spłoszonym wzrokiem na zegar w rogu pokoju.

– Kiedy ja muszę do pracy. Późno już...

– Tatusiu!

– Józek, nie daj się dziecku prosić!

– No dobrze, już dobrze! Ale taka króciutka będzie.

Gabrysia aż podskoczyła z radości. Drobnymi paluszkami chwyciła za potężną dłoń ojca i pociągnęła go ku kanapie.

Mebel aż jęknął, kiedy zwarte ciało byłego zapaśnika spoczęło na nim obok drobniutkiej dziewczynki.

– To o czym będzie ta bajeczka?

– No... – Czołowy wykidajło Palmarium przez chwilę szukał gorączkowo natchnienia.

Aż nagle je znalazł, a może raczej to ono do niego przyszło. Wraz ze świeżym zawodowym wspomnieniem.

– Był sobie raz niedobry pan Bombka – zaczął opowieść Sandi. Aby lepiej odmalować antypatyczność bohatera, zaczął przemawiać grubym głosem. – Ten pan niemił, straszyć małe dzieci. Krzyczał na nie mocno, bo ich nie lubić...

– A czy ten pan Bombka miał choinkę z bombkami? – zapytała całkiem do rzeczy Gabrysia, nieco złęknioma tonem głosu tatusia.

Łucja stała oparta o framugę drzwi i nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– A tak, miał choinka. Miał! – przypomniał sobie Sam. – On ją ukraszczał małej dziewczynce imieniem Krisia...

– A to zbój – wyrwało się przejętej córeczce.

– Duży zbój, córeczka. Wielki jak *tower*! Ale trafiła kosa na sztos! Santa Claus usłyszał, co zrobić ten niedobry pan. I wisiał do niego pana od czarna robota. Silnego człowieka, żeby poszukał ta choinka...

Łucja ocierała dłonią łzy kapiące jej z oczu. Jej mąż posiadał niewątpliwie wiele talentów, ale ten – narracyjny – wybijał się na pierwszy plan. Był po prostu wymarzonym ojcem, który szalenie kochał swoją córeczkę. I potrafił z nią rozmawiać.

– I co? I co? – W błękitnych oczach dziewczynki rozbłysły iskierki.

– Pan od czarna robota znalazzcz pana Bombkę na czarna ulica...

– Józek! – Łucja nagle spoważniała.

Według niej historia zrobiła się niespodziewanie zbyt mroczna dla małego dziecka.

– I zaprowadzić go do jego domu – wyjaśnił z łagodnym uśmiechem na twarzy ojciec Gabrysi. – A tam grzecznie go zapitać, gdzie choinka Krisi.

– I co? Tatuś, i co?!

Sandi wyszczerzył swoje nienaturalnie białe zęby w szerokim uśmiechu.

– A wtedy pan Bombka pęknąć ze stracha, jak prawdziwa bombka. I oddać grzecznie panu od czarna robota to, co ukraść.

– A jaka była kara? Tatuś, jaka kara?!

– Kara? – zastanowił się Sam. – Za kara niemiłi pan Bombka nie wejść do żadna restauracja w tym mieście.

*Zaplecze Hali Reprezentacyjnej Międzynarodowych Targów Poznańskich,  
w tym samym czasie*

Trening był długi i wyczerpujący. Może nawet zbyt wyczerpujący jak na ostatnie przetarcie przed niedzielną walką. Ale Szapsel Rotholc nie dbał o zmęczenie. Doskonale wiedział, że pot wylany na treningu odwdzięcza się później na ringu w realnej walce. A on miał jutro walczyć z nie byle kim, bo z samym Wernerem Spannagelem. Z pewnością nie będą to przelewki!

Reprezentanci Polski siedzieli na szerokiej ławie, oparci plecami o szafki z rzeczami osobistymi. Nie mieli nawet siły, by pójść pod prysznic, nie mówiąc już o wrzuceniu na siebie reprezentacyjnych dresów. Obok spoconego jak mysz Rotholca klapnął ciężko nie mniej zmęczony Czesław

Cyraniak, bokser poznańskiej Warty, w całej sportowej Polsce zwany powszechnie Kajnarem. Rzucił okiem na ponurą twarz kolegi i nie powstrzymał się od pytania:

– A ty, Szapsio, co siedzisz taki nadąsany, jakby cię osa ugryzła? Trening był fest, prawda. Ale krzywić się nie ma co, taka nasza robota!

Rotholc westchnął ciężko. Pech chciał, że przypomniał mu się kąśliwy antysemityczny tekst „Kuriera Poznańskiego”, który niedawno przeczytał. O podstępnych Żydach, którzy dybią na szczęśliwą przyszłość narodu polskiego.

– Ech, szkoda gadać...

– No przecież widzę, że coś cię gryzie, Szapsio. Dawaj! O co chodzi?

– Ech... – Rotholc się zawahał. – W hotelu czytałem „Kurier”... Ty wiesz, jak oni o Żydach piszą? Jak o najgorszych robakach. A ja mam ich jutro reprezentować! Dać sobie za nich obić mordę?!

Kajnar machnął ręką, a potem objął nią przyjaźnie Rotholca. I mocno potrząsnął jego pozornie filigranowym ciałem.

– Daj spokój, Szapsio! Wszędzie znajdziesz jakichś idiotów, nie ma reguły!

– Ale to pisze polska gazeta! Polska, a pisze jak niemiecka!

– To szmata jest, nie ma o czym gadać!

– Ale...

– Wiesz co? – wszedł mu w słowo Cyraniak. – Mam dla ciebie dobrą radę, brachu. Ty się po prostu nie przejmuj tymi bzdurami, które wypisują różni postrzeleńcy. Zamiast tego jutro po prostu lej tego szwaba w pysk. Mocno i celnie. Gwarantuję ci, że gdzie jak gdzie, ale w Poznaniu, bracie, wszyscy od razu szanować cię będą!

– Żartujesz...

– Ani przez chwilę, Szapsio. Ani przez chwilę! A jak go pokonasz, to dopiero zobaczysz! Nawet w tym głupim „Kurierze” będą musieli cię pochwalić. A wtedy zobaczysz, jak to dobrze smakuje! Zobaczysz!

Szapsel Rotholc pokręcił z niedowierzaniem głową. Ale w podzięcie uśmiechnął się do Kajnara. W końcu Czesiu pochodzi z Poznania, to chyba wie, co mówi...

### *Podgórna, szesnasta z minutami*

Sobota miała ten plus, że Kaczmarek mógł wrócić do domu szybciej niż zwykle. Po dłuższej naradzie z aspirantką Przysługą, która okazała się osobą bardzo otwartą na sugestie nowego szefa, komisarz uznał, że wyczerpał wszystkie możliwości, jakie dawał kończący się tydzień, i we względnym spokoju ducha udał się na zasłużony odpoczynek.

Niepokoilo go jedynie to, że stracił kontakt z Gruszeckim. Mimo to ufał, że podwładny okaże się sumienny i odezwie się wieczorem o ustalonej porze. Chciał bowiem wiedzieć, jak „sprawuje się” Rüdiger. Miał nadzieję, że Niemiaszek wywinie coś, co da mu pretekst do reakcji. Zabójstwa z ostatnich dni sprawiły, że czas na jakikolwiek ruch wobec Niemca dramatycznie się kurczył. W poniedziałek ekipa z zachodniej granicy miała wszak wracać do Rzeszy...

Gruszecki na pewno zadzwoni – uznał w końcu i wreszcie ten dręczący świder w jego głowie na moment odpuścił.

Schodząc w dół ulicy Nowej, przyglądał się witrynom sklepów w Bazarze. Lonia prosiła go niedawno, by znalazł w końcu czas i towarzyszył jej w zakupach. Kaczmarek szczerze tego nie znosił, uznał wszakże, że dla poprawy relacji małżeńskich dobrze będzie spełnić tę

prośbę. Sęk w tym, że po całym tygodniu pracy zwyczajnie nie miał ochoty chodzić po sklepach. Jak jej to teraz zgrabnie wytłumaczyć?

Miasto pachniało już wiosną. Ciepłe powietrze owiewało twarz komisarza, gdy przyglądał się twarzom pasażerów tramwaju linii 1, który walczył z ostrą pochyłością ulicy, posuwając się mozolnie w stronę Plajty. Ludzie jechali do domów swobodni, odprężeni, radośni. Perspektywa spokojnej niedzieli, odpoczynku i słodkiego<sup>21</sup> przy stole nastrojała każdego optymistycznie do życia.

Doszedł do rogu Nowej i Szkolnej i skręcił w prawo, ku domowi. Przed sobą, po lewej stronie miał teraz okazały, okraszony wielkimi szklanymi witrynami dom towarowy Deierlinga, po prawej – ciężką, ceglana sylwetę szpitala miejskiego. Mimo późnej pory w sklepie znanego kupca aż kłębiło się od klienteli. Zupełnie inaczej niż w drzwiach do lecznicy – tu akurat chętnych do wejścia brakowało.

Kaczmarek zostawił dom towarowy za sobą i wszedł do kamienicy z numerem 10. Chwilę później zasapał się na schodach, które poprowadziły go na drugie piętro. Muszę coś zrobić z moją wagą – uznał samokrytycznie. To, że w ostatnich latach przybrał w pasie, trudno było ukryć.

– Biniu, nareszcie jesteś! – ucieszyła się na jego widok Lonia. – Jak ci minął dzień w pracy?

Żona prezentowała się uroczo w lekkiej spódniczce i koszuli z żabotem.

– Ech, długo by gadać... – Machnął ręką. Zdjął prochowiec i odpiął spod lewej pachy kaburę z parabellum. – Najgorsze, że dali mi do pomocy babę...

Lonia zrobiła duże oczy, a uśmiech momentalnie zamarł na jej twarzy.

– Co ty powiesz, Zbyszku... – Pokręciła głową, jakby jej mąż powiedział coś niedopuszczalnego. – Chodź do salonu, proszę. Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć...



– Kiedy nie ma o czym. – Kaczmarek chyba nie dostrzegł zmiany na obliczu małżonki, bo nadal nie rozumiał, że brnie jak ślepy w bagno. – Przysłali taką jedną, młodą, prosto z Warszawy. Ma mi pomagać w śledztwie.

– Młodą... Z Warszawy powiadasz? A co oni tam swoich śledztw nie mają, że muszą do nas przyjeżdżać?

Dopiero ostatnie pytanie Loni uruchomiło w głowie komisarza dzwonki alarmowe. Na wycofanie się było już jednak zdecydowanie zbyt późno. Postanowił więc sprawę zbagatelizować.

– Kochanie, to rutynowa sprawa – odpowiedział, kierując się do łazienki, by umyć ręce. – W stolicy mają funkcjonariuszki, które co jakiś czas rozsyłają po kraju, żeby się dziewczyny nie nudziły...

– Nie nudziły?... – podchwyciła w lot małżonka. – A w Poznaniu to tyle macie obowiązków, że musicie się dziewczynami z Warszawy wyręczać?

Kaczmarek zatrzymał się w pół drogi do łazienki, by uśmiechnąć się promieniście do Loni. Rozumiał już, że sytuacja robi się niezręczna, ale nie wyczuwał jeszcze potencjalnego niebezpieczeństwa.

– Loni, kochanie moje – przemówił ciepło. – Chyba nie jesteś zazdrosna, co? Zapewniam cię, że nie masz powodu.

Słowa, które w zamiarze komisarza miały rozluźnić atmosferę, niespodziewanie jeszcze ją zagęściły.

– Ja? Zazdrosna? – Lonia zmarszczyła brwi. Jej usta się uśmiechały, ale wzrok już mówił coś o wiele mniej radosnego. – A mam o kogo, Biniu? Ładna jest?

W najmniejszym stopniu nie miał ochoty wchodzić na tę minę, by jednym głupim słowem wysadzić w powietrze nadchodzącą niedzielę.

Zastanowił się więc nad odpowiedzią na tyle, na ile mógł to zrobić w ciągu dwóch sekund.

– Szpetna nie jest – próbował obrócić sprawę w żart. – Urody przeciętnej, że tak powiem...

Z grymasu na twarzy żony wyczytał, że obrał kiepską taktykę.

– Nie jest szpetna, powiadasz? – zagaiła niby niewinnie. – Przeciętnej urody? Nie rozumiem, po co mi o niej w ogóle mówisz, Biniu.

Kaczmarek westchnął głęboko – jak ciężkie potrafi być czasem życie.

– Przecież pytałaś, co u mnie w pracy. To ci odpowiadam, żabciu. Szczerze jak na spowiedzi. Niczego nie ukrywając.

– Mam nadzieję, Biniu... – Pogroziła mu palcem, niby tak zwyczajnie, życzliwie, a jednak Kaczmarek poczuł lekki dreszcz na karku. – Nigdy wcześniej nie pracowałeś z żadną... – Lonia przez chwilę szukała właściwego słowa – ...z żadną funkcjonariuszką. A już tym bardziej ze stolicy. Więc się nie dziw, że ja się dziwię.

– Rozumiem to, Loniu. Wierz mi, byłem równie zaskoczony. Wszystko przez Kaysera. To jego pomysł. Ja sam w życiu bym się na to nie zgodził.

– Czyżby?

– Zapewniam cię, że najbardziej lubię pracować sam.

Spojrzała na niego uważnie, zapewne wypatrując na twarzy męża jakichś oznak zmieszania albo niepewności. Ale ich nie znalazła.

Kiedy Kaczmarek był już w łazience i przymknął drzwi, puknął się otwartą dłonią w czoło.

Taki stary, a taki głupi – pomyślał.

*Pod hotelem Monopol, późnym wieczorem*

Coraz częściej spoglądał na zegarek, przekonany, że tej soboty nie wydarzy się już nic znaczącego. Cały rzetelnie przepracowany dzień przyniósł niewiele sensacyjnych spostrzeżeń. Wywiadowca Gruszecki podejrzewał, że właściwie godziny te może uznać za czas stracony. No, może poza jednym faktem: zaobserwował telefoniczną rozmowę śledzonego Niemca. Nie wiedział jednak, z kim ani o czym dyskutował.

Ciepły wieczór kusił innymi atrakcjami: na pewno wesoło już było w niedalekim Trocaderze przy placu Nowomiejskim albo w Moulin Rouge na Kantaka. Tymczasem aspirant tkwił *vis-à-vis* wejścia do Monopolu, daremnie wypatrując krępej sylwetki szefa niemieckiej kadry. Pewnie zaszył się w swoim pokoju i duma o jutrzejszym meczu – pomyślał wywiadowca. Całe szczęście, że urwał się z końcówki treningu i zanim Niemcy wrócili do hotelu, podpytał personel, w którym konkretnie oknie może zobaczyć Rüdigera. Policyjna odznaka i patriotyzm jednego z hotelowych boyów zrobiły swoje – wiedział więc teraz, które okno uważnie obserwować.

Zgrzyt kół tramwaju odbijającego się w jasno podświetlonych oknach Banku Cukrownictwa uświadomił mu, że rzeczywiście czas się zwijać. Przez hotelowe drzwi wchodzili i wychodzili coraz to nowi ludzie, aczkolwiek w liczbie mniejszej niż jeszcze przed godziną. Gruszecki uznał, że będzie z jego strony przyzwoicie, jeśli wytrwa na posterunku do dwudziestej pierwszej trzydzieści, potem wróci do komendy i o dwudziestej drugiej zadzwoni do Kaczmarka, a następnie uda się na w pełni zasłużony odpoczynek do któregoś ze śródmiejskich lokali. Plan wydał mu się z gruntu uczciwy i sprawiedliwy.

Na cyferblacie swojego zegarka zobaczył dwudziestą pierwszą dwanaście. Oznaczało to, że zabawi jeszcze chwilę na ulicy Mielżyńskiego, spacerując wzdłuż sklepowych witryn i zerkając raz po raz w ciemne,

zasłonięte w dodatku okno na drugim piętrze Monopolu. Sprawa obserwacji w takich warunkach przedstawiała się beznadziejnie, ale postanowił być wierny swoim ustaleniom. Ruszył więc powolnym krokiem sprzed okazałej fasady Banku Cukrownictwa w dół ulicy, ku placowi Nowomiejskiemu.

Gdzieś tutaj znaleźli ciało tego kombatanta – przypomniał sobie, mijając jedną z bram wysokich kamienic o monumentalnych frontonach. Jak mu tam było? Dymecki czy jakoś tak... Gruszecki nie zajmował się bezpośrednio tą sprawą, ale obito mu się o uszy, że bodaj dwa dni wcześniej był tu Kaczmarek z ekipą. A to oznaczałoby, że Dymecki zapewne nie zmarł z przyczyn naturalnych. Czyżby Niemiec, którego śledził, miał z tym coś wspólnego? W końcu mieszka całkiem niedaleko. Raptem kilkadziesiąt metrów...

Spojrzał w tył, ku hotelowi, i gwałtownie przystanął.

W oknie na drugim piętrze nagle zobaczył światło. A zaraz potem męski cień podchodzący do zasłony i poprawiający ją ręką w samym rogu.

Wrócił do pokoju – uznał Gruszecki i natychmiast skierował się w górę ulicy, ku placowi Gwarnemu. Jednocześnie nie spuszczał oka z okna Niemca.

Cień lokatora odsunął się od zasłony i szybko stracił na ostrości. Przez dłuższą chwilę na tle kotary nic się nie działo, gdy nagle...

W pokoju był ktoś jeszcze!

Drugi cień pojawił się na tle zasłony w momencie, gdy Gruszecki zamierzał porzucić obserwację hotelu. Teraz nie mógł spuścić okna z oczu. Wreszcie się coś działo! Wreszcie będzie się mógł wykazać przed przełożonym!

Drugi cień był smukły, nieco niższy od Rüdigera, miał głowę ozdobioną kokiem i... wiernie oddany grą światła biust.

Chwilę później w pokoju znowu zapanowały egipskie ciemności.

Gruszecki podrapał się po głowie, a potem zwątpił w sens swojej pracy. Wyglądało na to, że Niemiec brał życie znacznie przyjemniej niż on.

---

17 Stanisława Paleolog (1892–1968) – w 1934 roku podkomisarz Policji Państwowej, od 1925 roku organizatorka i do 1939 roku kierowniczka Policji Kobiecej w Polsce.

18 Porzundna (gwara poznańska) – porządna.

19 Fyrać (gwara poznańska) – uciekać, spadać.

20 *isn't truth?* (ang.) – to nie jest prawdą?

21 Słodkie (gwara poznańska) – ciasto.

BIJ GO PO SWASTYCE!



### ***Dziennikarze polscy odlecieli do Niemiec***

*Warszawa (Tel. wł.). W dniu dzisiejszym o godz. 9 rano wystartowali z lotniska na Okęciu dziennikarze polscy udający się na zaproszenie ministra Goebbelsa z wizytą do Niemiec. Po dziennikarzy polskich przybył wczoraj z Berlina wielki, 17-osobowy samolot typu Junkers, który przywiózł dwóch przedstawicieli niemieckiego ministerstwa propagandy i ministerstwa spraw zagranicznych. Program wycieczki dziennikarzy polskich po Niemczech jest bardzo obszerny i obejmuje zwiedzenie całego szeregu ośrodków kulturalnych i gospodarczych. (M)*

„Dziennik Poznański”, 29 kwietnia 1934

*Poznań, niedziela, 29 kwietnia 1934 roku, dzień meczu bokserskiego*

Kaczmarek spał tej nocy wyjątkowo źle. Być może z powodu zbyt ciepłej kołdry, niezmienionej jeszcze od pory zimowej mimo nastania wysokich temperatur. A może raczej winny był nocny telefon od Gruszeckiego. Aspirant poinformował go, że w ciągu całej soboty niemiecki trener w zasadzie nie opuszczał swojej ekipy. Ale podkreślił też, że w godzinach porannych Niemiec wykonał telefon z hotelowego holu pod nieustalony numer. A wieczorem zabawił się – wszystko na to wskazywało – w niewybredny sposób, sprowadzając sobie luksusową prostytutkę. Taki przynajmniej wniosek wysnuł wywiadowca Kaczmarka na podstawie obserwacji pokoju podejrzanego.

Komisarz nie miał podstaw, by mu nie wierzyć, choć kilkakrotnie pytał podwładnego, czy widział tę kobietę. Gruszecki był tak pewny swojej racji,

że poczuł się lekko urażony wahaniem szefa.

– Kiedy tylko pojawiła się w jego pokoju, zaraz zgasili światło – zaznaczył, co w jego mniemaniu ucinąło temat.

Kaczmarek nie zamierzał z nim polemizować. Jeśli to prawda, to Niemiec postąpił bardzo ryzykownie. Kontakty intymne z panienkami z niewiadomego źródła groziły nie tylko problemami natury wenerycznej, ale także innymi, zwykle słabo znanymi obcokrajowcom atrakcjami, typu kradzież lub szantaż. Ponieważ jednak z prostytutką zabawiał się człowiek podejrzany o ciężkie pobicie jego podwładnego, ewentualne kłopoty tego człowieka niezbyt go obchodziły.

Lonia od rana była inna niż zwykle. W nocy darmo szukał czułości. Odpowiadała mu półsłówkami, uśmiechała się z rzadka. Wyczuwał w powietrzu jakieś nieznośne napięcie. Pewnie dlatego od porannego golenia jego myśli krążyły wyłącznie wokół boksu. Wreszcie poczuł się nieco odprężony i gotowy na sportowe doznania. Zakładał oczywiście, że pupile Rüdigera odbiorą w hali targów zasłużone lanie od orłów polskiego boksu.

Do meczu było jeszcze sporo czasu, rozpoczynał się dopiero o dziewiętnastej. Po śniadaniu Kaczmarek usiadł więc w fotelu i sięgnął po „Dziennik Poznański” z poprzedniego dnia. Szukał wzmianek o meczu, ale musiał się natrudzić, by przeczytać niewielką notkę na szpalcie sportowej.

*Jak się dowiadujemy, mecz bokserski Polska – Niemcy transmitowany będzie przez rozgłośnię poznańską Polskiego Radia. Na wszystkie rozgłośnie polskie transmitowany będzie fragment meczu od godz. 19.30 do 19.45, zakończenie zaś zawodów transmitowane będzie na niemieckie stacje przez specjalnego speakera przybywającego z Berlina.*



No, no – skwitował w myślach Kaczmarek. Zapowiada się duża impreza, rośnie prestiż tego pojedynku.

Tuż obok znalazł informację o zmianach w składzie reprezentacji Polski, ale jego uwagę – obok tytułów o wstrzymanych przez Niemcy reparacjach wojennych i zbrojeniach Rzeszy – przykuł artykuł na środku strony czwartej. *Samobójstwo asesora Witka* – głosił bity na dwie szpalty tytuł. A korespondent „Dziennika” relacjonował:

*Ubiegłej nocy w biurach Samopomocy Kolejarzy przy D.O.K.P., mieszczących się w pasażu Apollo, strzałem rewolwerowym w prawą skroń pozbawił się życia 36-letni asesor, kol. Władysław Witek (Kolejowa 6a). Zimne już zwłoki denata znaleziono dzisiaj rano, gdy personel przyszedł normalnie do pracy. Śp. Witek siedział przy biurku z głową pochyloną, robiąc wrażenie, jakby usnął zmęczony pracą. Denat pozostawił na biurku listy do rodziny i dyrekcji kolei, w których jako powód samobójstwa podaje silny rozstrój nerwowy. Śp. Witek znany był w szerokich kołach naszego miasta, a ostatnio był prezesem Legii Inwalidów Wojennych.*

Kaczmarek aż się wzdrygnął z wrażenia. Nic o tym samobójstwie nie słyszał w komendzie, a przecież to draka jak diabli. Czyżby Kayser o tym nie wiedział? A może celowo nic mu o tym nie wspomniał? Jeśli tak, komisarz uznał to za błąd. Ostatnie zdanie prasowej informacji z miejsca wzmogło w nim czujność. Matko Boska, to przecież trzeci denat w ostatnich dniach związany ze środowiskami kombatanckimi! Wprawdzie nie ma słowa o truciźnie, ale kto jest pewny, że było to samobójstwo?

Zaniepokojony podniósł się z fotela i poszedł szybkim krokiem do swojego gabinetu. Bez namysłu wykręcił prywatny numer inspektora

Kaysera. Przez uchylone okno dochodziło do niego bicie dzwonów w nieodległej farze. Chwilę później usłyszał głos szefa.

– Mówi Kaczmarek. Szefie, dlaczego nic nie wiem o śmierci prezesa Witka? – zagadnął wprost przełożonego.

Kayser ziewnął w słuchawkę.

– Zajmuje się tym Zieliński, celowo mu to dałem. Nie chciałem, żebyś się rozpraszał. W końcu obrodziło nam ostatnio trupami.

– Ależ szefie – zdenerwował się śledczy – przecież te śmierci może coś łączyć! Nie widzi szef, że wszystkie trzy są do siebie podobne?

– Nie widzę – odparł hardo Kayser. – Ty masz prawdziwe zabójstwa, a Zieliński dostał zwykłe samobójstwo.

– Jest szef pewny, że to samobójstwo?

– Facet strzelił sobie w głowę w nocy, bez świadków. Wcześniej napisał listy pożegnalne. Jak to inaczej nazwiesz, Biniu? Nic nie wskazuje na udział osób trzecich. Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Ale we wszystkich trzech przypadkach denatami są znani lub nawet prominentni weterani czy kombatanci wojenni – podsunął trop Kaczmarek.

– Tak wyszło – mruknął bez przekonania Kayser. I dodał: – Zieliński jest pewny, że Witek sam targnął się na swoje życie. Twoje przypadki zdają się natomiast wskazywać na udział osób trzecich.

– A jeśli to również samobójstwa? Tyle że za pomocą trucizny?

– To bez sensu, panie kolego. Żaden mężczyzna nie będzie się sam truł. Są lepsze sposoby, by ze sobą skończyć, Biniu! Jest niedziela, ochłoń trochę. Odpocznij, rozerwij się. *À propos...* Jak układa się współpraca z aspirant Przysługą?

W ostatnich słowach szefa Kaczmarek wyczuł coś w rodzaju złośliwego podszczypywania.

– Dziękuję, nie najgorzej – bąknął do słuchawki i natychmiast się pożegnał.

Może rzeczywiście niepotrzebnie podpalił się tym artykułem o samobójstwie prezesa Legii Inwalidów Wojennych? Z drugiej strony poczuł palący dyskomfort, że o takiej sprawie dowiaduje się z gazety. I że szef nie był mu łaskaw wspomnieć o tym choćby słowem...

Zrobił krok w stronę salonu i odniósł nieprzyjemne wrażenie, że jest śledzony. Lonia bezszelestnie wycofała się za framugę drzwi kuchennych, zdążył jednak zauważyć, że wcześniej uważnie mu się przyglądała.

Czyżby podsłuchiwała jego służbową rozmowę?

*Śniadalnia Braci Dawidowskich przy Gwarnej 17, tego samego dnia około dziesiątej*

Na świeże paróweczki okraszone musztardą i z ciepłymi jeszcze bułeczkami u Dawidowskich zawsze można było liczyć, nawet w niedzielę. Wywiadowca Gruszecki nie odmówił więc sobie tej przyjemności, tym bardziej że przez wielkie okno śniadalni doskonale widział wszystko, co aktualnie działo się przed wejściem do Monopolu. Takie warunki pracy lubił – i bez znaczenia było, że musiał wypełniać swoje obowiązki służbowe w niedzielę. Humor zepsuł mu tylko nieco wczorajszy telefon do Kaczmarka – komisarz zdawał się mu nie dowierzać, że Rüdiger ściągnął na noc prostytutkę. A po co, do diabła, zaprasza się do hotelu kobietę? W dodatku wieczorową porą. Może zresztą to właśnie w tej sprawie Rüdiger dzwonił rano z hotelu? Może także w Poznaniu można już było zamówić sobie kurwę do pokoju? Choć osobiście Gruszecki nic o takiej usłudze nie słyszał – nie pracował wszak w obyczajówce! – nie mógł przecież wykluczyć, że dla wtajemniczonych wszystko było możliwe.

Pałaszował ze smakiem zmielone mięso, poprawiając jego smak nieco cierpką musztardą i popijając pierwszorzędną brazylijską kawą Santos. Kofeina pobudzała go do życia i zdecydowanie wyostrzała zmysły. Na tyle, że jego uwagi nie umknął francuski bus, który podjechał dostojnie prosto pod obserwowany hotel. Czyżby władze miasta podstawily Niemcom transport na mecz? Ale dlaczego tak wcześnie?

Oderwał się od konsumpcji ostatnich kęsów parówki i wyteżył wzrok. Przez dłuższy czas z Monopolu nikt nie wychodził. Aż wreszcie w szklanych drzwiach pojawiły się elegancko ubrane kobiety w średnim wieku. Było ich w sumie kilkadziesiąt, wszystkie wsiadły natychmiast do zaparkowanego przez wejściem pojazdu.

Wycieczka z Francji! – przypomniał sobie niemal w tej samej chwili Gruszecki. Gdy poprzedniego dnia rozmawiał z personelem hotelu, dowiedział się o goszczących u nich nauczycielkach z samego Paryża. To na pewno one – uznał bez cienia wątpliwości. Chyba wyjeżdżają na zwiedzanie miasta.

Uspokojony, napił się wyraźnie już chłodniejszej kawy i zjadł resztę parówki. Dawidowscy trzymali poziom. Wprawdzie o uszy obilo mu się, że mieli ostatnio problemy z prawem, a konkretnie z fiskusem, ostatecznie jednak co go to obchodziło? Najważniejsze, że ich interes działał pełną parą, a już świetnie, że w niedzielny poranek.

Usłyszał dzwon pobliskiego kościoła ewangelików przy Fredry. Wzywał wyznawców Lutera na nabożeństwo. Od strony Banku Cukrownictwa w kierunku kawiarni Dobskiego i neogotyckiej świątyni ze strzelistą wieżą ciągnął teraz spory tłumek odświętnie ubranych protestantów. Ciekawe, czy dołączy do niego ktoś z ekipy Rüdiger? A może i sam trener?

*Kamienica przy Szkolnej 10, w tym samym czasie*

– Do kogo dzwoniłeś, Biniu?

– Do Kaysera, kochanie.

– A po co?

– Sprawy zawodowe. Przypomniało mi się coś.

– A na ten mecz to idziesz sam? Czy z Kayserem?

– Gdzie tam z Zygrydem! On nie znosi takiego prania po mordach.

Mówi, że to prymitywne, szkoda mu czasu.

– Aha... – Głos Longiny wydał się Kaczmarkowi cokolwiek podejrzliwy.

Do diabła, co znowu?

Odłożył gazetę, wstał z fotela i podszedł do małżonki siedzącej na kanapie i przeglądającej barwny żurnal. Miała zimne dłonie, włożył je więc w swoje, by je ogrzać.

Przyjrzała mu się badawczym wzrokiem, zupełnie jakby coś przed nią skrywał. A przecież nie skrywał.

– O co chodzi, Loniu? Wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.

– Zdaje ci się, Zbyszku.

– A jednak odnoszę takie wrażenie.

– Zdaje ci się.

– Powiedz mi, proszę.

– Kiedy nie wiem...

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, czy jest o czym. To... Idziesz na ten boks sam?

– No, niezupełnie.

– Czyli jednak z kimś?

– Już ci wspominałem, żabciu. Wczoraj. Tylko nie słuchałaś, zdaje się, uważnie. Idę tam z moim podwładnym. Nazywa się Gruszecki. Śledzimy pewnego drania, chyba też już ci mówiłem...

– A ta Przyprawa?

– Jaka przyprawa? – Kaczmarek wybałuszył oczy.

– No... ta przysłana z Warszawy.

– Ach, ta! – Mimowolnie się uśmiechnął. – Nazywa się Przysługa, kochanie. Ale nie idzie z nami na boks. Nie wiem, co dzisiaj robi. Chyba ma wolne. O ile Kayser nie zlecił jej nic innego. Ale chyba nie.

Longina zmierzyła męża wzrokiem, który zdecydowanie powinien go zaalarmować. Uśmiech na ustach Kaczmarka momentalnie zgasł.

– Ty chyba coś kręcisz, Biniu – powiedziała nadąsana. – Chyba... chyba nie mówisz mi wszystkiego.

– Wszystkiego? Wszystkiego nie mogę. To sprawy służbowe, obowiązuje mnie tajemnica śledztwa. Przecież to rozumiesz, kochanie?

Longina Kaczmarek, z domu Klupś, nie wyglądała na przekonaną. Zaciśnięte usta i piąstki, uwolnione z czułego uścisku dłoni męża, zwiastowały niespodziewaną burzę. Kaczmarek zirytował się, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że na nią nie zasłużył.

– Loniu, co ci chodzi po głowie? – zapytał wprost. – Czy ty aby nie podejrzewasz mnie o jakąś tajną schadzkę?

– A bo...

– Jeśli tak jest, to kategorycznie ci oznajmiam, że to bzdura. Aspirant Barbara Przysługa to wyłącznie moja nowa podwładna i nikt więcej. Zakończmy ten żenujący spektakl, dobrze? Na mecz idę z Gruszeckim i tylko z Gruszeckim. Zresztą jeśli mi nie wierzysz, możesz to sprawdzić u mojego szefa.

Nie odpowiedziała. W milczeniu wstała z kanapy i poszła w stronę łazienki, ukradkiem wycierając łzę.

Kaczmarek sapnął ciężko, a potem wstał, pokręcił z niedowierzaniem głową i klapnął znowu na fotelu.

– Baby, ach te baby... – mruknął, lekko fałszując, za popularnym ostatnio szlagierem Bodo.

Z nerwów nie potrafił przeczytać żadnego tekstu w „Kurierze”. W końcu cisnął papierową kulą w kąt i wyszedł na balkon.

Pilnie potrzebował świeżego powietrza.

*Hala Reprezentacyjna Międzynarodowych Targów Poznańskich, pod wieczór*

Choć nikt nie powiedział tego oficjalnie, mecz bokserski Polska – Niemcy miał uświetnić niedzielne otwarcie trzynastych już Międzynarodowych Targów Poznańskich. Nic zatem dziwnego, że od wczesnych godzin popołudniowych w okolicy areny przyszłego pojedynku schodzili się zagorzali fani tej szlachetnej dziedziny sportu. Ciągnęło ich tam nie tylko pragnienie przeżycia wspaniałej przygody, gwarantowanej rosnącym poziomem polskiej kadry, a także sławą drużyny przeciwnika. Spieszyli, by znowu zobaczyć polski triumf nad ekipą spod znaku swastyki. Trzy lata wcześniej polskie zwycięstwo nad reklamowanymi szeroko Niemcami było sensacją i rozpałiło do białości narodową dumę widowni. W Poznaniu – mimo pozorów poprawy relacji z zachodnimi sąsiadami – nadal żywe było wspomnienie zmagania z pruskim zaborcą i każda wygrana z byłym ciemiężycielem miała tysięczną wagę. Także i tym razem fani boksu liczyli na podtrzymanie dobrej passy drużyny narodowej, która dopiero co wróciła z garścią medali z mistrzostw kontynentu w Budapeszcie.

Wszyscy zorientowani wiedzieli wszakże doskonale, że będzie to dla Polaków diabelnie trudna przeprawa. Niemcy przywieźli do Poznania drużynę najmocniejszą z mocnych. Spannagel, Ziglarski, Kästner czy Schmedes – to pięściarze, których nie trzeba było przedstawiać. Na ring w Poznaniu III Rzesza rzuciła najcięższą artylerię, jakby za wszelką cenę chciała zmazać hańbę tamtej porażki i zademonstrować dumnym Polakom, że nowy reżim potrafi wznieść niemiecki sport na wyżyny dla innych nieosiągalne.

Kaczmarek stawiał się na targach równo godzinę przed rozpoczęciem spotkania. Chciał poczuć atmosferę starcia i rozejrzeć się w sytuacji. Poza aspektem sportowym w niemieckiej ekipie interesowała go zupełnie inna postać. Miał z nią swoje rachunki do wyrównania i robił wszystko, co mógł, żeby tak się stało. W końcu takich spraw, jak ta ze stojącym nad grobem podkomendnym, nie puszcza się płazem!

Z Gruszeckim umówił się przy głównym wejściu na targi. Czekał na niego, patrząc na tłum widzów wlewający się między dwoma pylonami przez bramę na rozległy teren targowy. W tle widział most dworcowy pełen powozów konnych i automobilów. Kto żyw spieszył na spektakl. Wśród przyszłych świadków rewanżu za rok 1931 komisarz dojrzał między innymi szczupłą postać wojewody Rogera Raczyńskiego, gramolącego się ze zbyt niskiego dla niego służbowego Citroëna (chodziły słuchy, że wojewoda pójdzie niebawem do rządu). A także zadzierżystą, korpulentną sylwetkę Cyryla Ratajskiego, ciągle jeszcze – mimo usilnych starań sanacji – pełniącego obowiązki prezydenta miasta. Ratajski przyszedł na mecz piechotą, jak to miał w zwyczaju, co dawało mu zresztą zawsze okazję, by naocznie przekonać się o stanie czystości ulic i wybranych miejskich inwestycji. Przechodząc nieopodal Kaczmarka, natychmiast rozpoznał



śledczego, czemu dał wyraz, przykładając dwa palce do rona swojej gustownej fedory.

– A co tam, kolego komisarzu? Będą tu kogoś mordować? – rzucił specyficznym żartem. – Kaczmarek odpowiedział grzecznym skinieniem głowy i uśmiechnął się lekko. – Tak czy owak, mam nadzieję, że na ringu obejdzie się bez trupów – sarknął Ratajski i ruszył dziarskim krokiem ku hali.

Zaraz potem na miejscu stawił się Gruszecki. Choć przyszedł do pracy, z jego twarzy biło podniecenie walkami, które miał zobaczyć na ringu.

– Wygramy, panie komisarzu? – zagadnął.

– Przydałoby się znowu utrzyć im nosa – odpowiedział Kaczmarek. – Nas jednak w pierwszej kolejności interesuje ich trener.

– Pamiętam, panie komisarzu. – Wywiadowca się uśmiechnął. – Mamy się teraz z Niemcami lubić, ale sprawdzić ich nie zaszkodzi.

– Właśnie. No, leć na swoje miejsce! I pamiętaj: najpierw Rüdiger, potem mecz.

– Się rozumie, szefie.

Kaczmarek odprowadził wzrokiem podwładnego, który zniknął w cieniu głównego wejścia do Hali Reprezentacyjnej, ozdobionej smukłą żelbetową wieżą z orłem na szycie. Tłum zgromadzony przed nią gęstniał i komisarz uznał, że i on powinien precyzyjnie przejść przez szpaler widzów, by znaleźć swoje miejsce. Po Rüdigerze nie spodziewał się w ciągu najbliższych godzin żadnych sensacji, dlatego zamierzał skupić się na samym meczu. Ot, przywilej szefa.

Gdy przedzierał się przez męskie grono fanów boksu i schował we wnętrzu hali, w powietrzu wyczuwało się już przedmeczowe napięcie. Być może podnosiła je flaga nowych Niemiec z czarną swastyką. Powiewała na łagodnym wietrze tuż obok polskiej, biało-czerwonej.

## *Hotel policyjny na Jeźycach, w tym samym czasie*

Kaczmarek nie okazał się wcale taki najgorszy.

Aspirantka Barbara Przysługa doszła do tego wniosku już w momencie, kiedy opuszczała komendę po pierwszym spotkaniu z komisarzem. Wprawdzie przed wyjazdem z Warszawy koledzy ze stołecznego wydziału kryminalnego ostrzegali ją przed „nerwowym gburem z Poznania”, jednak po pierwszej rozmowie z Kaczmarkiem uznała, że zdecydowanie przesadzili w ocenie śledczego znad Warty. Owszem, komisarz sprawiał wrażenie nieco zamkniętego w sobie i staromodnego, za to był bezgranicznie oddany swoim obowiązkom – a to się jej bardzo spodobało. Rzeczowość, z jaką wyłożył przed nią szczegóły prowadzonej przez siebie sprawy dwóch zabójstw, nawet biorąc pod uwagę wyczuwalną jeszcze w jego słowach nieufność, nastroiła ją pozytywnie do współpracy. Może i jest nieco dziwny, ale skuteczny – uznała. Jeszcze w stolicy nie omieszkała dyskretnie podpytać o przebieg służby komisarza i była pod wrażeniem jego zawodowych sukcesów.

Ze słów Kaczmarka przebijała autentyczna pasja do pracy śledczej, co zdecydowanie odpowiadało aspirantce. Machnęła więc ręką na jego zawodowy dystans i skupiła się na uważnym wysłuchaniu relacji komisarza. Ucieszyła się, że summa summarum, podzielił się z nią zdobytą dotychczas wiedzą i wyznaczył konkretne zadania. Do nowych obowiązków przystąpiła uskrzydłona.

W siedmioletniej służbie, którą miała za sobą, po raz pierwszy przyszło jej działać poza Warszawą. Pochodziła z prowincjonalnego Wyszkowa. W stolicy miała już wydeptane ścieżki, znała też z grubsza środowiska przestępcze kobiet. Do Brygady Sanitarno-Obyczajowej pod dowództwem komendantki Stanisławy Paleolog trafiła w ramach kursu kandydackiego,

rozpisanego w 1927 roku, zaraz po ukończeniu przez nią gimnazjum. Już w szkole wykazywała duży talent do kojarzenia faktów i liczb. Świetna z matematyki, niezła z historii, pod wpływem ojca, pracownika Straży Granicznej, postanowiła spróbować szczęścia i zaciągnąć się do policji. Już na kursie w Głównej Szkole Policji Państwowej wpadła w oko komendantce kobiecej brygady, utworzonej dwa lata wcześniej przy Komendzie Głównej. Podkomisarka Paleolog wyłowiła ją z tłumu kandydatek, z miejsca uznając za talent, wymagający wszakże intensywnego rozwoju. Surowa komendantka, zwykle traktująca swoje podwładne oschle i z wyższością, w przypadku Przysługi zachowywała się niemal jak druga matka. To ona zauważyła, że Barbara świetnie ocenia ludzkie zachowania, a jeszcze lepiej radzi sobie z ich przewidywaniem. Że potrafi świetnie wczuć się w losy dziewczyn z dołów społecznych, zmuszonych przez życie do prostytucji i udziału w różnorodnych formach przestępczości zorganizowanej. To właśnie podkomisarka Paleolog skierowała nieopierzoną funkcjonariuszkę na studia psychologiczne do Lwowa, a potem się uparła, by dziewczyna zrobiła także fakultet chemiczny i zaliczyła praktykę laboratoryjną. Dzięki niej policyjna kariera Barbary Przysługi wystartowała wręcz popisowo. Przyczyniła się do przełomów w kilku ważnych warszawskich śledztwach dotyczących handlu kobietami i przestępczości z udziałem dzieci.

Z powodu intensywnej nauki i licznych obowiązków służbowych aspirantka nie poznała nikogo, kto awansowałby do miana jej życiowego partnera. Wstępując do policji, zobowiązała się zresztą do wytrwania przez najbliższe dziesięć lat w stanie wolnym. Tak brzmiał warunek, zapisany w regulaminie Brygady Sanitarno-Obyczajowej, który musiała zaakceptować. Nie miała z tym problemu – jej miłością stała się praca w policji: typowanie sprawców, a częściej sprawczyń przestępstw. Każdy

kolejny sukces napędzał ją i motywował. A teraz przyszło jej się wykazać w delegacji.

Wyglądając przez okno skromnego hotelowego lokum przy Kościelnej, uśmiechnęła się mimowolnie na wspomnienie miny, jaką zrobił Kaczmarek, gdy usłyszał od Kaysera o jej bogatym wykształceniu. Komisarz nie potrafił ukryć zaskoczenia. To dobrze. Niech sobie poznaniak nie myśli, że wypadła sroce spod ogona. Jeszcze nieraz go zadziwi. Już ona to potrafi!

Odeszła od szyby, usiadła przy prostym stoliku i pochyliła się nad swoimi notatkami. Sprawa obu zabójstw przedstawiała się nad wyraz interesująco. Samotni kawalerowie z podobnymi życiorysami uśmierceni w podobnych miejscach. Ta sama trucizna. I jeszcze ta broszka...

Chętnie sama zajrzałaby w oko tego węża.

*Znowu Hala Reprezentacyjna Międzynarodowych Targów Poznańskich,  
trochę później*

Niemiecki szkoleniowiec obserwował spod szatni, jak stopniowo zapełniają się równe rzędy krzeseł ustawione wokół ringu. Przed chwilą zakończył odprawę z drużyną. Zaapelował raz jeszcze do dumy narodowej swoich podopiecznych, odzianych już w czarne koszule ze swastykami na piersi i złote spodenki. I przypomniał im, że wódz narodu Adolf Hitler oczekuje od nich dobrego wyniku, godnego aryjskich mężczyzn.

– Spokojna głowa, trenerze – odpowiedział mu Ziglarski, mrugając znacząco okiem. – Rozniesiemy ich na strzepy. A ty, Werner, załatw szybko tego żydka. Skoro już musisz z nim walczyć, poślij go na deski w pierwszej rundzie.

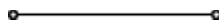
Wywołany do tablicy najniższy w niemieckiej kadrze zawodnik, Spannagel, pięściarz wagi muszej, poruszył się niespokojnie.

– *Kein Problem*<sup>22</sup> – uciął temat krótkim zapewnieniem.

Nie spodziewał się, by ten śmieszny, chudy Rotholc sprawił mu w ringu jakiegokolwiek trudności.

Ta postawa spodobała się Rüdigerowi. Klepnął Spannagela po łopatkach, dodał: „Pogoń żydkowi kota”, i wyszedł z szatni, by poprzyglądać się napływającej publiczności.

Obserwując wypełniającą się szczelnie widownię, odczuwał dziwną satysfakcję. Był bowiem pewny, że tym razem wszystkich tych Polaczków nadciągających do hali na sportowe widowisko czeka gorzki zawód. Na ten jeden jedyny, szczególny mecz, swoisty rewanż za poprzedni, przygotował swoich asów naprawdę solidnie. Poprzednią porażkę w Posen przeżył dotkliwie i już wtedy, w trzydziestym pierwszym, postanowił, że jeszcze się odegra. Chwila ta właśnie nadchodziła – nie miał żadnych wątpliwości.



Andrzej Dudko zajął swoje wymarzone krzesło w piątym rzędzie, za które musiał wybulić całe dziesięć złotych polskich. Wydatek równał się prawie dwóm jego dniówkom w zakładzie introligatorskim na Jeżycach, ale warto było. Od razu poczuł w ciele to niesamowite mrowienie. Dreszcz emocji nie ustępował, gdy oswoił się już z miejscem i towarzyszami wokół, którzy wyglądali na urzędników miejskich albo wojewódzkich. Ich eleganckie marynarki prosto od Bogajewskiego albo Deierlinga mocno kontrastowały z jego niewyszukaną, wytartą na łokciach koszulą i źle odprasowanymi spodniami, ale nie przykładał do tego żadnej wagi. Ważne było tylko to, że znalazł się w świetnym miejscu. Miał ring i jego liny niemal na wyciągnięcie ręki!

No, teraz już tylko czekać, aż nasi spuszczą łomot Niemiaszkom – mimowolnie zatarł dłonie, ciesząc się jak dziecko. Nasza siódemka, poza

jednym żydkiem, co się do reprezentacji na krzywego ryja wcisnął.

Ten ma oberwać od szkopa aż miło.



Szapsel Rotholc wyglądał przy masywnych kolegach z kadry jak ubogi krewny. Filigranowy, z chudym, acz umięśnionym korpusem, w dodatku na nogach szczupłych jak zapalki, wydawał się najsłabszym ogniwem drużyny. Ale każdy, kto znał się na polskim boksie, wiedział, że to złudne wrażenie. Ten mały, przypominający nieco posturą Charliego Chaplina człowieczek był prawdziwym wojownikiem. I dysponował piekielnie mocnym uderzeniem, które nieraz okazywało się zgubne dla jego przeciwników.

Zza uchylonych drzwi szatni do uszu Szapsela dobiegał pogwar wzbierającej w siłę publiki. Zdawał sobie sprawę, jak dużo od niego zależy. Jego walka ze Spannagem otwierała mecz. Jeśli mu dobrze pójdzie, Polska od razu wyjdzie na prowadzenie.

Przypomniał sobie pogardliwe zdania o Żydach, wyczytane w ostatnich dniach w poznańskiej prasie. Odnosił wrażenie, że w tym mieście takich jak on nikt nie szanuje. Że są traktowani jak obywatele gorszej kategorii, których państwo polskie powinno jak najszybciej wysłać za morze, najlepiej do Palestyny, albo jeszcze dalej, do Afryki...

Mimowolnie zacisnął owinięte już w bandażę pięści. Skoro tak, to on im pokaże. Pokaże im, co potrafi Żyd z reprezentacji Polski.



Punktualnie o dziewiętnastej obie reprezentacje wyszły na ring. Gospodarze pojawili się w białych koszulkach z orłami na piersi i czerwonych

spodenkach. Goście, w czarnych koszulkach ze swastykami i złotych spodenkach, stanęli naprzeciw Polaków. Zawodnicy obu drużyn mierzyli się przez chwilę wzrokiem, w milczeniu wchodząc w klimat walki. Zaraz potem z megafonów popłynęły dźwięki niemieckiego hymnu. W tym samym momencie ósemka Niemców, a także ubrany w garnitur trener i jego asystent jak jeden mąż unieśli w górę prawice w nazistowskim pozdrowieniu.

Było w tej scenie coś złowieszczonego. Siedzący w ósmym rzędzie Kaczmarek dobrze to wyczuł. Wzdrygnął się, jakby przeczuwał najgorsze. Zawsze, gdy słyszał *Deutschland, Deutschland über alles*, dostawał gęsiej skórki. Zbyt dużo przeżył z bronią w ręku, by uciec od złych skojarzeń.

Rozejrzał się wokół, by zrozumieć, że nie on jedyny. Poznańska publika w milczeniu przygryzała wargi. Zapowiadane od styczniowego paktu ocieplenie między obu krajami zdawało się przebijać jedynie z prasowych szpalt. Ludzie wiedzieli swoje i wcale nie ciągnęło ich do ciepłych gestów wobec gości.

Gdy tylko wyprostowane ręce Niemców opadły, z głośników popłynęły dźwięki *Mazurka Dąbrowskiego*. Polski hymn, gromko odśpiewany przez pięć tysięcy gardeł, natychmiast zatarł złe wrażenie sprzed chwili.

Kaczmarek spojrział w kierunku Rüdigera.

Niemiec delikatnie się uśmiechał, ale jego zaciśnięte pięści mówiły coś zgoła przeciwnego.



Zanim w przestrzeni Hali Reprezentacyjnej wybrzmiał pierwszy gong, w ringu stanęli przeciwnicy w wadze muszej.

Szapsel Rotholc wszedł na deski skupiony, jakby nieobecny. Wpatrywał się zimnym wzrokiem w Niemca, z którym przyszło mu walczyć. Zobaczył,

że Werner Spannagel ma pewny siebie, może nawet butny wyraz twarzy. Swoimi rozluźnionymi ruchami sprawiał wrażenie, jakby lekcewał przeciwnika. Rotholc uderzył rękawicą o rękawicę, by dodać sobie pewności. Tylko on wiedział, jak dobrze jest przygotowany do tego pojedynku.

Sędzia meczu, Holender Bergstroem, stanął pośrodku ringu, żując ostentacyjnie gumę i gestem dłoni przywołując do siebie przeciwników. Rotholc i Spannagel zbliżyli się, by wymienić kurtuazyjne powitanie rękawicami. Zaraz potem ustawili się naprzeciwko. Gong – i sędzia uskoczył spomiędzy nich, rozpoczynając tak długo oczekiwany pojedynek reprezentacji dwóch, a może nawet trzech narodów.

Na widowni zawrzało. Niespodziewanie do ataku rzucił się bowiem zawodnik Gwiazdy Warszawa! Natarł na Niemca bez żadnego respektu. Frontalnie zepchnął go do narożnika! Był jednak chaotyczny. Spannagel odgryzł mu się kilkoma celnymi prostymi, które doszły celu. Nie złamały wszakże naporu Rotholca. Jego chude, żyłaste nogi nie ugięły się po przyjęciu ciosów. Przeciwnie, zaczęły pracować na zdwojonych obrotach. Rotholc miał coraz więcej ciekawych sytuacji.

Mistrz Polski wagi muszej totalnie zaskoczył przeciwnika tempem ataku. Niemiec ciągle nie mógł odzyskać inicjatywy. Przeganiany po kątach ringu, trafiany był coraz bardziej kąśliwymi ciosami reprezentanta Polski. Wreszcie – szok! Rotholc wykorzystał lukę w gardzie Spannagela i dwukrotnie trafił go w szczękę!

Niemiec zachwiał się, a potem przyklęknął wyraźnie zamroczony. Gestem prawej ręki wskazał, że prosi o chwilę przerwy.

Pięć tysięcy widzów w hali dosłownie oszalało ze szczęścia.

– Brawo Rotholc!

– Brawo żydek! – poniosło się po widowni.



A zaraz potem do uszu dzielnego boksera dotarło motywujące jak cholera hasło:

– Bij go, Rotholc! Bij po swastyce!



Dudko był w szoku. Od początku obserwował pojedynek na stojąco, jak zresztą wszyscy jego sąsiedzi, i nie mógł uwierzyć w to, co widział. A widział doskonale boksującego Żyda, który niemiłosiernie okładał Niemca.

– Bij gooo! Bij go, Rotholc, po swastyce! – darł się obok wniebowzięty kibic, z postury przypominający masarza.

Widownia wpadła w ekstazę, euforię, w jakąś nadnaturalną szczęśliwość i entuzjizm. Ten, który miał być rzucony Niemcom na pożarcie, nagle okazał się Dawidem poskramiającym Goliata. Nierówność tego pojedynku wprost kłuła w oczy, ale Niemiec nie mógł liczyć na litość czy współczucie. Nie wśród tej publiki.

Dudko zacisnął ze złości usta i pięści. Chciał krzyknąć, że to nie tak, że to przecież Aryjczyk miał spuścić pokazowe lanie moškowi! Że wszystko jest nie tak! Że nie za takie widowisko zapłacił całe dziesięć złotych polskich! Chciał zaprotestować, ale... głos uwiązł mu w gardle, gdy zobaczył niekłamana chwilę słabości Spannagela, z trudem podnoszącego się z przykłąku.

Rotholc skakał wokół niego jak wygłodniały drapieżnik, piekielnie podbudowany pierwszym sukcesem.



Rozgrzany walką Kaczmarek spojrział w kierunku Rüdigera.

Trener Niemców krzyczał coś przez ułożoną z dłoni tubę w kierunku Spannagela, ale ten chyba nic nie słyszał. A już na pewno niczego nie rozumiał. Kiedy sędzia wznowił pojedynek, Rotholc zaczął znowu okładać przeciwnika. Spannagel ograniczył się jedynie do ostrożnej, kunktatorskiej defensywy. W ten sposób dotrwał do końca rundy. Szybko pobiegł do narożnika, by wysłuchać uwag zdenerwowanego i rozczarowanego trenera.

Komisarz zerknął w drugą stronę. Opartemu o liny Rotholcowi udzielał szybkich wskazówek młody asystent trenera. Polski zawodnik miał ogień w oczach.



– Teraz kontrolujesz sytuację i spokojnie czekasz na swoją szansę!

Feliks Stamm nie mógł się powstrzymać i energicznie wytargał go za kędzierzawe włosy. Był z niego zadowolony jak cholera, ale jeszcze się nie cieszył. Wiedział, że Rotholca czekają dwie ciężkie rundy, w których może wydarzyć się wszystko. Zbyt dobrze znał się na boksie, by podniecać się jedną dobrą turą.

Rotholc czuł, że wszystko zależy od niego. Po pierwszej rundzie był panem sytuacji. Prowadził na punkty, ale ważniejsze było coś innego. W szarych oczach Niemca dostrzegł strach. Musiał zrobić wszystko, by to uczucie w głowie przeciwnika nie zgasło.

Drugi gong przywołał go do rzeczywistości. Ktoś blisko ringu darł się głośno:

– Bij po swastyce! Po swastyceeee!

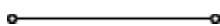
Żądanie było bezsensowne, bo cios w swastykę na piersi Niemca nic mu nie dawał. Ale ten okrzyk nakręcił Szapsela, dodał mu siły i motywacji. Tak bardzo bał się tutaj, w tej sali, pogardliwych gwizdów. Nie był pewny, jak przyjmie go poznańska publiczność. Hasło „Bij po swastyce!” nie

pozostawiało złudzeń, że po pierwszej rundzie miał widownię za sobą. Teraz musiał tylko dołożyć wszelkich starań, by zwyciężyć.

Wziął sobie to zadanie do serca. Natarł na Spannagela ze zdwojoną siłą, znowu wypychając go poza centrum ringu i ganiając przy linach. Szybko poczuł jednak, że nie ma już tej precyzji, tej błyskotliwości, która niosła go w pierwszej rundzie. Niemiec postawił szczelną gardę i próbował kontrować. Kończyło się zwarem, odpychaniem i wzajemnym przetrzymywaniem – w końcu uwagami sędziego. Raz w ferworze walki Rotholcowi zdarzyło się uderzyć Niemca po komendzie Bergstroema. Na szczęście skończyło się na upomnieniu.

– Rot-holc! Rot-holc! – skandował tłum, gdy wymęczony zawodnik wracał do narożnika.

Jak przez mgłę widział twarz Stamma, liny ringu i oszalałe od emocji twarze widzów. Nagle się uśmiechnął. Wreszcie poczuł, dla kogo walczy.



Szwab przegra! Jak nic przegra! – uznał zaskoczony Dudko, widząc słaniającego się ze zmęczenia Spannagela, intensywnie doprowadzanego do formy przez masażystę w narożniku ringu. I to z kim?! Z żalonym, chudym żydkiem z warszawskiego Szterna! Świat się kończy, cholera jasna! Moški biją Niemców!

Zniesmaczony opadł w przerwie na krzesło i pokręcił głową z niedowierzaniem. Ten Spannagel okazał się jednak przereklamowany! Taka gwiazda, a daje się okładać jakiemuś moźeszowemu. Niepojęte! Po prostu niesamowite! Szkoda, że nie widzi tego przewodniczący Howorka! Ten to by dopiero wybałuszył gały!

Nerwowy gong obwieścił początek trzeciej rundy. Wszyscy wokół znowu poderwali się na równe nogi.

– Rot-holc! Po swastyce! Po swastyceeee! – Gruby sąsiad Dudki wychodził z siebie, krzycząc w euforii w stronę polskiego reprezentanta.

– Czego się pan drzesz? – sarknął w jego stronę młody zwolennik Obozu Narodowo-Radykalnego.

Z wolna, jak tępy ból głowy na kacu, zaczęła do niego docierać świadomość, że ten pierdolony żydek może wygrać.



Pot rosił czoło Rotholcowi i zlepił mu powieki, gdy po raz trzeci wyskoczył naprzeciw Spannagela. Teraz pozostało mu już tylko dotrwać bez strat. Nie podpalić się, cierpliwie czekać. Podpuszczać Niemca, kontrolować i kontrować, gdy nadarzy się okazja. Minimalizować straty, a szansy szukać tylko w naprawdę pewnych sytuacjach...

Spannagel czuł, że przegrywa. Upokorzony, rzucił się do odrabiania strat. Nie udało mu się jednak trwale zepchnąć przeciwnika do defensywy. Rotholc dwa, nawet trzy razy wyprowadził ładne sierpowe, zmuszając Niemca do spuszczenia z tonu.

Spannagel słabł. Posuwał się do zwarcia, objając mało skutecznie żebra Rotholca. Zziajany jak koń po wyścigu na Woli, coraz słabiej trzymał gardę, prowokując Rotholca do ostatnich ofensywnych wysiłków. I choć ciosy Żyda chybiły celu, pozostawiły wrażenie jego przewagi.

Ostatni gong nie przerwał walki. Rotholc nadal ganiał Spannagela po ringu, szukał decydującego ciosu. O mały włos nie wyprowadził go na szczękę sędziego Bergstroema, którego zdecydowana interwencja wreszcie zakończyła ten zawzięty pojedynek. Rotholc pobiegł do narożnika z triumfalnie uniesioną pięścią. Spannagel stał zrezygnowany, jakby nie dowierzając, że to nie jest tylko zły sen.



– Ależ ten żydek zacięty!

– Wygra to! Wygra!

Publiczność wokół Dudki ciągle nie mogła usiąść, rozgrzana dopiero co zakończoną walką. Dudko przyglądał się swoim sąsiadom z wyrazem bezgranicznej pogardy na twarzy. I to są prawdziwi Polacy? Tacy jak oni mają budować Wielką Polskę? Przecież to mosiek, choć bez pejsów i brody. Jak można się cieszyć, że zabrał miejsce w kadrze jakiemuś zdolnemu Polakowi? Jak można świętować jego zwycięstwo?

Gdzieś w środku tliła się w nim jeszcze nadzieja, że sędziowie ocenią przebieg meczu inaczej niż widownia. Że dostrzegą zalety Niemca, dokładniej policzą jego celne ciosy. Kiedy jednak ten drań Bergstroem, żując gumę, uniósł w górę prawicę Rotholca, wywołując wybuch szału i radości widowni, Dudko splunął pod nogi, wstał, poprawił spodnie w pasie i ostentacyjnie zaczął się przeciskać do wyjścia.

Miał w dupie tę ciężko zarobioną dychę wydaną na bilet. Miał w dupie całe to smętne widowisko.

Polska objęła właśnie prowadzenie dwa do zera.



Kaczmarek przyglądał się zaskoczonyj twarzy Rüdigera z potężną satysfakcją. Elegancki Niemiec sprawiał wrażenie człowieka, który na moment stracił kontrolę nad meczem. Nie podziękował swojemu zawodnikowi za walkę, nawet nie poklepał go zwyczajowo po plecach. Jakby wstydził się tego, co wydarzyło się przed chwilą na oczach kilku tysięcy ludzi, a o czym na pewno rozpiszą się następnego dnia gazety.

Rüdiger nie spodziewał się porażki Spannagela. Szybko jednak pogodził się z pierwszym niepowodzeniem – teraz posyłał do boju Ziglarskiego. I już po pierwszych jego ruchach na ringu zrozumiał, że Hans z pewnością wyrówna stan meczu.

*Donerwetter*, dobry był ten żydek – pomyślał.

Nie wypowiedział tego jednak na głos.

---

<sup>22</sup> *Kein Problem* (niem.) – Żaden problem.

# USŁYSZEĆ ZMARŁYCH



### **Urlopy b. więźniów brzeskich**

*Warszawa (Tel. wł.). Departament karny w ministerstwie sprawiedliwości powziął decyzję w sprawie podań o urlopy więzienne zgłoszonych przez dwu byłych posłów, skazanych w procesie brzeskim. Były poseł Putek, osadzony w więzieniu brzezańskim, otrzymuje urlop na trzy miesiące do 1-go sierpnia, w celu umożliwienia jemu likwidacji kancelarii i wydania dzieła naukowego, które opracował w czasie odbywania kary. Równocześnie sprolongowano urlop zdrowotny byłemu posłowi Mastkowi o jeden miesiąc, tj. do 1-go czerwca włącznie, celem dokończenia kuracji przeciwko cukrzycy. (W)*

„Kurier Poznański”, 29 kwietnia 1934

*Poznań, poniedziałek, 30 kwietnia 1934 roku, w godzinach rannych*

W uszach ciągle jeszcze huczało mu euforyczne: „Rot-holc! Rot-holc!”, gdy zasiadł za służbowym biurkiem w Prezydium Policji, by przejrzeć poranną prasę. Kręcił głową, nie mogąc odzłować ostatecznego wyniku meczu. Remis był tak blisko! A jednak Polacy przegrali 6 : 10, ustępując wyraźnie Niemcom. Poza Rotholcem plamy nie dali tylko kadrowicze związani z Poznaniem. Kajnar, czyli Cyraniak, z Warty pewnie wygrał swój pojedynek, podobnie jak Majchrzycki. Inni nie byli już jednak tak mocni. A jeśli w całym meczu wygrywa się tylko trzy walki, nie ma szans na ostateczne zwycięstwo.

*Wysoką klasę pokazał Kajnar, imponując bogatym repertuarem ciosów i doskonałą orientacją oraz dużym zmysłem pięściarskim – komentował po*



meczu sprawozdawca „Kuriera Poznańskiego”. Pochwalił „wyrobienie sportowe” publiczności, ale też gorzko ocenił wynik kadry jako „niezadowolający”. Zwłaszcza z tym przeciwnikiem.

– Ech... – Kaczmarek bez żalu oderwał się od lektury gazety.

On z całego meczu zapamiętał filigranową, acz zawziętą sylwetkę Żyda w koszulce z polskim orłem. I triumfalny uśmiech tego drania Rüdigera, podsumowujący cały mecz. Odniósł zresztą wrażenie, że niemiecki trener dojrzał go wśród publiczności i pod koniec celowo demonstrował świetny humor, bezczelnie gapiąc się w jego stronę.

Poczekaj – pomyślał Kaczmarek. Jeszcze ci nie będzie do śmiechu!

Prawdę mówiąc, do śmiechu nie było komisarzowi. Upływały cenne godziny, a on ciągle nie wiedział, jak odwdzińczyć się Niemcowi za rozbitą głowę Borowczaka. Co tu robić? Cholera jasna, co robić? – zachodził gorączkowo w głowę. Przecież wieczorem ekipa niemiecka wyjeżdża do Berlina...

Wiedział tylko jedno: pod żadnym pozorem nie może puścić tego Rüdigerowi płazem. Za przestępstwo się płaci!

Punktualnie o ósmej do drzwi jego gabinetu zapukała aspirantka Barbara Przysługa. Była w mundurze, z nienagannie zawiązanym krawatem. Wyglądała na zaafetowaną. Pod pachą trzymała teczkę.

– Mam szkic, o który pan prosił – powiedziała od wejścia.

– Doskonale – mruknął Kaczmarek.

Prawdę mówiąc, nie wierzył w odkrywcze wnioski młodej policjantki. Opinię tę zachował jednak dla siebie, nie chciał zrażać nowej podwładnej do pracy i pozbawiać jej entuzjazmu. Musiał przecież jakoś zagospodarować jej zapal.

Komisarz wskazał współpracownicze miejsce naprzeciw. Począł, aż usiadł i wyciągnął z teczki swoje notatki. Okazało się, że było ich

całkiem sporo. Kaczmarek zauważył liczne podkreślenia i mniej liczne skreślenia całych linijek tekstu zapisanego ołówkiem.

– No więc? – zagadnął w końcu nieco protekcyjnie. – Co podpowiada pani aspirant kobieca intuicja?

– To nie jest kwestia intuicji, panie komisarzu – zaskoczyła go od razu kontrą. – To raczej wnioski wynikające z tego, co mi pan obszernie zreferował w sobotę.

– No tak, racja – przyznał. – O to mi właśnie chodziło. O pani wnioski, naturalnie...

– Poświęciłam na to cały sobotni wieczór i pół niedzieli – zaczęła poważnym tonem, marszcząc czoło. – I sądzę, że udało mi się stworzyć coś w rodzaju szkicu osoby, której poszukujemy...

– Kobiety, której poszukujemy – poprawił ją Kaczmarek.

– Osoby – chrząknęła znacząco aspirantka Przysługa. – Nie mamy przecież stuprocentowej pewności co do płci sprawcy, prawda?

– No... prawda. – Kaczmarek znowu odniósł wrażenie, jakby został poprawiony przez nauczycielkę. – Proszę... proszę kontynuować.

Barbara Przysługa spojrzała na niego z wyrozumiałością. Była zupełnie inna niż dwa dni temu, gdy się poznali. Wtedy zdawała się onieśmielona i speszona, może nawet wystraszona spotkaniem z dwoma wyższymi rangą śledczymi. Teraz jednak sprawiała wrażenie pewnej siebie i swoich racji. Który jej obraz był prawdziwy?

– Najpierw słów kilka o *modus operandi* zabójcy... – Aspirantka zerknęła dyskretnie w notatki.

Zabójczyni – chciał się znowu wtrącić Kaczmarek, ale w porę ugryzł się w język.

– Do obu zabójstw doszło w mieszkaniach ofiar lub w ich bezpośrednim otoczeniu, a więc w okolicznościach, w których zamordowani czuli się

względnie bezpiecznie. Morderca dwukrotnie posłużył się trucizną. Za każdym razem dodawaną do posiłków denatów – rozkręcała się wyraźnie funkcjonariuszka ze stolicy. – Potocznie się uważa, że trucizna to broń słabszych. W analizowanych przypadkach może sugerować płęć sprawcy, często bowiem to kobiety sięgają po tego rodzaju broń.

– Prawda – przytaknął z aprobatą komisarz.

– Tym razem jednak pozory mogą mylić. Wydaje się bowiem, że mamy do czynienia z dość wyrafinowanym sprawcą. Nie możemy więc wykluczyć, że posługuje się on arsenikiem tylko po to, aby celowo skierować nasze zainteresowanie na osobę płci przeciwnej...

– Nonsens! – zdenerwował się Kaczmarek. O ile gotów był zgodzić się z dotychczasową linią rozumowania podwładnej, o tyle ostatni wniosek wydał mu się mocno naciągany. – Zabójca miałby posługiwać się trucizną tylko po to, by skierować zainteresowanie policji na kobietę?! Nie możemy od razu zakładać aż takiej premedytacji z jego strony!

– Dlaczego nie, panie komisarzu? – szczerze zdziwiła się Przystuga. – Szukamy człowieka bezwzględnego, ale też wyrachowanego i trzeźwo myślącego. Zamordował dwóch mężczyzn, nie zostawiając przy tym niemalże żadnych śladów. Myślę, że mamy podstawy, by założyć, że sprawca, gdyby tylko chciał, bez problemu mógłby wodzić nas za nos w kwestii swojej tożsamości i celowo podkładać mające nas zmylić ślady.

Logika wyводу młodej analityczki zaczynała przytłaczać Kaczmarka. Zirytowany poruszył się na krześle, które zaskrzypiało złowieszczo.

– Wróćmy lepiej do meritum – zaproponował przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, panie komisarzu. – Asystentka śledczego uśmiechnęła się pogodnie, tym razem zupełnie za nic mając gniewne oblicze szefa. – Abstrahując od ogólnej wymowy środka, za pomocą którego morderca uśmiercił swoje ofiary, z okoliczności zbrodni możemy wnioskować, że

przed popełnieniem czynów przestępczych zabójca musiał się zbliżyć do obu ofiar, i to na tyle, że zaprosiły go one do domu. Możemy z dużą dozą pewności założyć, że z każdą z nich zjadł feralny posiłek, aplikując w stosownej chwili śmiertelną dawkę trucizny. Ergo: morderca nie wzbudzał obaw u swoich ofiar. Denaci mu ufali. Traktowali go zwyczajnie. Możliwości są więc dwie: albo był to ktoś im świetnie znany, na przykład najbliższy przyjaciel czy kolega z powstania, albo kobieta.

– Albo jedno i drugie – sarknął Kaczmarek.

– O, to akurat jest niewykluczone – pochwaliła go niespodziewanie Barbara Przysługa.

### *Półwiejska, w tym samym czasie*

Po ciężkiej nocy w pracy z niedzieli na poniedziałek Sandi nie mógł, niestety, się wyspać. A przynajmniej nie tak, jak by chciał. Zbliżał się do pięćdziesiątki, nie był już młodzieniaszkiem i cenił sobie każdą możliwość przyzwoitego wypoczynku. Po nocach spędzonych w Palmarium, gdzie w grę wchodził mniej lub bardziej fizyczny wysiłek, była to dla niego rzecz wręcz niezbędna, jeśli miał utrzymać się we względnej formie i nie zawieść swoich pracodawców.

Kiedy o piątej nad ranem kładł się spać, niebo za oknem różowiało, barwiąc na ciepło fasady kamienic. Choć bolały go mięśnie, natychmiast zapadł się w otchłań snu. Trudy dawnych walk przypominały o sobie bólami barków czy łokci. Pojedyńki w Cyrku Staniewskich dalekie były przecież od jakichkolwiek reguł. Ci, z którymi przez całe lata walczył, okazywali się często zwierzętami w ludzkiej skórze. Kopali, drapali, kłuli. Robili wszystko, by go stłamsić, wbić w ziemię, zniszczyć. Uderzali po całym ciele, również w głowę. Po walce z niejakim Taro, zapaśnikiem

z Japonii, naliczył na swoim ciele siedem ugryzień! Albo ta bestia Stojkić, gigantycznych rozmiarów Serb... Kopał go w brzuch tak długo, aż Sam stracił przytomność. Choć on sam zawsze walczył czysto – jak na człowieka honoru przystało.

Tym razem obudził go jednak nie ból pleców, masowanych często przez ukochaną Łucję, ale płacz córeczki. Był jakiś dziwny, niepokojący. Zwlekł się więc z łóżka, narzucił sweter na piżamę i wyszedł do przedpokoju.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony.

Z małego pokoju Gabrysi wyjrzała jego żona. Miała rozbiegany wzrok.

– Mała ma gorączkę, trzydzieści osiem stopni – powiedziała. – Może... może poszedłbyś zamówić wizytę u doktora Kubali? Wiesz, ma gabinet na...

– Wiem. – Sam ziewnął, uśmiechając się cokolwiek kwaśno. – Już lecę, kochana moja. Już lecę...

– Pewnie złapała coś od koleżanek w piaskownicy. A może przewiało ją na wczorajszym spacerze? Pod wieczór było dość chłodno.

– Może tak – zgodził się z Łucją.

Stanowili od zawsze zgodne małżeństwo, jakby na przekór niezrozumieniu i braku akceptacji, z jakim spotkali się w jej rodzinie. Gdy po ślubie z nim żonę wydziedziczono, poczuli, że są zdani tylko na siebie. To dodatkowo scementowało ich związek.

– No, biegnij już po doktora! I nie zapomnij zajrzeć do apteki na Kwiatowej. Kup tam...

– Może lepiej poczekać, co powie doktor?

– Racja. Na razie dam jej herbaty z miodem. No, pędź już, mój maestro!

Uśmiechnęła się, jak zawsze, gdy go tak tytułowała. Przydomek wziął się z czasów warszawskich, kiedy to reklamy prasowe anonsowały kolejne walki maestro Sandiego w Cyrku Staniewskich.

Maestro wycofał się do sypialni, aby ubrać się w przyspieszonym tempie. Gabrysię kochał ponad wszystko.

Pięć minut później był już u doktora Kubali.

### *Prezydium Policji, gabinet komisarza Kaczmarka*

Atmosfera przy biurku Kaczmarka była gęsta niczym burzowe chmury. I podobnie jak one groziła wyładowaniami.

– Przejdźmy zatem do naszych denatów – zaproponowała aspirantka Przysługa, nie przejmując się nerwowym przekładaniem nóg przez komisarza, modelowo wręcz zdradzającym narastającą irytację. – Zmarli mają nam wiele do powiedzenia. Ale mogą ich usłyszeć tylko ludzie odpowiednio wyszkoleni. Tacy jak my – dodała natychmiast funkcjonariuszka. – Panie komisarzu, musimy posłuchać zmarłych...

– Ładnie powiedziane – skomentował przez zęby Kaczmarek. Głównie po to, by przejąć inicjatywę. – Obaj byli zasłużonymi członkami Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego – dodał szybko. – Od początku zaangażowani w działania niepodległościowe, zwłaszcza te najtajniejsze, wymagające szczególnego zaufania...

– I obaj dobrze znający pana komisarza.

– Tak, to prawda. Czy w związku z tym coś pani sugeruje?

– Absolutnie nie, panie komisarzu. Podrzucam tylko dane. To fakt, który powinniśmy mieć na uwadze.

– I mamy – zapewnił ją Kaczmarek.

Jej nadspodziewanie pewny, niemal mentorski ton mocno go drażnił. Jeszcze wczoraj nie podejrzewałby jej o takie zachowanie.

– Obaj też mieszkali samotnie. I obaj działali w związkach kombatanckich, do niedawna całkiem aktywnie – pociągnął swoją opowieść

komisarz, by nieco zbić ją z tropu. – Musi pani wiedzieć, że stowarzyszenia weteranów powstania są u nas mocno skłócone. I z reguły niechętnie dzisiejszej władzy. Pani rozumie, sporo tam miłośników Wielkiej Polski i takich tam bajdurzeń...

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Chyba wiedziała, do jakiego miasta ją wysłano.

– Tak, i cały ten kombatancki konglomerat to również ciekawy zbiór danych, który musimy wziąć pod uwagę – podsumowała. – Wspominał pan komisarz o wrednych plotkach wokół osoby Dymeckiego. Czy one... kiedykolwiek znalazły jakieś uzasadnienie?

– Pyta pani, czy Dymecki był homoseksualistą?

– Tak. Byłaby to bowiem okoliczność, która mogła – że tak powiem – sprzyjać zażyłym kontaktom. Na przykład z późniejszym mordercą.

Choć jej pewność siebie denerwowała go, musiał przyznać, że miała głowę na karku. Doskonale analizowała najdrobniejsze okruchy wiadomości i wpasowywała je w odpowiednie pola, układając z tych puzzli wyrazisty obraz sytuacji.

– Ma pani rację – potwierdził. – Podtrzymuję jednak moje przekonanie, być może intuicyjne, ale jednak, że ten motyw nie odegrał w sprawie żadnej roli.

– O! – Zrobiła duże oczy. – A na czym, jeśli wolno zapytać, opiera pan komisarz swoje przekonanie?

Chrząknął zmieszany. Nagle zaschło mu w gardle i musiał przełknąć ślinę. Przez moment poczuł się, jakby znalazł się na egzaminie w szkole policyjnej.

– Nikt nigdy nie potwierdził tych plotek – odpowiedział, bębniąc palcami w blat biurka. – Wiem, że były fałszywe. Na sto procent. Znałem go w końcu nie tylko z powstania! Poza tym homoseksualista raczej nie

zostawiałby na miejscu zbrodni broszki. Tym bardziej dwóch takich samych broszek. To musiała być kobieta.

– I tu bym podjęła polemikę – znowu stawiała opór Przysługa. – Może któryś z... przepraszam, rozważam to czysto teoretycznie, partnerów Dymeckiego cechował się szczególnym zamiłowaniem do biżuterii? Do takowej należy z pewnością broszka. Nie ulega kwestii, że zabójca podrzuca lub zostawia ten element na miejscu zbrodni celowo. Nie zmienia to jednak faktu, że broszka w jakikolwiek sposób stygmatyzuje płeć sprawcy.

Czoło Kaczmarka zrosiły krople potu. Zrozumiał nagle, że naprzeciw niego siedzi nie nieśmiała młoda dziewczyna, ale profesjonalistka – doskonale wyszkolona kobieta, która kieruje się żelazną, nieubłaganą logiką. Jego własne argumenty wydały mu się w jednej chwili miałkie i mizerne. Właściwie głupie.

– Ma pani rację – przyznał nie bez trudu, ale uczciwie. – Sprawa płci sprawcy nie jest jeszcze przesądzona. Zakładając oczywiście, że za obydwoma morderstwami stoi ta sama osoba.

– Broszka daje chyba jasną odpowiedź w tej kwestii, panie komisarzu. To raczej nie przypadek.

– Raczej nie. – Poczuł się pokonany.

Właściwie leżał na łopatkach. Wierzgał bezradnie kończynami, jak wywrócony na pancierz żuk.

– Przejdźmy zatem do motywu obu zbrodni. – Aspirantka Przysługa litościwie zmieniła wątek, przekładając na kolanie kartki z teczki. – Zakładamy oczywiście, że w obu przypadkach jest on ten sam. Lub bardzo podobny.

– To uzasadnione założenie.



– Zastanawiałam się, panie komisarzu, w czym tkwi powód tych zbrodni. Zdaje się, że obaj denaci nie należeli w ostatnich latach do ludzi bardzo aktywnych publicznie?

– Tak, można tak powiedzieć... Choć Dymecki był wiceprezesem związku. Czasem pojawiał się na uroczystościach rocznicowych. Ale ostatnio coraz rzadziej.

– No właśnie. Oznaczałoby to, że wspólnego motywu morderstw należy szukać raczej w przeszłości Dymeckiego i Kopy. W ich wspólnej przeszłości.

Kaczmarek pokiwał z uznaniem głową.

– Oczywiście nie możemy wykluczyć, że do zbrodni doszło z powodów czysto prywatnych. Zawiedziona miłość czy inne tego typu szaleństwa. Wydaje mi się jednak mało prawdopodobne, by zabójca pozostawiał wtedy na miejscach swoich czynów specyficzny znak firmowy w postaci broszki. Moim zdaniem on czy ona specjalnie się tym afiszuje. Jakby chciał czy chciała nam powiedzieć, że ważny jest ten motyw z węzem. Czy on się z czymś panu komisarzowi kojarzy?

Kaczmarek zamyślił się na chwilę.

– Inspektor Kayser sugeruje wątek okultystyczny – odpowiedział w bezpieczny sposób.

– Okultyści? – Aspirantka Przysługa uniosła prawą brew, jakby nieco zaskoczona. – Owszem, wąż to symbol Szatana. Co jednak przemawia dodatkowo za tą hipotezą śledczą?

Nic – pomyślał Kaczmarek. Nie chciał jednak w towarzystwie nowej podwładnej krytykować propozycji szefa.

– Broszki pozostawione na miejscach zbrodni mogą być próbą skierowania nas na ślepy tor. Powinniśmy jednak wziąć pod uwagę również tę możliwość – łagodnie ominął temat Kaczmarek. – Choć nie wydaje mi

się ona priorytetowa, pani aspirant. Bardziej zastanawia mnie ten arszenik. Skąd mógł się znaleźć w posiadaniu zabójcy?

– Świetna uwaga, panie komisarzu – zauważyła Przysługa, uśmiechając się. – Pytanie o pochodzenie arszeniku to tak naprawdę pytanie o status zawodowy mordercy. Naturalny wydaje się jego związek z pracą laboratoryjną. Powinniśmy w pierwszej kolejności zbadać środowisko laborantów na uniwersytecie. A być może również zlustrować poznańskich farmaceutów. Choć dawki toksyny, jakie zaordynował denatom morderca, mogą skłaniać do wniosku, że nie jest przesadnie biegły w materii, którą się posługuje...

– Albo wręcz przeciwnie, pani Barbaro. – Komisarz ochłonął już po pierwszym szoku, oswoił się z imponującymi możliwościami analitycznymi swojej podwładnej i postanowił, że to on będzie wiódł prym. – Raczej zakładałbym, że końskie dawki trucizny miały zapewnić mu absolutną pewność założonego celu.

Przysługa znowu delikatnie się uśmiechnęła. Jakby wyczuwała, że Kaczmarek doszedł już do siebie i zaczynają się coraz lepiej rozumieć.

– Jak pan komisarz sam już zauważył, nie bez znaczenia jest fakt, że ofiary to ludzie mieszkający samotnie, co ułatwiło działanie sprawcy – podkreśliła.

– Niewykluczone, że ofiar będzie więcej. Zabójca zdaje się realizować jakiś plan – przyznał Kaczmarek.

Nagle zrozumiał, że analityczne spotkanie z aspirantką Przysługą pozwoliło mu poukładać w głowie stan śledztwa i pomyśleć o planie dalszych działań. Całkiem nieźle, jak na pierwszą wspólną naradę – pomyślał.

I wtedy wreszcie i on się uśmiechnął.

– Dziękuję pani za usystematyzowanie śledztwa i za wnioski. Niektóre wydają mi się bardzo cenne – powiedział.

W jej oczach dostrzegł satysfakcję, myślami był już jednak zupełnie gdzie indziej. Zerknął na zegarek i zrozumiał, że czas ucieka mu w szalonym tempie. Ciągle nie wiedział, co zrobić z Rüdigerem. Nie miał na niego żadnego dobrego pomysłu. A nie chciał oddać tego pojedynku walkowerem.

– Pani Barbaro... – zawahał się, ale jednak spróbował. – Co by pani zrobiła w sytuacji, w której podejrzany w innej sprawie mi ucieka, nie mam wystarczająco mocnych dowodów, by go zapuszkować, a na przyszpilenie pozostało mi ledwie osiem godzin? Potem definitywnie wyjedzie i szukaj wiatru w polu...

Spojrzała na niego z jakąś wdzięcznością w oczach. Chyba uznała to pytanie za najlepszy komplement, jaki mógł jej się trafić.

– Proponuję wywrócić stół do góry nogami – oświadczyła.

– Czyli co? – Poruszył się niespokojnie, nieco rozeźlony. – Mam anulować rozkład jazdy pociągów? Wywołać międzynarodowy skandal? Aresztować go bez powodu?

Aspirantka Przysługa wzruszyła ramionami:

– Zrobić coś, co zburzy z góry ustalony plan przeciwnika. Samemu podyktować warunki gry.

*Warsztat introligatorski przy ulicy Dąbrowskiego, kwadrans później*

Rozeźlony i niewyspany Dudko stawiał się do pracy wyraźnie niedysponowany. Tego dnia wszystko leciało mu z rąk. W żaden sposób nie potrafił się skupić na swoich zajęciach, które wydały mu się nudne i bez sensu. Szef zakładu, Antoni Zbijewski, szybko dostrzegł brak formy,

a może raczej niemoc swojego pracownika. A że go lubił – bo z Dudką łączyła go nie tylko wspólna praca, ale przede wszystkim podobne spojrzenie na politykę i miłość do Wielkiej Polski – zlitował się więc nad Andrzejem, zagadując go podczas przerwy na papierosa.

– A co tam, Jędruś? – odezwał się przymilnie, wyciągając ku Dudce swoją starą papierośnicę, w której trzymał skręty. – Coś z dziewczyną nie poszło czy jak?

Stali na podwórzu wysokiej kamienicy. Warsztat Zbijewskiego schowany był na zapleczu domu. Nad nimi chwacko przesuwwały się chmury ostatniego dnia kwietnia.

– Ech, szefie... Szkoda gadać! – Roztrzęsiony Dudko sięgnął po papierową tulejkę z tytoniem w środku. – Jak już Żydy Niemców biją, to nie ma przyszłości dla tego świata!

Stary Zbijewski, który widział i przeżył niejedno, zrobił wielkie oczy.

– O czym ty mówisz, Jędruś? – zapytał. – Czy aby nie masz gorączki?

– Wczoraj na boksie byłem. Na targach Polska z Niemcami walczyła...

– A tak, słyszałem dziś w radiu. Nasi przegrali, szwaby lepsze były – skomentował szef firmy.

– Może i przegrali, ale żydek wygrał, pies go trącał... – syknął Dudko, zaciągając się smrodkiem taniego tytoniu. – Taki jeden mosiek, Rotholc mu jest... Nie uwierzy szef, jak ten żydek obił mordę Niemcowi!

– Cóż, niezbadane są wyroki nieba – mruknął filozoficznie stary Zbijewski.

Do Żydów zasadniczo nic nie miał. Oczywiście pod warunkiem, że wkrótce wyjadą z Polski i przestaną żerować na zdrowej tkance narodu. Czyli na takich jak on.

– I dlatego tak ci się ręce trzęsą? – dopytywał ulubionego pracownika.

– Żeby szef wiedział, cholera jasna! Tyle za bilet zapłaciłem, a tu szkop nie potrafił zlać Żyda. Skandal, po prostu skandal!

Kierownik warsztatu zaciągnął się dymem, a potem przyjrzał się uważnie pracownikowi. Dudko miał cienie pod oczami, ciągnęło od niego nieprzetrawionym alkoholem. I żółcią.

– Wiesz ty co, Jędrrek? – powiedział spokojnym tonem. – Idź ty dzisiaj do domu. Odpocznij, uspokój się. Pożytek dzisiaj z ciebie żaden. Tylko mi okładki poniszczysz...

– Ale szefie... Przecież jestem. Zaraz do pracy wrócę i...

– Ja ciebie proszę, kolego. Daję ci dzisiaj wolne. Naprawdę.

– Ale szefie...

– Jutro, jak dojdiesz do siebie, to nadgonisz. Zgoda?

– No, skoro szef nalega...

– Nalegam, nalegam. Idź i odpocznij!

### *Znowu Prezydium Policji, około dziesiątej*

Komisarz nakazał aspirantce Przysłudze przeszukanie policyjnego archiwum pod kątem jakichkolwiek wzmianek na temat obu denatów – a także precjozów znajdujących na miejscach zbrodni w ostatnich pięciu latach. Zdawał sobie sprawę, że to trochę jak szukanie igły w stogu siana, ale nie miał wyjścia. Poza tym musiał znaleźć zajęcie dla swojej podwładnej, a prześladowało go dziwne podejrzenie, że nawet w tej sytuacji aspirantka odszuka coś istotnego.

Jakby tego było mało, zlecił jej też odnalezienie akt spraw, w które zamieszani byli członkowie tajnych stowarzyszeń okultystycznych. Choć w tę teorię akurat nie wierzył, chciał zrobić cokolwiek, by utwierdzić się w swoim przekonaniu. I mieć alibi przed Kayserem.

Przysługa ochoczo podjęła wyzwanie i po uściśnięciu ręki komisarza niemal pobiegła do archiwum komendy.

Uff, z pewnością mam kilka godzin spokoju – uznał Kaczmarek. Choć musiał przyznać, że w sprawie Rüdigera intuicja pani aspirant okazała się doskonała, a jej rada – nie do pogardzenia. Czuł, że musi wykonać ostry zakręt. Zagrać zupełnie niestandardowo, może nawet irracjonalnie. Za wszelką cenę musiał popsuć szyki Niemcowi. Zmusić go do reakcji i odkrycia się. Tylko w ten sposób mógł dojść sprawiedliwości – i odegrać się za ciężko rannego Borowczaka.

Co do zasady, w pełni zgadzał się z propozycjami sformułowanymi przez Przysługę w sprawie tego szwaba. Gorzej było z pretekstem do działania. Znowu rzucił okiem na cyferblat zegarka. Dochodziła dziesiąta. A gdyby tak coś sprowokować?

Myśl wydała mu się w pierwszej chwili niedorzeczna. On – ostoja porządku w tym mieście – miałby zagrać z pogwałceniem prawa? Był jednak tak zdesperowany, że chwycił się każdej, najgłupszej nawet myśli.

Z braku innych pomysłów przywołał do siebie Gruszeckiego.

– I co? Co wywinął wczoraj obiekt naszego zainteresowania? – zapytał go jeszcze w drzwiach.

Chudy przodownik się skrzywił.

– Nic specjalnego, panie komisarzu – zameldował. – Po meczu szkopy świętowały zwycięstwo w restauracji hotelowej. Erich Rüdiger był cały czas z ekipą.

– Jesteś pewny? Nigdzie nie wychodził? Nie dzwonił?

– Nie zauważyłem...

– Nie widziałeś czy naprawdę nie wychodził? – dopytał zirytowany Kaczmarek.

– Nie wychodził – poprawił się Gruszecki.

– A dziś od rana?  
– Siedzi w Monopolu.  
– Skąd wiesz, jak ciebie tam nie ma?  
– Wystawiłem na stanowisku Pospieszalskiego. Dzwonił do mnie przed kwadransem.

– Rozumiem. Siedzi i co robi?  
– Pospieszalski widział go w oknie pokoju, zdaje się, że go suszy. Trzeźwieje po wczorajszej libacji.

– Niemiec nie potrafi się uchlać – skomentował rozdrażniony Kaczmarek.

Jego podwładni rzetelnie wykonywali swoją pracę, a on nadal nie widział punktu zaczepienia do jakiegokolwiek zagrywki, która dałaby mu możliwość wyrównania rachunków z trenerem niemieckich pięściarzy.

Gruszecki zauważył, że szef miota się po gabinecie zupełnie nieswój. Wyszedł więc z inicjatywą.

– To może jednak zmienię Pospieszalskiego? Może zobaczę więcej?

Kaczmarek spojrzał na niego bez uznania.

– A dlaczego w ogóle zszedłeś z posterunku?

Gruszecki oblał się niezdrowym rumieńcem.

– Powody natury fizjologicznej – wytłumaczył dyplomatycznie.

Niejasno podejrzewał, że wszystkiemu winne były sławetne paróweczki w śniadalni Dawidowskich.

– A teraz już lepiej? – W pytaniu Kaczmarka nie było cienia troski, raczej zniecierpliwienie.

– O tak, jestem znowu w formie...

– To zmiataj pod Monopol, ale szybko! Do dwunastej chcę mieć nowe wieści. Ale konkretne, a nie jakieś tam michałki o kacu Rüdigera. Muszę

przyszpilić tego gnojka, rozumiesz? Muszę, zanim zwieje do Berlina!

– Tak jest! – Gruszecki stuknął obcasami.

Wychodząc z pokoju, był przerażony. Zdał sobie sprawę, że najbliższe dwie godziny mogą zdecydować o jego przyszłości w policji.

### *Poznań, ulica Fredry, dziesiąta z minutami*

Złość i wlane w siebie na rynku Jeżyckim piwo poniosły uwolnionego z obowiązku pracy oenerowca Dudkę w stronę śródmieścia. Minął nowiutki, szeroki gmach Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych i ulicą Dąbrowskiego dotarł do mostu Teatralnego – akurat w momencie, gdy pociąg pasażerski przejechał pod nim ku Dworcowi Głównemu, rozstawiając szczelną zasłonę dymną z komina lokomotywy. Przez dobrą chwilę na moście zrobiło się tak ciemno, że rozpędzony Dudko wpadł prosto na młodą kobietę, pchającą wózek z dzieckiem, i omal jej nie przewrócił.

– Jak łazisz, gelejzo! – sklął Bogu ducha winną poznaniankę, wygrażając jej przy tym pięścią.

– Uważałbyś, szplinie<sup>23</sup>jeden! – odgryzła mu się kobieta, ale widząc jego wściekłą twarz, natychmiast przyspieszyła kroku i pomknęła z potomkiem w kierunku targów.

Starcie z pyskatą babą rozsierdziło Dudkę jeszcze bardziej. Przyspieszył kroku, wydostając się w końcu z obłoku śmierdzącego węglowego dymu i rozpędzając na pochyłości prowadzącej ku operze. Najchętniej dałby teraz komuś w pysk. Kobiety mimo wszystko uderzyć nie wypadało, ale gdyby trafił się tylko jakiś pijaczyna...

Zostawił za sobą wysokie schody i majestatyczne kolumny gmachu opery i niemal przebiegł przez skrzyżowanie Fredry z Wałami Batorego. Po



prawej miał teraz strzelistą wieżę zamku cesarskiego, po lewej – ciężki gmach Urzędu Ziemskiego, dawną siedzibę Hakaty z baniastą kopułą. Minął przystanek tramwajowy i rozjuszony przebiegł kolejne skrzyżowanie, z Wałami Jana III Sobieskiego. Ręce aż go świerzbiły. Och, jak chętnie dałby komuś w mordę! Dopiero wtedy poczułby się naprawdę dobrze...

Kawiarnia Dobskiego po lewej ręce tętniła już życiem. Ciepłe, parne wręcz powietrze wygoniło do ogródka całkiem sporą grupkę miłośników kofeiny. Dudko zerknął na nich ze złością i niejakim żalem. Byli za daleko, w dodatku za solidnym płotem.

Nagle...

– Matko Boska! – wyrwało się oenerowcowi.

Z pobliskiej bramy wyszedł elegancko ubrany mężczyzna. Był niewysoki i raczej szczupły...

Dudko z miejsca rozpoznał tę twarz. Jezusie Przenajświętszy! Przecież to ten szwab, co się żydkowi dał obić! Taki wstyd! Taka poruta<sup>24</sup>! – pomyślał. To przez niego stracił całą przyjemność z meczu! I całe dziesięć złotych polskich! Nie, tego nie mógł mu przecież darować.

Niewiele się zastanawiając, ruszył na Niemca z pięściami.

Pierwszy cios Dudki trafił Spannagela w ramię, ale sięgnął celu tylko dlatego, że został zadany z zaskoczenia. Drugi trafił na popisową gardę, a trzeciego nikt już nie zobaczył.

Niemiec odmachnął się bowiem potężnym sierpowym, który wylądował prosto na szczęce napastnika.

Andrzejowi Dudce pociemniało w oczach, a potem nad jego światem zapadła głęboka noc.

*Prezydium Policji, kwadrans później*

Przodownik Gruszecki wpadł jak poparzony do gabinetu Kaczmarka, nie racząc nawet zapukać. Wyglądał, jakby zwariował. Oczy miał rozbiegane i nie potrafił wykrztusić z siebie słowa.

– Co jest? Dostałeś szmergla<sup>25</sup> czy jak? – Zaskoczony Kaczmarek odruchowo sięgnął po pistolet, spoczywający w kaburze pod pachą.

Dopiero co wysłał przecież wywiadowcę pod Monopol. A ten już wrócił, w dodatku dziwnie pobudzony!

– Jest! – wydobył wreszcie z siebie głos Gruszecki. – Mamy go!

– Co? Jak? Gdzie? – Komisarz poderwał się zza biurka, porzucając przeglądanie raportu od doktora Marciniaka.

– Mamy tego Spannagela!

– Jakiego znowu Spannagela?! Miałeś pilnować Rüdigera, głupcze! Rüd-di-ge-ra!

– No właśnie! – zgodził się najwyraźniej dumny z siebie Gruszecki. – Mamy Spannagela, a będziemy mieć Rüdigera!

– Nic nie rozumiem – warknął Kaczmarek.

Zaczął podejrzewać, że Gruszeckiemu nawaliły nie tylko kiszki.

– Była rozróżba pod hotelem, szefie. – Gruszecki odzyskał w końcu oddech i zabrał się za relacjonowanie. – Jeden z niemieckich bokserów dał w mordę Polakowi, niejakiemu Dudce. Fest mu przygrzał! Tak, że Dudko zobaczył gwiazdy! Padł ścięty na chodnik!

– Kto zaczął?

– Chyba nasz. Ale czy to ważne?

– To się okaże. Opowiadaj dalej!

– Akurat zjawilem się wtedy pod Monopolem, więc z miejsca wyciągnąłem spluwę i zaaresztowałem Spannagela. Wsparł mnie zresztą

Pospieszalski. Na widok broni i mojej odznaki szkop bez oporu dał się zaprowadzić do aresztu.

– Jest u nas na dołku? – Kaczmarek aż uniósł brwi.

Intensywnie rozmyślał nad sytuacją.

– Tak.

– Doskonale, Gruszecki! Świetnie! Wiedziałem, że będą z ciebie ludzie! – Komisarz w lot pojął, że Opatrzność właśnie podała mu pomocną dłoń. – Skoro ten cały Spannagel siedzi u nas, to będzie musiał się do nas pofatygować sam Rüdiger! O to właśnie chodziło!

Gruszecki spuścił skromnie oczy

– No dobrze, Gruszecki! Spisałeś się. – Kaczmarek poczuł nagły przypływ energii, zupełnie jakby przed chwilą wypił małą czarną w pobliskiej Arkadii.

Kochał namiętnie te chwile, w których czuł się panem sytuacji. A że nie zdarzały się one aż tak często, każdą z nich celebrował i doceniał.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. – Rozpromieniona twarz grubego komisarza była dla Gruszeckiego największą nagrodą. – Trzymajcie tego Niemiaszka grzecznie. Najlepiej dajcie mu coś pić, może nawet zjeść. Nie chcę mieć tu żadnego skandalu dyplomatycznego. Jeszcze mi tu przylecą z konsulatu Rzeszy!

– Tak jest!

– A więc Niemiaszek to raz, a drugi Niemiaszek to dwa. Spodziewam się, że Rüdiger już wie o wszystkim. Pytanie brzmi: czy uda się ze sprawą najpierw do konsulatu, czy do nas?

– Bóg raczy wiedzieć, panie...

– Nie, Gruszecki. Ty mi w to Boga nie mieszaj! – zeźlił się Kaczmarek. – Stawiam dziesięć do jednego, że ten cwaniak nie zaryzykuje nagłośnienia sprawy. Przecież nasze kraje od niedawna się kochają,

prawda? Przynajmniej oficjalnie. W końcu „Dziadek” dopiero co podpisał z Adolfem pakt o nieagresji. A skoro tak, każda taka draka, jak dzisiejsza, będzie przez wszystkich ważnych oficjeli niemile widziana. Zupełnie jak bąk puszczony głośno w towarzystwie.

Gruszecki mimowolnie się uśmiechnął.

– No widzisz! – Reakcja podwładnego mile schlebiła Kaczmarkowemu przekonaniu o własnym poczuciu humoru. – Jestem pewny, że Rüdiger wybierze się najpierw do nas, po cichu. Kto wie, może właśnie puka już do drzwi sekretariatu komendanta? Trzeba uprzedzić naszego oberszefa. I to jak najszybciej!

*Hotel Monopol, w tym samym czasie*

– Jesteś pewny, że Wenera zwinęła policja? – Erich Rüdiger szarpał nerwowo za krawat, miotając się po swoim hotelowym pokoju podczas szybkiej narady z Hansem Ziglarskim.

Bokser wzruszył ramionami.

– Tak mi powiedział jeden z pracowników recepcji, który widział całe zajście. Ten, który najlepiej mówi po niemiecku. Podobno widział, jak ten tajniak wyjął broń i jakąś blachę. Był z nim zresztą drugi szpicel. To też wiem od tego Polaka.

– *Scheisse!*<sup>26</sup> – Szef ekipy zirytował się nie na żarty. – Taki numer akurat teraz! Co robić? Nie możemy zostawić Wenera i bez niego wrócić do Berlina. Ale jeśli uderzymy do konsulatu albo do ambasady w Warschau, zrobi się draka na całe Niemcy. A to nam niepotrzebne! Co robić?!

Ziglarski spojrzał trzeźwo na sytuację.

– Trzeba będzie pójść na policję, trenerze – powiedział. – Przecież to zwykłe nieporozumienie. Werner dał temu Polakowi po gębie w samo-

obronie. To tamten był napastnikiem, zaatakował zresztą zupełnie zniechęca.

Rüdiger westchnął ciężko. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał wkroczyć do jaskini lwa. A jeśli natknie się tam na tego grubego tajniaka, który szpiegował ich na dworcu? A jeśli żyje ten, którego potraktował łomem trzy lata wcześniej? Jeśli spotka go na schodach komendy?

Zerknął na zegarek. Do wyjazdu z Posen pozostało niespełna osiem godzin. Aż nadto czasu, by ich plan radosnego powrotu do Rzeszy wywrócił się do góry nogami. Co robić? Posłuchać Hansa? Trzeba jakoś wyciągnąć Wenera z rąk Polaków...

Ktoś zapukał w drzwi.

– *Herein!*<sup>27</sup>

Do ciasnego pokoju wszedł Thomas Lange, szef techniczny reprezentacji Niemiec.

– Dzwoniłeś do konsulatu? – zapytał od drzwi Rüdigera.

– Jeszcze nie.

– To nie dzwoń. Załatwmy to po cichu.

– Czyli?

– Idę na polską policję. Już się dowiedziałem, gdzie mają prezydium. To całkiem blisko.

– Idę z tobą. – Rüdiger podniósł się z krzesła, klepiąc Ziglarskiego po plecach. – Hans, wytłumacz chłopakom, co się dzieje. I na wszelki wypadek nie wychodźcie do wieczora z hotelu. Niewykluczone, że ten napad to była jakaś prowokacja.

– Tak jest, szefie. Przekażę ekipie.

*Prezydium Policji w Poznaniu, około jedenastej*

Kaczmarek siedział w swoim gabinecie jak na rozżarzonych węglach, gorączkowo rozważając wszelkie możliwości. Sprzyjający zbieg okoliczności dał mu przewagę nad Rüdigerem. Wiedział jedno: Niemiec musi odpowiedzieć za ciężko pobitego Borowczaka. Jego podwładny omal nie przeniósł się wtedy na tamten świat. I obaj doskonale wiedzieli, czyja to była sprawka.

Oczywiście nie miał żadnych dowodów przeciwko Niemcowi. W bramie na Piekarach, w której doszło do ataku na Borowczaka, ekipa Anioły nie znalazła żadnych śladów sprawcy. Nie odnalazła też narzędzia, którym się posłużył – o żadnych liniach papilarnych nie mogło być więc mowy. Tym samym Kaczmarek nie miał nic, czym mógłby przyszpilić trenera niemieckiej ekipy. A jednak czuł, przeczuwał, był niemal pewny, że Rüdiger obawia się tego spotkania. Jego reakcja na Mielżyńskiego, gdy zetknęli się niespodziewanie późnym wieczorem, wymownie o tym świadczyła.

Zmusić Niemca do podpisania oświadczenia? – zastanawiał się komisarz. Jeśli szwab wyczuje, że nic na niego nie mam, to nie wypali. Pogrozić mu odpowiedzialnością karną przed polskimi organami sprawiedliwości? Wyśmieje mnie, szkoda czasu. Zagrozić mu, że nie wypuścimy Spannagela, jeśli nie przyzna się do winy sprzed trzech lat? Sprawa się przeciągnie, do gry wejdą zapewne dyplomaci i wszystko się rozmyje. Rüdiger się wykpi, a boksera i tak będą musieli wypuścić... Cholera jasna, sytuacja wcale nie jest tak komfortowa, na jaką wygląda!

Właśnie w momencie, gdy zdał sobie z tego sprawę, telefon na jego biurku zaterkotał metalicznie.

– Kaczmarek, do mnie! – usłyszał zdecydowane wezwanie.

Nie był to jednak głos inspektora Kaysera, lecz samego komendanta. Michał Bączkowski, choć uprzedzony o zajściu przed Monopolem

i wtajemniczony w szczegóły ataku na Borowczaka w trzydziestym pierwszym, sprawiał wrażenie zdesperowanego i niepewnego.

Szwaby musiały zacząć z wysokiego C – przemknęło przez głowę komisarza.

Nie ociągając się, ruszył półbiegiem w stronę gabinetu szefa. Gdy wpadł do środka, dostrzegł czerwonego jak indyk szefa komendy oraz Kaysera. Siedzieli przy stole, przy którym Bączkowski prowadził zwykle narady operacyjne z najwyższymi oficerami. Naprzeciwko nich Kaczmarek dostrzegł dwóch dżentelmenów w marynarkach z czerwono-białymi odznakami NSDAP w klapie. Dwie swastyki momentalnie przypomniały mu pojedynek Rotholca z aresztowanym Spannagem.

– Panowie Thomas Lange i Erich Rüdiger są tu w imieniu niemieckiej reprezentacji pięściarskiej – odezwał się do komisarza po polsku komendant Bączkowski, wskazując mu jednocześnie miejsce po swojej lewicy. – Przyszli w wiadomej sprawie...

Od stołu ciągnęło chłodem, atmosfera spotkania musiała być od początku lodowata. Niemcy ukradkiem rzucili okiem w stronę Kaczmarka. Komisarz skinął więc głową i zajął wskazane mu miejsce.

Dopiero teraz mógł się im bliżej przyjrzeć. Przed sobą zobaczył najpierw nieznanego mężczyznę w sile wieku, zdecydowanie starszego od Rüdigera. Siwiejące skronie i podkrążone oczy Thomasa Langego zdawały się sugerować, że jest kimś w rodzaju zwierzchnika trenera. Może szefem niemieckiej ekipy? Niemiec obrzucił Kaczmarka chłodnym spojrzeniem, a ten skierował wzrok na Rüdigera.

Przez moment mierzyli się spojrzeniem, ale trener nie spuścił wzroku. Oczy Niemca były zimne, pozbawione jakichkolwiek uczuć. To był on – utwierdził się w swoim przekonaniu komisarz. Ktoś taki jak Rüdiger bez mrugnięcia okiem może zaatakować każdego...

– Wasz zawodnik uderzył obywatela polskiego na ulicy, doprowadzając go do utraty przytomności – odezwał się znowu, tym razem nienagannym niemieckim, komendant Bączkowski. – Nasz funkcjonariusz potraktował to jako naruszenie prawa, kwalifikując jako rozbój. Dlatego pan Spannagel został aresztowany i przebywa w naszym więzieniu.

Lange i Rüdiger zaprotestowali jeden przez drugiego.

– To Spannagel został zaatakowany! Nasz zawodnik tylko się bronił!

– Został napadnięty w biały dzień! To był prawdziwy rozbój! Czy panowie tego nie wiecie?

Komendant chrząknął znacząco, szukając wsparcia w inspektorze Kayserze.

– Nie wszystkie okoliczności zdarzenia są na razie ustalone w sposób bezsporny – odezwał się szef wydziału śledczego piękną niemczyzną, wyniesioną jeszcze z czasów, gdy zaczynał służbę w niemieckiej Kripo. – Nie ulega natomiast kwestii, że pan Spannagel nadużył swojej przewagi fizycznej i – że się tak wyrażę – pozycji zawodowej...

– Co pan pieprzy?! – wyrwało się z ust kierownika Langego. – Miał się nie bronić w takiej sytuacji? Jak pan to sobie w ogóle wyobraża?!

– Apeluje do pana o zachowanie kultury! – zganił go natychmiast Bączkowski.

Komendant znany był z niechęci do jakiegokolwiek formy pieniactwa. Narodowość awanturników nie odgrywała w tym względzie żadnej roli.

– Referuję panom nasze ustalenia, nic więcej – dodał pojednawczym tonem Kayser.

Cała trójka Polaków zdawała sobie jednak sprawę, że prawdziwego asa ciągle trzyma w rękawie. I czekała na najlepszy moment, by rzucić go na blat.



– Dobrze już, dobrze! – Lange uniósł ręce w górę, spuszczać z tonu. – Panowie wybaczą, puściły mi nerwy. Nie chciałem nikogo urazić.

– Wróćmy do sprawy – ochryłym głosem przejął inicjatywę Rüdiger.

Wyglądał, jakby nagle zaschło mu w gardle. Kaczmarek nie pospieszył jednak z karafką z wodą stojącą na biurku komendanta.

– Bardzo zależy nam na załagodzeniu incydentu – kontynuował trener bokserów. – Mamy wielki szacunek dla narodu polskiego i uważamy, że sprawa niewarta jest nadawania jej rozgłosu. Sami panowie przyznajecie, że zdarzenie miało jednoznaczny przebieg. Proponujemy zatem wyrażenie przez nas oficjalnego ubolewania z powodu tego godnego pożałowania incydentu i wydanie nam członka ekipy. Dziś wieczorem musimy być w Berlinie...

– Gównu mnie obchodzi, co panowie musicie – wszedł mu twardo w słowo Kaczmarek. – Sprawa Spannagela to jedno, a my mamy jeszcze do wyjaśnienia inną. Zresztą również o pobicie.

Thomas Lange spojrzał na niego zdumiony.

Erich Rüdiger głośno przełknął ślinę.

### *Kamienica przy Szkolnej 10, kwadrans po jedenastej*

Jak w każde poniedziałkowe przedpołudnie Longina Kaczmarek zamierzała wybrać się na nieodległy Nowy Rynek<sup>28</sup>. Lubiała odwiedzać targowisko, rozłożone na trójkątnym placu przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego. Dobrze się czuła pomiędzy straganami, końskimi powozami i rozgadanyimi wiejskimi babami, zachwalającymi na głos jaja czy mięso z własnych gospodarstw. Targ na Nowym Rynku nie był wprawdzie tak okazały, jak choćby ten na placu Sapieżyńskim<sup>29</sup>, ale Lonia wprost przepadała za specyficzną atmosferą tego miejsca. Pochodziła ze wsi, więc rozłożone na

bruku kosze z kapustą, ziemniakami i wszelaką zieleniną przypominały jej szczęśliwe dzieciństwo spędzone pod Swarzędzem. A gęganie gęsi czy pianie kogutów, które słyszała, gdy tylko znalazła się wśród wiejskich handlarzy, momentalnie przenosiły ją do przeszłości.

Tego dnia poranna toaleta zabrała jej jednak nieco więcej czasu. Słuchając audycji Radia Poznańskiego, z radością dowiedziała się o wizycie Bodo w poznańskim kinie Metropolis. Aktor promował w ten sposób swój najnowszy film, który wchodził właśnie na ekrany polskich kin.

Muszę powiedzieć Biniowi – uznała, zapominając na chwilę o ich napiętych ostatnio relacjach. Uwielbiała Eugeniusza Bodo i jej mąż doskonale o tym wiedział. Na pewno zrobi wszystko, żeby spełnić jej nową zachciankę. Nawet mimo ostatnich...

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Spojrzała na zegarek. Zofia, dziewczyna z Naramowic, pomoc domowa, przychodziła zwykle o wpół do pierwszej, by zająć się obiadem. Dlaczego dzisiaj miałyby pojawić się tak wcześnie?

Zaintrygowana odłożyła lusterko i mimo niegotowej jeszcze grzywki wstała z sofy i podbiegła cicho, na palcach, do drzwi. Chciała w tajemnicy przed gościem zerknąć w judasza, by się przekonać, kto stoi po drugiej stronie. I znowu się zdziwiła: przez wizjer zobaczyła... zupełnie pusty korytarz.

Co jest grane?

Kto nacisnął na dzwonek?

I dlaczego już go nie widać?

Ciekawość w jednej chwili zwyciężyła niepokój. Niewiele się namyślając, Lonia Kaczmarek chwyciła za gałkę zamka i odblokowała drzwi. Uchyliła je ostrożnie, założywszy wcześniej łańcuch.

Na korytarzu tańczyły tylko wpadające przez okno promienie wiosennego słońca. Nie było żywego ducha. Może poza rudą kotką sąsiadów, siedzącą kilka stopni wyżej i wpatrującą się jak zahipnotyzowana w powolne ruchy żony Kaczmarka.

Co jest? O co w tym wszystkim chodzi...

Już miała zamknąć drzwi, kiedy jej wzrok padł na podłogę.

Na jej twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

A potem radość.

*Gabinet komendanta policji przy ulicy 3 Maja, w tym samym czasie*

Milczenie, jakie zapadło na sali, śmiało można by nazwać grobowym. Obie strony mierzyły się ciężkimi spojrzeniami. Pięciu mężczyzn dwóch nacji przypominało teraz gangsterów zwaśnionych bossów, szachujących się lufami rewolwerów ukrytych pod stołem.

Do sali wszedł blady jak ściana aspirant Borowczak. Wiedział, że zostanie przywołany, mimo to wizyta w gabinecie komendanta w tych okolicznościach stanowiła dla niego duże wyzwanie. Na widok siedzącego bokiem Ericha Rüdigera wzdrygnął się, jakby wszedł do chłodni. A może raczej do kostnicy.

Kaczmarek wstał zza stołu i zbliżył się do podwładnego, by wskazać ręką na trenera. Celowo kontynuował przemowę po niemiecku.

– Czy to tego mężczyznę śledziłeś w lipcu trzydziestego pierwszego roku? – zapytał.

– Tak jest.

– Aż do momentu, gdy zniknął w jednej z bram na Piekarach?

– Tak.

– W tej samej, w której zostałeś następnie zaatakowany i ciężko pobity?

– W tej samej, panie komisarzy...

Thomas Lange poderwał się z krzesła.

– Panowie, co to za przedstawienie? Czy mam rozumieć, że panowie sugerujecie coś trenerowi Niemieckiego Związku Bokserskiego?

– Dokładnie tak – potwierdził spokojnym tonem Kaczmarek. – Nie sugerujemy, tylko stwierdzamy wprost. Trzy lata temu obecny tutaj Erich Rüdiger dopuścił się ataku tępym narzędziem na mojego podwładnego w trakcie wykonywanych przez niego obowiązków służbowych.

Rüdiger siedział niewzruszony na krześle, wpatrując się tępym wzrokiem w portret marszałka Piłsudskiego wiszący nad głowami Bączkowskiego i Kaysera.

– To absurd! – zaprotestował Lange. – Podłe insynuacje! Nie mogę w to uwierzyć! Proszę o dowody! Jakże macie panowie dowody?!

Komendant wymienił spojrzenia z Kayserem.

– Dowodem jest obecny tu aspirant, zaatakowany przez waszego... – zaczął Kaczmarek, ale nie zdążył skończyć.

– To jakaś prowokacja! – Lange wyrzucił ręce w górę na znak krańcowego oburzenia. – Proszę o dowody! Obecność tego młodego człowieka to zdecydowanie za mało! Tak można pogrążyć każdego!

– Nasz funkcjonariusz zeznał...

– To już wiemy. Co jeszcze rzekomo obciąża konto trenera Rüdigera? Czekam na dalsze wyjaśnienia.

– Mamy narzędzie ataku – zablefował zdesperowany Kaczmarek, wywołując nagły skok w górę brwi swoich szefów.

Liczył na niekontrolowaną reakcję sprowokowanego trenera. Ten jednak zachowywał absolutny spokój, zgłębiając detale zdobnej szabli, wiszącej u pasa marszałka na obrazie.

– I...? – dopytał Lange. – Czy to ważny dowód w tej sprawie?

– Ważny – mruknął Kaczmarek.

Właśnie zdał sobie sprawę z rysującej się na horyzoncie porażki. Nie mógł się z nią pogodzić.

– Dlaczego ważny? – drążył Lange. – Proszę nam to wyjaśnić, panie...

W gabinecie komendanta nastąpiła koszmarna, zawieszona, ciężka jak smoła cisza. Wymiana spojrzeń przypominała niemalże wymianę ciosów w ringu.

– Dosyć! – rzucił stanowczym tonem komendant Bączkowski. – Dosyć, do jasnej cholery!

### *Mieszkanie przy Półwiejskiej 5, w tym samym czasie*

W torbie ze słuchawkami doktor Kubala nosił zawsze wesołe obrazki, które rozdawał małym pacjentom. Osłuchiwał uważnie płuca małej Gabrysi, a potem obejrzał gardło.

– Czerwone – orzekł krótko.

– Co to znaczy, doktorze? – zaniepokoiła się Łucja.

– Zapalenie gardła. Mała musi poleżeć w łóżku. Bezwzględnie, pani Łucjo.

– Oczywiście. Czym mamy ją leczyć?

Lekarz uśmiechnął się życzliwie.

– Wszystko pani napiszę. Ale nie zawadzi robić napary z kwiatu lipy i podawać razem z miodem.

– O, z miodem! Słyszałeś, Sam? Jak dobrze, że mamy miód! Już go dzisiaj podałam Gabrysi z herbatą.

– I bardzo słusznie – pochwalił mamę doktor Kubala, pospiesznie wypisując na stole receptę. – Proszę pamiętać, żeby regularnie wietrzyć

pokój córki. Nie powinna pod żadnym pozorem spać w zaduchu.

– Tak zrobimy, panie doktorze. Dziękujemy za wizytę. Sam, odprowadź pana doktora do drzwi i załatw wszystkie formalności.

– Proszę ze mną – powiedział grzecznym tonem Sandi.

Zaprzyjaźniony medyk wstał z krzesła, ucałował dłoń Łucji, pogłaskał leżącą w łóżeczku Gabrysię, wręczając jej dwa kolorowe obrazki z Myszka Miki, skłonił się i wyszedł z pokoju za głową rodziny.

W drzwiach zatrzymał się na moment, bo nigdy nie ukrywał, że lubi tę wyjątkową jak na poznańskie warunki rodzinę.

– A pan, panie Józefie? – zagadnął Sama. – Kiedy pan zadba o siebie?

Sandi uśmiechnął się szeroko jak ubawione żartem dziecko.

– Ja? Ja nie potrzebuję, panie szanowni. Ja zdrowi jak koń!

Kubala pokręcił głową z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Pańska córeczka wyjdzie z choroby, jest młoda i silna. Ale pan ma już swoje lata. Właśnie, ile ma pan lat?

– Za rok będzie pięćdziesiąt, pan doktor.

– No właśnie – ciągnął lekarz. – To już nie czas na takie szaleństwa. Czas skończyć z przepychaniem się z klientami Palmarium. Pan już swoje w życiu oberwał, trzeba by poszukać lżejszej roboty.

– Kiedy mi tam dobsze...

– Powtórzę, panie Józefie: czas zadbać o swoje zdrowie! Dla siebie i dla rodziny. Dobrze panu radzę! Pan przecież o tym wiesz.

*Prezydium Policji, chwilę później*

Niemcy spojrzeli wystraszeni na komendanta. Bączkowski, dotychczas opanowany i spokojny, zdawał się bliski eksplozji. Stał za stołem

z zaciśniętymi pięściami, piorunując swoich zagranicznych gości spojrzeniem, w którym nie było litości.

– Skończmy z tą zabawą! – krzyknął w stronę Niemców. – Albo pan Rüdiger wreszcie odniesie się do postawionych mu w tej sali zarzutów, albo aresztujemy obu panów! A wtedy nie pomoże wam nawet ambasada w Warszawie! Prawo jest prawem i nie zamierzam się nad tym długo rozwodzić! Jeśli panowie...

Świetnie zapowiadającą się przemowę szefa komendy zakłócił jeden z trzech stojących na jego biurku telefonów. Od metalicznego dźwięku zadrżała na widełkach słuchawka ze złożonym sitkiem mikrofonu. Kaczmarek wiedział, że to bezpośrednia linia łącząca Prezydium Policji z Komendą Główną w stolicy.

Wybity z rytmu Bączkowski ruszył ku aparatowi. Gdy był już przy nim, zawahał się na moment, ale ostatecznie podniósł słuchawkę.

– Komendant Bączkowski.

W słuchawce usłyszał charakterystyczny świszczący oddech. Już wiedział, że po drugiej stronie przy telefonie, trzysta kilometrów na wschód, stał komendant główny policji, pułkownik Jagrym-Maleszewski.

– Komendancie, do cholery jasnej! Co wy tam w tym Poznaniu odpierdalacie? – niemal krzyczał.

– Melduję, że mieliśmy incydent z udziałem Niemca. A właściwie kilku Niemców... Jeden z nich pobił polskiego obywatela...

– Komendancie, przed chwilą dzwonili do mnie z MSZ-etu z wyraźnym żądaniem zwolnienia tego boksera, którego ponoć posadziliście na dołku. – Głos Jagrym-Maleszewskiego zabrzmiał jednocześnie ostro i oschle.

– Ależ panie komendancie! – zaprotestował Bączkowski, choć polecenia z Warszawy wykonywał zwykle bez mrugnięcia okiem. – Tu

w gruncie rzeczy nie idzie o boksera Spannagela, ale o jego trenera. Musi pan wiedzieć, że trzy lata temu podczas jego pobytu w Poznaniu...

– Bączkowski, kurwa mać! – wściekł się komendant główny. – Gównu mnie obchodzi jakaś stara historia! Właśnie wydałem rozkaz i macie go natychmiast wykonać! Uwolnić Niemca i pozwolić ekipie bokserów w spokoju wyjechać z Polski! Rozumiemy się?! W przeciwnym razie będziesz pan odpowiedzialny za skandal dyplomatyczny pierwszej wody! Chyba nie chcesz pan, żeby informacje o nim dotarły do Belwederu? Pan marszałek ma jeszcze dość siły, by osobiście wygarbować panu skórę! Taka jest racja stanu, rozumiecie, Bączkowski?! No! To zamykać sprawę i już!

Trzask słuchawki jednoznacznie wskazywał na koniec dyskusji.

Bączkowski spojrział na Kaczmarka i bezradnie rozłożył ręce. W jednej chwili zrozumieli, że tego meczu z pewnością nie wygrają. Komendant główny wytrącił im z rąk jakiegokolwiek sztuczki.

– Za chwilę uwolnimy pana Spannagela – oznajmił Niemcom inspektor Kayser. – Proszę za mną...

Zaskoczeni Lange i Rüdiger posłusznie ruszyli za nim ku drzwiom.

– Polityka... – syknął Kaczmarek z pogardą.

Miał w dupie służbowe ceregiele. Wyszarpnął swoją policyjną odznakę z wewnętrznej kieszeni marynarki, rzucił ją na stół i wyszedł, demonstracyjnie trzaskając drzwiami.

### *Kamienica przy Szkolnej 10, dwunasta z minutami*

Spacer po Starym Mieście wywiązał z niego najgorszą złość. Nadal był jednak wściekły. Zdawał sobie sprawę, że przegiął, wychodząc z hukiem z komendy, ale nie potrafił inaczej. Ciągle miał przed oczyma bladą jak kreda twarz Borowczaka i jego obandażowaną głowę. Podwładny doznał



wtedy pęknięcia czaszki i cudem ocalał. A odpowiadał za to Erich Rüdiger, którego już miał na widelcu! I nagle we wszystko wkroczyła ta cholerna polityka. Rzekome cudowne pojednanie między dwoma od zawsze zwaśnionymi krajami. Kaczmarek nie wierzył w nie ani przez chwilę.

Kiedy wchodził po schodach na drugie piętro, wokół było dziwnie cicho. Podwórze ich kamienicy zawsze tętniło życiem, słychać było odgłosy zabaw dzieci czy odbijającą się o ścianę gumową piłkę. Czasem zaszczekał pies sąsiadów. Tym razem jednak w całym budynku panowała zupełnie nienaturalna, niemal podejrzana cisza. Czyżby stało się coś złego?

Wyczulony na wszelkie odstępstwa od normy Kaczmarek przyspieszył kroku i zasapany z powodu nadwagi stanął wreszcie przed drzwiami swojego mieszkania.

Zanim zapukał, przyłożył ucho do drzwi. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Dopiero wtedy usłyszał dźwięki radosnego kobiecego przekomarzania.

Rozpoznał głosy żony i Zosi, pomocy domowej.

Odetchnął z ulgą i nacisnął klamkę.

– Biniu, to ty?! – Głos Loni był zaskakująco ciepły i czuły. – O tak wczesnej porze? A to niespodzianka...

Po ostatnich cichych dniach spowodowanych niefrasobliwą wzmianką o aspirantce z Warszawy komisarz spodziewał się raczej dłuższego kryzysu w ich wzajemnych relacjach. Tymczasem melodyjny ton głosu żony miło go zaskoczył.

– Tak, to ja! – rzucił i ruszył ku kuchni, skąd dobiegał głos Loni.

– To ja już może obiorę pyрки? – usłyszał pytanie Zosi.

– Poczekaj... – odpowiedziała jej szeptem żona Kaczmarka.

Komisarz wszedł różnym krokiem do kuchni i... zbaraniał.

Na stole, przy którym siedziały nad talerzykami do ciasta obie kobiety, stał zdobny karton cukierni Dobskiego. Był otwarty. W środku znajdował się... wielki, pokrojony już tort z wymalowaną czekoladą inskrypcją: *Z okazji 10 lat służby w Policji Państwowej.*

– Biniu, czyż to nie wspaniałe, że twoi szefowie tak o tobie pamiętają? – zaświergotała Lonia, podnosząc do ust łyżeczkę z kawałkiem masy nugatowej. – Muszą cię naprawdę doceniać, skoro...

Nie dokończyła, bo jej mąż krzyknął przeraźliwym głosem:

– Stoop!

I rzucił się ku niej, by wytrącić jej łyżeczkę z ręki.

---

<sup>23</sup> Szplin (gwara poznańska) – wariat, postrzeleniec.

<sup>24</sup> Poruta (gwara poznańska) – kompromitacja, wstyd.

<sup>25</sup> Dostać szmergla (gwara poznańska) – dostać bzika, zwariować.

<sup>26</sup> *Scheisse!* (niem.) – gówno, tu w znaczeniu: cholera!

<sup>27</sup> *Herein!* (niem.) – Wejść!

<sup>28</sup> Obecnie plac Kolegiacki.

<sup>29</sup> Obecnie plac Wielkopolski.

# CHWYCIĆ DIABŁA ZA ROGI



### ***Dziennikarze polscy w Berlinie***

*Berlin (PAT). Nadburmistrz m. Berlina, dr Sahm, podejmował w sobotę śniadaniem polską wycieczkę dziennikarzy. Śniadanie odbyło się w restauracji dawnej wieży radiowej na wysokości 100 metrów ponad poziomem miasta. Wieża ta znajduje się na terenie wystawy niemieckiej pod hasłem: „Deutsches Volk – deutsche Arbeit”. [...] Podczas śniadania wygłosił nadburmistrz Sahm toast na cześć gości polskich, oświadczając m.in., że wycieczka dzisiejsza nabiera szczególnego znaczenia na tle deklaracji polsko-niemieckiej. Wycieczka dziennikarzy polskich zwiedzających wystawę będzie miała możliwość przekonać się o pokojowych tendencjach narodu niemieckiego. W zakończeniu dr Sahm wzniosł „toast na cześć Prezydenta Rzeczypospolitej, wodza i bohatera narodu polskiego marszałka Piłsudskiego oraz całego narodu polskiego”. Toast ten podchwycili obecni trzykrotnym okrzykiem „hoch”.*

*„Dziennik Poznański”, 1 maja 1934*

*Pogotowie ratunkowe przy szpitalu miejskim przy Szkolnej, godzinę wcześniej*

Andrzej Dudko ocknął się w białej sali, która skojarzyła mu się z potocznym wyobrażeniem rajy. Wszystko wokół było jasne, czyste i nadzwyczaj spokojne. I pewnie trwałyby przez jakiś czas w tym irracjonalnym przeświadczeniu, że znalazł się w niebie, gdyby nie zatroskana twarz pochylającej się nad nim pielęgniarki. I widok strzykawki w jej dłoniach.

Chciał się poderwać, wstać z łóżka, w którym leżał, ale poczuł przeszywający ból idący od szczęki przez szyję w dół, po którym zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach. Bez siły opadł na posłanie, prosząc pielęgniarkę rozpaczliwym spojrzeniem, by nie robiła mu krzywdy.

– Spokojnie, panie Andrzeju! – Uśmiechnęła się do niego troskliwie. – Lepiej się nie ruszać. I tak nic mi pan nie powie, bo ma złamaną szczękę. Nasz chirurg dopiero co ją panu zdrutował. Proszę leżeć spokojnie, żeby się dobrze zrosła...

Niczym spowolnione obrazki biało-czarnego filmu w kinie wracały do niego wspomnienia z ostatnich chwil przed utratą przytomności. Zobaczył fragment chodnika przed hotelem Monopol, lśniące w słońcu szyny tramwajowe, twarz mężczyzny, którego zaatakował, wreszcie zamaszty cień pięści trafiającej go w twarz...

Wreszcie zorientował się, gdzie jest. Znowu chciał się podnieść, ale kolejny szarpiący ból uświadomił mu, że siostra dobrze mu radziła. Odpuścił więc i opadł na poduszkę, przymykając oczy. A potem poczuł w prawym ramieniu coś jakby ukłucie – i znowu odpłynął w błogostan.

Przyśniło mu się, że jest na obozie szkoleniowym ONR. Że maszeruje wśród karnych szeregów towarzyszy w tych samych, piaskowych uniformach. Idą przez las, śpiewając gromko o Wielkiej Polsce bez Żydów, masonów i wszelkiej maści zdrajców.

Gdzieś nad ich głowami dumnie rozpościera szerokie skrzydła orzeł bielik.

*Znowu kamienica przy Szkolnej 10, około trzynastej*

Kaczmarek wytrącił łyżkę z dłoni żony dosłownie w ostatniej chwili – gdy wkładała już efektowny kawałek tortu do ust. Wybite z łyżki ciasto otarło

się o policzek Loni i upadło na podłogę, rozpryskując się widowiskowo na wszystkie strony.

– Co robisz?! – krzyknęła zszokowana reakcją męża.

Siedząca obok Zofia złękła się i opuściła swoją łyżkę pod stół.

Blady jak ściana komisarz oparł się o blat stołu, dysząc ciężko. Na czoło wystąpił mu lodowaty pot.

– Ratuję ci życie – odpowiedział śmiertelnie poważnym tonem. – To ciasto... Ono może być zatrute.

– Co takiego?! – Longina Kaczmarek nic nie rozumiała. – Jak to: zatrute? Przecież to z okazji twojego jubileuszu! Zobacz, Biniu! Taki ci prezent zrobili!

Kaczmarek łapał powietrze coraz swobodniej. Ucisk w piersi z wolna ustępował.

– Żadnego jubileuszu, Loniu – wyjaśnił. – Dziesięć lat pracy w policji obchodziłem rok temu. Nie pamiętasz? Dostałem wtedy pięknie oprawiony dyplom, który wisi nad moim biurkiem...

– Rzeczywiście... – Lonia zachowywała się tak, jakby ktoś zbudził ją nagle z głębokiego snu. – Ale w takim razie... Od kogo ten tort?

Kaczmarek westchnął znużony. Znowu powie Loni, że to tajemnica służbowa, a ona po raz kolejny się obrazi.

– Od złego człowieka – powiedział łagodnym tonem. – To może mieć związek z prowadzoną przeze mnie sprawą.

– Ale Biniu, czy ty aby nie przesadzasz? Może ktoś chciał ci zrobić miłą niespodziankę. Może dopiero teraz się dowiedział o twoim jubileuszu i...

– I postanowił mi, ot tak, podrzucić coś słodkiego? Loniu, to wszystko jest podejrzane. Bardzo podejrzane. Chciałbym się mylić, ale obawiam się, że nasi fachowcy będą musieli zabrać ten piekielny tort do analizy chemicznej. Obym się mylił! Obym!

Żona komisarza zrobiła wielkie oczy.

– To ja może posprzątam – zaproponowała po chwili, schylając się po obie łyżeczki.

– Zostaw! – krzyknął znowu Kaczmarek. – Wierz mi, to naprawdę nie przelewki. W ostatnim czasie mieliśmy dwóch śmiertelnie otrutych! Nie chcę, byś była kolejna!

Lonia z wrażenia zasłoniła usta. W oczach Zosi komisarz dostrzegł prawdziwy strach.

– Ale Biniu... Czy uważasz, że ktoś chciał ciebie...

– Zgładzić? Tak. A jeśli nie mnie, to ciebie, kochanie. Żeby mnie bardziej bolało.

Spojrzała na niego przerażona.

– Biniu, to straszne! Okropne! Że też są na świecie tacy ludzie... tacy... tak bezlitośni i bezwzględni...

– Spotykam ich dość często, kochanie. – Kaczmarek wyprostował się, by troskliwie przytulić Lonię. – Taka już moja robota. Ale nigdy dotąd nikt nie podniósł ręki na ciebie. Powinienem cię lepiej chronić, skarbie. Obiecuję to.

Wszystko złe, co nagromadziło się między nimi w ostatnich dniach, odeszło w jednej chwili w niebyt. Liczyła się teraz tylko dłoń Loni w dłoni Zbigniewa. I usta na ustach.

Zofia przyglądała się tej romantycznej chwili w niemym zachwycie. Żeby i jej kiedyś trafił się tak kochający mąż!

*Prezydium Policji, godzinę później*

Kaczmarek wezwał do swojego mieszkania Aniołę z ekipą techniczną, nakazując im zabezpieczenie dowodów, a sam wrócił do komendy.

Zrozumiał, że nie powinien tak łatwo ulegać emocjom – dlatego się nie zdziwił, gdy natychmiast został wezwany do komendanta Bączkowskiego.

Szef poznańskiej policji przetrawił już gorycz prestiżowej porażki. Wyglądał znacznie lepiej niż w momencie, w którym Kaczmarek opuścił jego gabinet.

– Udzielam panu nagany, komisarzu – powiedział do śledczego. – Chyba nie muszę tłumaczyć, z jakiego powodu.

– Nie – odpowiedział krótko Kaczmarek.

– Ale że pana lubię, nagana jest ustna – dodał Bączkowski. – Bez wpisu do akt.

– Tak jest.

– Odmaszerować!

Opuścił posłusznie gabinet komendanta, nie okazując nawet odrobiny zadowolenia. Obaj wiedzieli, że w sprawie wyrównania rachunków za Borowczaka ponieśli spektakularną klęskę. I obu ich piekło to do żywego.

Na schodach złapał Kaczmarka inspektor Kayser.

– Wskoczmy do Adrii? – Puścił oko, ścisząc głos. – Mają świeżą dostawę anyżówki...

Kaczmarek spojrział na zegarek. Godzina ewidentnie nie kwalifikowała się na spożywanie napojów alkoholowych. Lokal znajdował się wprawdzie o żabi skok, dosłownie po przeciwnej stronie ulicy, ale on zwyczajnie nie miał na to nastroju.

– Dziękuję, szefie. Nie dziś – odpowiedział, omijając szczupłą sylwetkę Kaysera.

– A ja sobie nie odmówię, cholera jasna! – zaklął inspektor. – Taki dyshonor! I to ze strony szkopów! Nie mogę sobie tego darować... Nie mogę!



Kaczmarek słyszał jego utyskiwanie, gdy inspektor szedł w dół schodów, by skierować się następnie ku wyjściu z komendy.

Komisarz wzruszył ramionami, wziął dwa głębsze oddechy i ruszył do swojego gabinetu. Tam czekała go niespodzianka. Na ławce pod ścianą siedziała aspirantka Przysługa. Czekala chyba dość długo, oparta o ścianę, bo oczy miała przymknięte, a nogi, skryte pod spódnicą munduru, delikatnie zsunęły się z siedziska w stronę korytarza. Zwyczajnie przysnęła.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył znaną mu już teczkę wystającą spod pachy jego podwładnej. Odniósł wrażenie, żeteczka była grubsza niż poprzednim razem.

– Ehm. – Nie chciał wypaść jak ostatni grubianin, więc tylko delikatnie chrząknął.

Aspirantka zerwała się na równe nogi. W pierwszym odruchu chciała zasalutować do odkrytej głowy, ale się powstrzymała.

– Panie komisarzu, melduję zebranie informacji, o które pan prosił.

– Już?!

Zdawało mu się, że dał jej zadanie na co najmniej dzień szperania w archiwum, może nawet dwa. A ona uwinęła się z tym w niespełna pięć godzin!

– Przepraszam za zwłokę. Nie wszystko znalazłam w tutejszych aktach i musiałam improwizować – usprawiedliwiała się z taką gorliwością, jakby popełniła jakieś przestępstwo.

– No dobrze. – Zakłopotany Kaczmarek otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. – Skoro tak, to powinniśmy się naradzić. Tym bardziej że prawdopodobnie doszło do kolejnej próby zabójstwa.

– Próby?! Gdzie i kiedy?!

Usiedli. Kaczmarek opowiedział jej w kilku krótkich zdaniach o podejrzanym cieście przysłanym na jego prywatny adres. I o żonie, której

w ostatniej chwili wytrącił je z dłoni.

Barbara Przysługa zbladła. Poczekwała, aż szef zakończy relację, a potem skomentowała w swoim stylu:

– To wszystko świetnie pokrywa się z ustaleniami, które poczyniłam.

– Ach tak? To co udało się pani ustalić? – zainteresował się Kaczmarek.

Przysługa sięgnęła po teczkę i zaczęła przeglądać zapisane przez siebie kartki.

– To może najpierw przedstawię dane na temat obu denatów – zaproponowała.

– Proszę bardzo.

– Jędrzej Dymecki. Urodzony siódmego marca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku...

– Mój rówieśnik.

– ...w Gnieźnie. Tam też ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. W tysiąc dziewięćset szesnastym powołany na front zachodni, z którego latem dziewięćset osiemnastego roku zdezerterował. Członek Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego. Zaangażowany w akcję werbunkową poprzedzającą bezpośrednio wybuch powstania, podwładny Fiedlera. W powstaniu zasłużony w opanowaniu gmachu poczty i dworca kolejowego, potem jeden z organizatorów żandarmerii. Służył pod Jęczkowiakiem, zabezpieczał wizytę naczelnika Piłsudskiego w Poznaniu w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Potem w żandarmerii. W tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym opowiedział się po stronie sił rządowych, co zakończyło jego karierę w służbach mundurowych. Imał się różnych zajęć, czasem jako pracownik fizyczny na kolei albo w firmie przewozowej. Zaangażował się też w związek kombatanckim, jednym z bodajże czterech, o ile zdążyłam się zorientować...

– To z pewnością skomplikowane. – Kaczmarek uśmiechnął się wyrozumiale.

Pracowitość i skrupulatność aspirantki wywarły na nim ogromne wrażenie.

– Był jego prezesem...

– Wiceprezesem – poprawił ją delikatnie.

– Przepraszam, wiceprezesem. Bardzo aktywnym. Walczył o dodatki socjalne dla byłych powstańców w złej sytuacji materialnej. Organizował wraz z władzami miasta obchody świąt państwowych. Albo odczyty na tematy historyczne w pałacu Działyńskich.

– Ostatnimi laty był zgorzkniały i rozgoryczony – dorzucił Kaczmarek. – Uważał, że nie szanuje się zasług ludzi takich jak on i jego koledzy ze związku. Wiódł samotnicze życie.

– No właśnie, panie komisarzu. – Podwładna Kaczmarka ożywiła się. – W archiwum komendy nie znalazłam żadnych danych na temat życia prywatnego Dymeckiego. Wspominał pan wcześniej, że jego stan kawalerski z pewnością nie wynikał z odmiennych preferencji seksualnych. Czy w jego życiu nie było jednak żadnych kobiet?

Komisarz zastanowił się w milczeniu.

– Z czasów, gdy byliśmy razem w POW, pamiętam, że kręcił się wokół tej czy owej. Nie stronił od miłostek czy romansów. Ale jego życie tak się jakoś ułożyło, że nie znalazł tej jednej jedynej.

– Czy bardzo to przeżywał? Czy zwierzał się panu ze swojego życia osobistego?

– Nie wydaje mi się... – Kaczmarek znowu wrócił do wspomnień. – Nie, zdecydowanie nie. O tych sprawach nigdy nie rozmawialiśmy.

– Może jednak odczuwał ten brak w swoim życiu?

– Przepraszam, do czego pani zmierza?

Aspirantka Przysługa uśmiechnęła się sympatycznie.

– Zastanawiam się, czy ten deficyt uczucia mógł odegrać rolę w jego śmierci.

### *Hotel Monopol, kwadrans przed piętnastą*

Po powrocie z policji Rüdiger i Lange poszli prosto do hotelowej restauracji i kazali sobie nalać sznapsa. Trener ukrywał to przed kolegą, ale wizyta w Prezydium Policji mocno nadszarpnęła jego nerwy. Zwłaszcza moment, w którym ten cholerny pucułowaty komisarz zaczął dobierać się mu do skóry. Całe szczęście, że zachował spokój i nie dał się sprowokować. Choć ciśnienie skoczyło mu w górę niczym po podwójnym espresso. Cholera, ten Polak doskonale wiedział, co stało się w Posen trzy lata wcześniej! Jak to dobrze, że Ziąglarski nie wytrzymał i pobiegł do konsulatu, co w konsekwencji uruchomiło ambasadora w Warschau! Ten nacisnął na polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i zakończyło się cudownym wybawieniem z opresji.

Wprawdzie ten dumny komisarz nie miał przeciw niemu żadnych dowodów, ale sama konfrontacja z agentem, którego unieszkodliwił w trzydziestym pierwszym, nie należała do sytuacji komfortowych. I gdyby Polaczki się upierali, sprawa mogłaby się horrendalnie przeciągnąć. Na szczęście ich dyplomacja stanęła na wysokości zadania, przedkładając realne korzyści nad partykularne rozgrywki.

Alkohol smakował dobrze, mocno. Przyjemnie grzał w gardło. Kazał więc sobie nalać raz jeszcze. Wódka to była chyba jedyna rzecz, za którą cenił ten kraj. Wszystko inne go mierziło. Prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać chwili, kiedy to napuszone sezonowe państwko padnie pod

uderzeniami aryjskich pięści. Kiedy rozleci się ta groteskowa składanka, upchana w dziwacznych, pokraccznych granicach...

Nagle coś sobie przypomniał. Telefon! Miał przecież raz jeszcze zadzwonić.

Po doświadczeniach sprzed trzech lat uznali, że nie ma sensu afiszować się na ulicach miasta razem. Zawsze istniało ryzyko, że znowu pociągnie za nimi jakiś tajniak. Albo wyśledzi ich w jakimś lokalu. Po wizycie na komendzie był niemal pewny, że ten upiorny komisarz przydzielił im w Posen specjalną obstawę. I że kontroluje każdy jego ruch.

Drugi kieliszek wyrzucił na jego twarz rumieńce. A zaraz potem złośliwy uśmiech. A jednak udało im się spotkać! Wystawić do wiatru tych durnych Polaczków. Przyszła do niego zupełnie niezauważona, skorzystała z tylnego wejścia do hotelu. Dawna namiętność odrodziła się tamtej nocy ze zdwojoną mocą. I z pożytkiem dla ich wspólnej sprawy.

### *Prezydium Policji, w tym samym czasie*

Kaczmarek pojął w lot, nad czym się zastanawiała Przysługa.

– Chodzi pani o to, że Dymecki mógł mieć jakiś romans, o którym nikt nic nie wiedział?

– Właśnie. A nawet jeśli nie romans, to zabójczyni mogła zagrać na tej strunie. Bo to była czuła struna w jego życiu, prawda?

– Zabójczyni? – Komisarz nie odpowiedział wprost. – Dopuszcza pani taką możliwość? – ucieszył się.

– Oczywiście, przecież już mówiłam. Skoro jest pan absolutnie pewny, że Dymecki nie był homoseksualistą, to naturalnym wydaje się, że uległ czarowi kobiety. Zapewne atrakcyjnej, w dodatku potrafiącej z miejsca zdobyć jego zaufanie. A może po prostu świetnie znanej denatowi?

– Tak, to logiczne – zgodził się komisarz. – Sprawdzam w związku kombatanckim Dymeckiego, czy nie wiedzą czegoś na ten temat. Na razie jednak nie ustaliliśmy nic pewnego.

– Przejdźmy zatem do drugiego denata. – Aspirantka Przysługa najwyraźniej ceniła sobie służbowy czas. Kaczmarek skinął przyzwalająco głową. – Wojciech Kopa był starszy od Dymeckiego o rok. Sierota, wychowywany przez siostry szarytki. Po ukończeniu Królewskiego Gimnazjum Marii Magdaleny wcielony do armii niemieckiej, walczył najpierw na froncie wschodnim, a pod koniec Wielkiej Wojny we Francji. Dezerter, poszukiwany usilnie przez władze niemieckie. Z jego spisanego niegdyś życiorysu wynika, że ukrywał się w Poznaniu na Wielkich Garbarach pod opieką Wierzyńskiego...

– Wierzejewskiego. Wincentego Wierzejewskiego – skorygował notatki aspirantki Kaczmarek.

– A tak, ma pan rację.

– Też się tam wtedy ukrywałem, na poddaszu u piekarza Górskiego – dodał Kaczmarek, a głos zadrżał mu nagle ze wzruszenia.

Dawne życie stanęło mu przed oczyma, jakby to było wczoraj. Niemiecka policja tropiła takich jak oni, co jakiś czas robiła naloty na podejrzane lokale. Raz – aby uniknąć dekonspiracji – musieli nawet w pośpiechu wyjść przez lukarnę na dach... Zapamiętał doskonale wąski prześwit między kominem a rynną, śliską pochyłość dachu i tę przepaść... Nogi trzęsły mu się jak na pierwszym egzaminie. Ale przetrwał, ukrył się. Wszyscy przeżyli i poszli potem do walki o wolny kraj.

– Nie wiedziałam – przyznała się policjantka. – Tę część naszej najnowszej historii znam raczej słabo.

– Nie pochodzi pani przecież z Poznania – skomentował uprzejmie Kaczmarek.

– Nie. Ale podziwiam panów za to, co zrobiliście w osiemnastym. Później zresztą też, w wojnie z bolszewikami.

– Stare dzieje – mruknął komisarz, mile jednak połączony. – Wróćmy może do Kopy.

– Tak, tak. Oczywiście – Aspirantka znowu zagłębiła się w notatki. – W konspiracji blisko współpracował z Paluchem, a potem ze Śniegockim. Po powstaniu Kopa służył w żandarmerii, był między innymi na Pomorzu podczas plebiscytu na Warmii i Mazurach. W żandarmerii do tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, potem zaczął się w koszarach w Bydgoszczy jako kwatermistrz. Względnie powodziło mu się do przewrotu majowego. Opowiedział się wtedy po złej stronie, więc od tamtej pory klepał biedę, żyjąc z zapomóg.

– Zaraz, zaraz. Chyba nie wiodło mu się najgorzej, skoro miał dom na Starołęce?

– Odziedziczył go po śmierci matki. Mieszkał w nim samotnie.

– I również był starym kawalerem.

– Otóż to, panie komisarzu. Czy i tym razem ktoś nadużył zaufania samotnego człowieka, być może udając uczucie?

Kaczmarek westchnął, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Musiał jednak przyznać, że świetnie mu się pracowało z nową podwładną. Jej umiejętności analityczne okazały się wprost nieocenione.

– Wygląda na to, że za obydwojma morderstwami stoi jakaś mora – podsumował.

– Przepraszam, kto? – zdziwiła się Przysługa.

– Mora – powtórzył ponurym tonem komisarz. – To po naszymu, po poznańsku. Mora to zjawa. Albo zmora.

Aspirantka uniosła brwi.

– A co z precjozami na miejscach zbrodni? – przypomniał sobie Kaczmarek. – Udało się pani ustalić cokolwiek?

– Tak jak pan kazał, sprawdziłam ostatnie pięć lat.

– I?

– I nic. Nie stwierdzono podobnych przypadków. Choć raz w dłoni pewnej denatki znaleziono kolczyki. Wszystko wskazywało jednak na to, że należały do niej.

– Jej nazwisko? – zainteresował się Kaczmarek.

Przysługa zerknęła w notatki.

– Woźna. Alicja Woźna, znaleziona dwudziestego pierwszego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego roku w podwórzu kamienicy przy placu Sapieżyńskim.

– A tak! Przypominam sobie! – ożywił się Kaczmarek. – Ale to nie ma nic do rzeczy. To była prostytutka. Zresztą szybko ujęliśmy jej mordercę.

– A może... – podchwyciła wątek aspirantka – ...a może po prostu obaj nasi denaci korzystali z usług tej samej dyskretnej prostytutki? To tłumaczyłoby fakt, że nie wiedzieli o tym ich znajomi ze związku. Obaj zamordowani cieszyli się wszak nieposzlakowaną opinią.

– Nonsens – skontrował komisarz. – Która prostytutka jada z klientami posiłki?

– To akurat mogło się zdarzyć – zaprotestowała Przysługa.

– I wykorzystwała moment, żeby dosypać im do jedzenia arszeniku? Po co miałyby to robić, skoro dzięki nim zarabiała?

– A może nie płacili i chciała się odegrać?

– Nie, pani aspirant, to w żaden sposób nie trzyma się kupy.

Zerknęła na niego znad notatek nieprzekonana.



– Panie komisarzu, nie porzucałabym tego wątku tak szybko. Ale to pan prowadzi śledztwo. Ja tylko pomagam.

– Całkiem udatnie – pochwalił ją, by złagodzić przykre wrażenie wywołane bezpardonowo wyrażonym sądem. – Wydaje mi się jednak, że broszka podrzucana w miejscach zbrodni wskazuje na inny motyw tych przestępstw. Sugeruje, że w obu przypadkach jest on ten sam.

– Słuszna uwaga, panie komisarzu.

– I tu dochodzimy do kwestii wymowy tego precjozum. Inspektor Kayser święcie wierzy, że wąż z broszki ma związek z tajnym sprzysiężeniem okultystów. A ja nie. Absolutnie tego nie czuję. Ale może niesłusznie? Znalazła pani coś na ten temat?

– Cóż, nie miałam na to zbyt wiele czasu. Udało mi się jednak ustalić, że bodajże w trzydziestym pierwszym... – Aspirantka zanurkowała nosem w wypiskach. – Nie, w trzydziestym drugim podczas śledztwa związanego z zabójstwem niejakiego Erwina Paschkego pojawił się domniemany motyw okultystyczny.

– Dlaczego domniemany? – zainteresował się Kaczmarek. Jakoś nie potrafił sobie przypomnieć tej sprawy, choć nazwisko denata brzmiało mu dziwnie znajomo.

– Ofiarę znaleziono na klatce schodowej. Leżała twarzą do schodów, zginęła od ciosu nożem prosto w serce. Ale najważniejsze było to, że obok ciała ktoś wyskrobał ostrzem na desce schodów hasło „Ave Satan”...

– Co za bzdury – wyrwało się komisarzowi. – Wynotowała może pani, kto prowadził tę sprawę?

– Tak. Przodownik Łysiak.

– I do czego doszedł nasz orzeł Temidy?

– Szukał śladów tajnych organizacji satanistów w Poznaniu i Wielkopolsce, ale nie znalazł. Uznał więc, że motyw okultystyczny był

tylko wytworem chorej imaginacji sprawcy. Albo ślepym tropem. I umorzył sprawę.

Kaczmarek się zamyślił. Przypomniał sobie wszystko to, co o symbolice węża powiedział mu Kayser.

– Ale ten wąż... – odezwał się po chwili. – Według inspektora Kaysera to ewidentnie znak tych środowisk.

Barbara Przysługa uśmiechnęła się delikatnie.

– Może tak być albo i nie – odpowiedziała. – Równie dobrze ten motyw z broszką może stanowić zwykłą zasłonę dymną. Może sprawca chce po prostu skierować nas w ślepią uliczkę, byśmy uparcie w nią brnęli.

Kaczmarek nie odpowiedział.

– *À propos*, panie komisarzu... Czy przy torcie, który otrzymała pana żona, znaleziono coś podobnego?

– Broszkę z wężem? Nie widziałem.

– Ciekawe... – Aspirantka Przysługa pokręciła z niedowierzaniem głową. – To by znaczyło, że...

W tym samym momencie ciszę panującą w gabinecie rozdarł dźwięk telefonu.

Kaczmarek chwycił za słuchawkę. Dzwonił Anioła. Choć komisarz zbliżał się dopiero do czterdziestki, serce zabiło mu nierówno, niebezpiecznie.

– Jesteś pewny, Grzesiu? – zapytał komisarz.

– Doktor Marciniak mawia, że chemia nie kłamie, panie komisarzu. – Technik podparł się autorytetem zdecydowanie starszego fachowca.

– Czyli była to próba zamachu?

– Można tak powiedzieć. Ciasto było nafaszerowane trucizną.

– Arszenikiem?

- Właśnie. Ktoś się mści, panie komisarzu. Ciągłe w ten sam sposób.
- Na to wygląda, Grzesiu. Na to wygląda. – Choć spodziewał się takich wieści, Kaczmarek ciągle zdawał się zamroczony, jak Spannagel po ciosach Rotholca. – A przy okazji...
- Jest coś jeszcze, panie komisarzu.
- Tak?
- W papierze pakunkowym, w którym dostarczono ciasto, znaleźliśmy srebrną broszkę.
- Niech zgadnę: w kształcie zwiniętego węża?
- Tak jest.
- I pewnie żadnych odcisków palców.
- Żadnych, panie komisarzu.

### *Hotel Bazar przy Alejach Marcinkowskiego, około piętnastej*

Atmosfera w hotelowej restauracji nie należała z pewnością do pogodnych. Ściągnięte twarze polskich bokserów po niedzielnej przegranej z Niemcami dobitnie mówiły o tym, jak ciężko przeżyli porażkę w tak prestiżowym meczu. Wszyscy w polskiej ekipie zdawali sobie sprawę, ile tu, w Poznaniu, znaczy pięściarskie starcie z zawodnikami spod znaku swastyki. I tylko trzech z nich śmieiej podnosiło wzrok znad talerzy. Rotholc z warszawskiej Gwiazdy, Cyraniak z poznańskiej Warty i Majchrzycki, drugi poznaniak w kadrze, walczyli jak lwy i wydarli swoim rywalom zwycięstwa. Mieli więc powody do dumy. Zwłaszcza o Rotholcu zrobiło się głośno. Wszyscy w ekipie chwalili jego rozsądną taktykę i sportową klasę okazaną w starciu z doświadczonym Niemcem. A to, że polski zawodnik ma żydowskie korzenie, nadało jego zwycięstwu nad Spannagelem dodatkowej pikanterii. Rotholc z satysfakcją zauważył, że

hotelowa obsługa zaczęła mu się teraz nad wyraz grzecznie kłaniać, a jej szef zaproponował mu nawet uroczysty wpis do księgi pamiątkowej Bazaru.

Najwięcej satysfakcji przyniosła mu jednak lektura świeżego „Kuriera”. Czesiu Cyraniak miał rację: dziennikarze oddali honor waleczności żydowskiego chłopaka ze stolicy. Rotholc kilkakrotnie przesuwając wzrokiem po krzepiących liniijkach sportowej relacji. Endecki „Kurier” dostrzegł i podkreślił, że „Rotholc był najjaśniejszym punktem naszej reprezentacji”.

– No, panowie, nosy do góry! – zaapelował w przerwie między daniami Feliks Stamm, zniesmaczony głuchym milczeniem przy stole. – Raz na wozie, raz pod wozem. Generalnie chodzi o to, by jednak częściej być na. I nad tym właśnie pracujemy!

– Niemcy przywieźli najmocniejszy skład – mruknął Cyraniak, odsuwając od siebie pusty talerz po rosole. – Ciągle jeszcze są od nas lepsi.

– Ech, nie przesadzaj, Czesiu – upomniał go Stamm. – Od remisu dzieliła nas tylko jedna wygrana walka! Poza tym musieliśmy podzielić nasze „armaty”, przecież wczoraj w Warszawie nasz drugi skład walczył z Austriakami!

– Jeszcze dołożymy szkopom – odezwał się Majchrzycki, urodzony zresztą w Berlinie.

– Trzymam za słowo, Witek! – Stamm się uśmiechnął.

Wniesione przez kelnerów tace z mięsem z miejsca poprawiły wszystkim humory.

*Prezydium Policji, gabinet komisarza Kaczmarka, piętnasta z minutami*

Intuicja – jego największy dar – jednak go nie zwiodła!

Kaczmarek od razu zrozumiał, że uratował życie Loni w ostatniej chwili, i nagle zrobiło mu się zimno. To ona miała zginąć. Po raz pierwszy poczuł, że to śledztwo jest jakby osobistą rozgrywką między nim i zabójcą widmo. Po raz pierwszy ktoś nastawał na życie jego ukochanej osoby! Tylko kto?!

W głowie zaczęło mu się klarować przecucie, że chodzi o jakieś prywatne porachunki. Kto jednak miał powody, by się na nim odgrywać? Jakiś wpędzony przez niego do mamra przestępca? Żaden z nich nie opuścił w ostatnim czasie murów więzienia przy Młyńskiej czy ponurego zakładu karnego we Wronkach. Więc kto? Choć błyskawicznie zrobił przegląd zawodowych i prywatnych wrogów, nikt z nich nie wydał mu się zdolny do tak perfidnej gry.

A poza wszystkim, skąd morderca wiedział, gdzie on mieszka?

Nagle zrozumiał, że jego mieszkanie musiało być w ostatnim czasie obserwowane. A skoro tak, zabójca czy zabójczyni musiał się już zorientować, że jego plan spalił na panewce. Musiał też zauważyć, że Kaczmarek wezwał na miejsce służby. Czy zaatakuje jeszcze raz? Boże, przecież on czy ona wie, że teraz Lonia jest w mieszkaniu zupełnie sama!

Nie zastanawiając się ani chwili, zadzwonił do żony. Odebrała Zosia, a kiedy do aparatu podeszła Lonia, Kaczmarek kategorycznie nakazał jej zamknąć drzwi wejściowe na klucz i nikogo nie wpuszczać. Pod żadnym pozorem.

A może zawnioskować o ochronę policyjną? – zastanawiał się, odkładając słuchawkę. Nie zdecydował się jednak na ten krok. Mimo wszystko miał opory, obawiał się famy, że wykorzystuje swoją pozycję zawodową w celach prywatnych.

Aspirantka Przysługa zdawała się w tym czasie zupełnie nieobecna, ale z jej skupionej twarzy można było wywnioskować, że i ona analizuje

sytuację. Kiedy w końcu Kaczmarek ochłonął i usiadł za biurkiem, zadała nadzwyczaj trzeźwe pytanie:

– Skąd pochodziło to ciasto?

Kaczmarek wzruszył ramionami.

– Już to sprawdziliśmy. Na papierze pakunkowym nie ma żadnych znaków firmowych. Karton niby pochodzi od Dobskiego, ale to zmyłka: sprawca dość nieudolnie odwzorował na nim mazakiem symbol firmy, by wpuścić nas w maliny. Anioła odkrył to szybko za pomocą lupy.

– Cwana sztuka – skomentowała zimnym tonem aspirantka.

– Też tak sędzę – zgodził się z nią Kaczmarek. – Wyjątkowo wyrachowana.

– No dobrze – podjęła znowu wątek Przysługa. – W końcu piekarni i ciastkarni nie ma w Poznaniu aż tak wiele. Może...

– Będzie ze sto, może dwieście. Zanim porównamy sobie ich kartony, zginie ktoś jeszcze – uświadomił jej realia Kaczmarek. – A i tak nie mamy pewności, czy morderca nie podmienił również opakowania.

– Racja, panie komisarzu.

– Lepszym tropem wydaje mi się ten cholerny arszenik. Na marginesie: czy to nie jest nieco archaiczna broń, pani aspirant?

– Trucizna jak każda inna – skwitowała krótko Przysługa. – Ma ten plus, że jest bezwonna i nie ma żadnego smaku. Dla zabójcy liczy się skuteczność, a arszenik w takich dawkach zawsze ją gwarantuje.

– Wiem, wiem. Dobrze! Musimy zatem jak najszybciej sporządzić listę miejsc w Poznaniu i okolicy, w których można pozyskać tę toksynę. Pani Barbaro, proszę przygotować mi taki wykaz. Szpitale, ich laboratoria, pracownie chemiczne na uniwersytecie, może także w naszych służbach...

– Tak jest.

– Jak już będzie pani gotowa, proszę do mnie przyjść. Będziemy musieli obdzwonić te laboratoria, być może niektóre wybrane z listy odwiedzić. I dokładnie przeanalizować zatrudniony tam personel. Mam wrażenie, że to najkrótsza droga do chwycenia byka za rogi. A może raczej diabła.

– Albo diabolicę – podrzuciła aspirantka. – Już się robi, panie komisarzu. Ile mam czasu?

– Zdąży pani do osiemnastej?

– Spróbuję.

– Powodzenia! Ja tymczasem poszukam wspólnego motywu tych zbrodni.

*Poznań, ulica Półwiejska, w pobliżu Palmarium, około siedemnastej*

Pod koniec swojej kariery sportowej w Warszawie, gdy brakowało mu już kondycji, Sandi wpadł na pomysł organizowania tak zwanych benefisów. To był klasyczny *one man show*: kładł się na gwoździach, wyginał podkowy, robił różne cyrkowe sztuczki. Był w tym na tyle dobry, że z czasem występy te zaczęły przynosić dochody porównywalne z tymi z walk na ringu. Wtedy sądził, że raz na zawsze zerwał z fizyczną rywalizacją jako źródłem zarobku. Niestety, mylił się. Po przeprowadzce z Warszawy do Poznania okazało się, że chętnych do nauki angielskiego albo rosyjskiego u czarnoskórego nauczyciela zabrakło. Nikt też nie chciał go zatrudnić w oficjalnym szkolnictwie ani w urzędach – choć ze swoimi językowymi kompetencjami z pewnością by się tam przydał. Rychło okazało się, że w sposób uczciwy może zapracować na życie tylko jako bramkarz. Człowiek do specjalnych poruczeń, usuwający z lokalu

najbardziej kłopotliwych klientów. Takich, jak niedawny pieniacz, który zjawił się w kuchni...

Przechadzając się po zatłoczonej o tej porze ulicy, zaglądał w witryny sklepów. Lubił wiedzieć, co kto ma nowego do sprzedaży. Raz wypatrzył dla Łucji wcale ładną chustę, którą potem z dumą nosiła. Tym razem szukał czegoś dla swojej chorej córeczki. Kiedy czytanie i wymyślanie bajek już jej nie bawiło i zmęczona gorączką usnęła, Sam wymknął się po cichu z mieszkania nad Palmarium i nie opowiadając się żonie, ruszył w stronę sklepu z zabawkami Artura Piechockiego.

Miał wrażenie, że podczas poprzedniego spaceru Półwiejską w stronę Wildy dostrzegł w witrynie tego składu pocieszną pluszową małpkę. Był więcej niż pewny, że kiedy jego Gabrysia po przebudzeniu zobaczy małpisonka u swojego boku, natychmiast poprawi się jej samopoczucie.

Zza pleców, gdzieś od rysujących się w dali konturów wildeckich kamienic, powiał ciepły, wilgotny wiatr. Wiosna już nie skradała się do śródmieścia – szła ku niemu pełną mocą, z otwartą przyłbicą, rozwierając pąki na drzewach i wzmagając ptasi świergot. Sandi głęboko odetchnął. Choć za godzinę miał być znowu w pracy, czuł się wolny i szczęśliwy. Bo mieć rodzinę i się o nią troszczyć – to prawdziwe szczęście.

Przekraczając przecięcie Półwiejskiej z Długą, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że ktoś za nim idzie. Obejrzał się dyskretnie przez ramię. W pierwszej chwili nie zauważył nic podejrzanego, ale kiedy spojrzął w tył raz jeszcze, już przy nim byli.

Dwa draby miały gęby jak ejbry<sup>30</sup> z Dębca. Nieogolone, z żylastymi przedramionami, zapowiadały kłopoty. Sandi od razu zrozumiał, że to nie przelewki. Momentalnie się odwrócił, by uprzedzić pierwsze ciosy.

W samą porę, bo już leciała ku niemu pięść pierwszego. Sandi uchylił się od ciosu z dawna wyćwiczonym na ringu unikiem, by natychmiast



wyprowadzić piekielne uderzenie od dołu, wycelowane prosto pod żebra napastnika.

– Uuuch! – stęknął zawałidroga, gdy nagle zmiękły mu nogi.

Zaraz potem osunął się zboląły na trotuar.

– Matko Boska! Biją Murzyna! – wrzasnęła przechodząca obok matrona z dzieckiem, które pociągnęła w popłochu w stronę placu Świętokrzyskiego<sup>31</sup>.

– Wielkie mi co! – skomentował zmierzający w przeciwną stronę blondyn o wysokim czole. – A niech mu przywalą! Polska dla Polaków! Nie dla czarnego luda!

Sandi ledwie zdołał to usłyszeć, bo właśnie nacierał na niego kumpel powalonego. Ten był zwinniejszy, groźniejszy. Jego cios drasnął lekko szczękę Sama, ale był to pierwszy i ostatni sukces agresora. Podrażniony Sandi wyprowadził kontrę: kombinację prawego prostego w korpus i lewego sierpowego w twarz.

Oba ciosy dosięgły celu. Potężny bandyta zachwiał się, ale nie runął. Wtedy jednak otrzymał cios trzeci, decydujący. Precyzyjnie ułożona pięść wykidajły z Palmarium rozkwaślała nos zakapiora, puszczając z niego szkarłatną farbę.

Drugi z napastników padł bez życia na bruk.

Sandi rozmasował dłonie i uważnie rozejrzał się wokół.

W bramie dwa numery dalej, w stronę Starego Rynku, dostrzegł dobrze mu znaną łysą głowę prezesa Bombki. Widocznie chciał dopilnować realizacji swojego zlecenia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

A potem Sandi ruszył ostro w jego stronę.

Facet o idiotycznym nazwisku z przerażeniem w oczach wypadł z bramy. Długie, chude nogi pozwoliły mu na tempo godne finiszującego

mistrza Kusocińskiego. Znacznie starszy i tęższy Sandi zrozumiał, że nie ma szans, by go dopaść.

– Innym razem – powiedział sam do siebie i machnął ręką na gnojka.

Za plecami usłyszał policyjne gwizdki. Dwaj funkcjonariusze pochylali się nad powalonymi drabami. Jeden z nich słabą ręką wskazał w stronę Sandiego...

Pora się stąd zmywać – uznał były gwiazdor Cyrku Staniewskich.

By zgubić policyjny pościg, skręcił w górę Długiej, ku Ogrodowej i cmentarzowi ewangelików.

Chwilę później był pewny, że nikt już za nim nie idzie.

Trudno, Gabrysia poczeka na małpisonka...

---

<sup>30</sup> Ejber (gwara poznańska) – osilek.

<sup>31</sup> Obecnie plac Wiosny Ludów.

# JA DO PANA, MAESTRO



### ***Uroczystość na cywilnym lotnisku w Poznaniu***

*W poniedziałek, 30 kwietnia, po raz pierwszy wyruszył z Warszawy do Berlina przez Poznań samolot P.L.L. „Lot”. Fakt ten stał się powodem uroczystości m.in. na lotnisku cywilnym w Poznaniu na Ławicy. Na przyłot 8-osobowego Fokkera oczekiwało liczne grono przedstawicieli władz kościelnych, państwowych, samorządowych, wojskowych oraz przedstawicieli organizacji, prasy i społeczeństwa. O godz. 13 min 25 pojawił się na horyzoncie samolot, który po dwukrotnym okrążeniu lotniska [...] gładko wylądował. Do samolotu zbliżyli się dostojnicy z J.E. Ks. Kardynałem Prymasem dr. Hlondem na czele. [...] Po przemówieniach przybyłych oprowadził po lotnisku p. dyr. Zejfert, poczem udano się do pięknie ozdobionego barwami narodowymi polskimi i niemieckimi gmachu portu, gdzie w miłym nastroju spożyto śniadanie. O godz. 15 samolot odleciał do Berlina, żegnany serdecznie przez zebranych. W samolocie znajdował się m.in. red. Wentscher, przedstawiciel prasy niemieckiej.*

*„Kurier Poznański”, 1 maja 1934*

*Poniedziałek, 30 kwietnia 1934 roku, wieczorem*

Po wyjściu aspirantki Przysługi komisarz pochylił się nad jej notatkami. Równy, czytelny charakter pisma podwładnej sprawiał, że lektura tych materiałów nie nastęczała mu żadnych trudności. Zachęcony tym, wyciągnął z szuflady swojego biurka czystą kartkę i ołówek. Podzielił papier na dwie kolumny. W jednej napisał nazwisko Dymeckiego,

a w drugiej – Kopy, po czym zaczął nanosić kluczowe informacje dotyczące obu denatów.

Zza uchylonego okna dobiegały odgłosy z wolna gasnącego miasta. Stukot kopyt, klaksony samochodów i zgrzyty tramwajowych kół milkły z każdą minutą, ustępując miejsca charakterystycznemu szumowi zapadającego w sen miasta. Poznań przechodził w stan spoczynku, ale Kaczmarek z pewnością należał do innego porządku. Skupiony nad kartką, z ołówkiem w ręce uparcie walczył o postęp w śledztwie.

Szukał punktów styecznych i szybko je znalazł. Z analizy przeprowadzonej niedawno z aspirantką pamiętał, że obaj denaci wiedli samotne życie kawalerskie. I że obaj udzielali się w związku kombatanatów powstania wielkopolskiego. Zaraz też przypomniał sobie, że obaj byli w nie najlepszych układach z obecnymi władzami. Tej uwagi jednak nie wpisał na kartkę. Zamiast tego przy obu nazwiskach zapisał informację o tym, że jesienią 1918 roku byli konspiratorami w Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego. A także drugą: że po powstaniu obaj denaci służyli w żandarmerii. Dymecki był żandarmem do przewrotu majowego, Kopa służył w żandarmerii do 1923 roku, potem był kwatermistrzem w koszarach w Bydgoszczy...

Nagle coś zaczęło mu świtać w głowie. Ale nie potrafił jeszcze uchwycić sensu, nitki prowadzącej do kłębka. Wściekł się, bo iskra zgasła równie szybko, jak rozbliły. Do diabła, co on właściwie zauważył w tych notatkach? Co było źródłem tego krótkotrwałego rozbliśnięcia w mroku poszukiwań?

Rozeźlony na siebie, zaczął znowu gryzmolić ołówkiem na kartce. Przy obu nazwiskach dopisał podobne daty ich urodzin oraz nie najlepszy status majątkowy. Kopa miał dom po matce, Dymecki wprawdzie spore mieszkanie w kamienicy przy Mielżyńskiego, ale wnioskując z jego

wystroju, z pewnością mu się w ostatnich latach nie przelewało. W końcu narzekał nie raz i nie dwa na to, że państwo nie szanuje takich jak on. Tych, którzy wykuwali wolność...

Znowu jakaś nieuchwytna myśl przemknęła mu przez głowę...

Mój Boże, co jeszcze intuicyjnie dostrzegł pomiędzy gęsto zapisanymi linijkami tekstu?

Czuł, że jest blisko. Że już to widzi. A właściwie, że wie, którądy pójść...

Obaj byli w POW...

Cholera jasna! On też przecież był w tej organizacji! On! Zbigniew Kaczmarek! Rocznik 1898! I on też omal nie stracił życia. Albo inaczej: również jemu pisana była śmierć w męczarniach, wywołana tą samą trucizną, która powaliła jego dawnych bojowych kamratów!

Spocił się momentalnie. Zrobiło mu się duszno i gorąco, więc szybkim ruchem dłoni poluzował kołnierzyk. Zrozumiał, że w zwartym murze niepewności odkrył właśnie furtkę wiodącą go na zaplecze. A raczej w ciemność kulis. Wiedział, że tędy droga. Czuł to! Coś podpowiadało mu, że znajduje się blisko sedna sprawy. Że być może za chwilę uchwyci motyw... Albo przynajmniej jakiś klucz, którym kieruje się przestępca.

Zaraz, zaraz...

Raz jeszcze pochylił się nad kartką i notatkami Przysługi.

Zerknął tu i tam. I jeszcze raz.

I jeszcze...

Przełożył kartkę w notatkach aspirantki... i nagle poczuł, że jego szyję oblewa zimny pot.

Zabrakło mu tchu, zupełnie jakby oberwał od Rotholca czy innego Majchrzyckiego prosto między oczy.

Zaraz potem stuknął się otwartą dłonią w czoło.

Wreszcie zrozumiał, co łączyło obu denatów i jego skromną osobę.

A raczej kto.

A potem przyszedł strach.

Zrozumiał, kto może być następny.

### *Dworzec Poznań Główny, peron 1, kwadrans po osiemnastej*

Odjazd pociągu międzynarodowego Warszawa – Berlin – Paryż przeciągał się z nieznanym Erichowi Rüdigerowi przyczyn. Kolejarz, który stał na peronie z lizakiem pod pachą, sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą otrzymał sekretne polecenie, by za żadną cenę nie puszczając tego składu w stronę granicznego Zbąszynia. Ziewał, rozglądał się wokół, spacerował w tę i z powrotem wzdłuż brzegu peronu – krótko mówiąc, robił wszystko, tylko nie to, w jakim celu postawiono go na tym miejscu.

Wieczór nie był przesadnie ciepły. Ożywczy wiaterek wdzierał się przez uchylone okna wagonów, ale Rüdiger pocił się niemiłosiernie. Im dłużej skład stał na peronie, zwiększając opóźnienie, tym bardziej trener reprezentacji III Rzeszy popadał w wisielczy humor. Był już prawie przekonany, że gruby komisarz z Prezydium Policji wymyślił coś w ostatniej chwili, byle tylko uprzykrzyć mu życie. Doskonale wiedział, że policjant zna jego sekret i zrobi wszystko, by się na nim odegrać. Czy polska policja jest jednak w stanie zablokować sprawę wyczyszczoną wyżej, na szczeblu dyplomatycznym?

Nie, to chyba niemożliwe – odpowiedział sam sobie. W końcu i Warszawie, i Berlinowi zależy na odprężeniu. Na odnowieniu relacji i nowym początku, przynajmniej oficjalnie. A skoro tak, żaden policmajster

średniego szczebla nie ma takiej siły, by zakłócić tę jakże piękną – nieważne, że pozorną – idyllę.

– Spokojnie, Erich! – Siedzący obok Thomas Lange świetnie wyczuwał wzmagający się niepokój Rüdigera. – Ten przestój to zwykły zbieg okoliczności. Może wymieniają obsadę lokomotywy? Albo sprawdzają jakieś papiery? A może czekają na spóźnioną pocztę do Berlina?

– Oby – warknął Rüdiger.

Marzył o tym, by pociąg w końcu ruszył, nabrał prędkości i wywiózł go z tego cholernego Posen. Musiał przyznać, że wizyty w tym mieście kosztowały go zbyt wiele nerwów...

Ktoś zapukał do drzwi przedziału.

– Proszę! – rzucił Lange.

Rüdiger zbladł, wpatrując się w rozsuwającą się taflę drzwi. Zobaczył w nich młodego mężczyznę w granatowym uniformie pocztowca.

– Pan Rüdiger? – zapytał przybysz, patrząc na Thomasa Langego.

– To ja – odezwał się trener.

– List polecony do pana. Już opłacony.

– *Danke*. – Wyciągnął drżącą dłoń po przesyłkę ukrytą w małej kopercie.

Począł, aż goniec opuści przedział, a potem szybkim ruchem otworzył przesyłkę.

Kiedy zobaczył, że to list od niej, jego serce wreszcie się uspokoiło. Życzyła mu dobrej drogi. I przesyłała „gorące życzenia dla Führera”.

Zaraz potem wagonem szarpnęło i międzynarodowy ekspres Warszawa – Berlin – Paryż wyrwał się wreszcie z objęć pogrążających się w mroku dzielnic Poznania.



Erich Rüdiger oparł głowę o zagłówek i przymknął oczy. Otworzył je dopiero kwadrans później, gdy za oknem falowała już ciemna zieleń lasu.

*Prezydium Policji, osiemnasta dwadzieścia*

Przeskakując po trzy stopnie, komisarz wpadł na piętro i bez zbędnych ceregieli wbiegł do pokoju inspektora Zygryda Kaysera.

Szef wydziału śledczego właśnie pakował teczkę. Na widok Kaczmarka porzucił tę czynność i spojrzał zaintrygowany na komisarza.

– I co tam, Biniu? – zapytał. – Chcesz mi powiedzieć, że już wszystko wiesz?

Kaczmarek, zdyszany z racji swojej niebanalnej tuszy, musiał złapać oddech, zanim odpowiedział:

– Nie wszystko, szefie. Ale chyba wiem, o co chodzi tej trucicielce.

– O! – Kayser zdjął teczkę z biurka i rzucił ją na fotel. – Więc o co?

– Może raczej o kogo – sprostował Kaczmarek, ścierając wierzchem dłoni z czoła strużkę potu.

– No więc? – szef komisarza był tak zaaferowany, że nawet nie usiadł.

– Uchwyciłem wspólny element, wspólny wątek z przeszłości naszej trójki.

– Trójki? Wiem o dwóch denatach! Jest trzeci?

– Na szczęście nie. Ale przecież szef wie, że tym trzecim miałem być ja. Albo moja żona.

– Znam sprawę od Anioły. To wygląda na działania jakiejś zaburzonej osoby, realizującej coś w rodzaju zemsty.

– Też tak sądzę, panie inspektorze – zgodził się Kaczmarek. – I chociaż ciągle nie wiem, o jaką zemstę chodzi, ustaliłem, co łączy zarówno

Dymeckiego, Kopę, jak i mnie. W przeszłości służyliśmy pod tym samym człowiekiem.

– W przeszłości? To znaczy kiedy?! Jeszcze przed twoją pracą w policji? – Kayser był coraz bardziej zaintrygowany.

– Myślę o czasach tuż przed powstaniem – wytłumaczył komisarz. – O listopadzie i grudniu osiemnastego roku. Wielu z nas ukrywało się wtedy w Poznaniu po dezercji. Ja na przykład dałem nogę ze szpitala wojskowego na Jeźycach. Wiem, że Dymecki i Kopa też zdezerterowali i skryli się w tajnych kwaterach POW na Garbarach...

– Pracowałem wtedy jeszcze w Kripo – wszedł mu w słowo Kayser. – Pamiętam, że Niemcy z wydziału politycznego robili tam regularne naloty...

– Zgadza się. Ale nie byli w stanie nas nakryć – powiedział Kaczmarek, uśmiechając się łobuzersko.

Wspomnienie dawnych czasów, gdy był młody i odważny, wyzwoliło w nim nową energię.

– Tak czy owak, Dymecki, Kopa i ja zostaliśmy wtedy członkami POW i słuchaliśmy rozkazów „Józefa”, znaczy się Wincentego Wierzejewskiego – ciągnął swoją opowieść komisarz. – Ale naszym bezpośrednim szefem był Józek Jęczkowiak. Po wybuchu powstania nasze drogi się rozeszły. Każdy trafił gdzie indziej. Spotkaliśmy się jednak znowu, już po wyrzuceniu szwabów z Poznania i dzielnicy poznańskiej. A było to w żandarmerii, znowu pod dowództwem Jęczkowiaka...

– Jęczkowiak! – Kayser się uśmiechnął. – Doskonale go pamiętam! Ależ to był pistolet, niech go ręka boska broni! Zresztą, czy to nie jego wysłano do Warszawy do kontaktu z Piłsudskim?

– Tak było – przytaknął Kaczmarek. – Ale nie w tym rzecz. Otóż szczegółowa analiza przeszłości obu denatów i porównanie ich z moją

historią uświadomiło mi, że to właśnie Józek Jęczkowiak łączy nas wszystkich. Tylko on!

– No i Wierzejewski – zauważył przytomnie Kayser. Aż go korciło, by sięgnąć do szuflady po fajkę. Powstrzymał jednak pokusę.

– Zgoda. Tyle że z Wierzejewskim był tylko epizod, a z Jęczkowiakiem lata wspólnej służby – odpowiedział Kaczmarek. – Józek miał swoje tajemnice, w końcu rok później, w listopadzie dziewiętnastego, odpowiadał głową za bezpieczeństwo Piłsudskiego w Poznaniu...

– Nie wiedziałem.

– Jestem przekonany, że wszystkie te zbrodnie mają jakiś związek z jego osobą. To wygląda tak, jakby ktoś chciał zemścić się na naszej starej gwardii. Trzeba jak najszybciej zawiadomić Jęczkowiaka o grożącym mu niebezpieczeństwie!

– Słusznie! – poparł go Kayser. – Ale jego chyba od dawna nie ma w Poznaniu, prawda? W każdym razie długo nic o nim nie słyszałem.

– Prawda – potwierdził Kaczmarek. – Zdaje się, że Józek wybrał się nad morze.

– To znaczy?

– O ile się nie mylę, przeniósł się kilka lat temu na stałe do Gdyni. Ma tam chyba kamienicę? Słyszałem nawet, że został prezesem jakiegoś związku...

– Koniecznie nawiążcie z nim jak najszybciej kontakt! Z delegacją do Gdyni nie będzie żadnego problemu. Jeśli tylko uważasz, że powinieneś tam być, to jedź. Choćby i jutro!

– Dziękuję. Nie wykluczam, że tak właśnie zrobię.

– Czekam zatem jutro rano na twoje dalsze decyzje, Biniu. Tymczasem!

*Palmarium, Półwiejska 5, około dziewiętnastej*

Wieczorna godzina była jeszcze młoda, ale Sam Sandi nie mógł narzekać na brak atrakcji. Najpierw pod latarniami przed lokalem zjawiła się grupa mało apetycznych kokot, próbujących naciągać klientów Palmarium na „małe co nieco za pięć złotych” w jednej z okolicznych bram. Ponieważ Palmarium dbało o renomę, Sam miał nakazane przez właścicieli, by zdecydowanie przeciwdziałać takim incydentom. Nie odpowiedział więc na zaczepki dwóch najbliższych, lekko zwiędłych, acz skąpo odzianych piękności. Zamiast tego wziął je obie pod pachy i mimo fikających damskich nóg „odprowadził” je pod kościół św. Piotra. A gdy damy o upadłej reputacji podjęły desperacką próbę powrotu, przegonił je aż na Podgórną. Dopiero wtedy dały spokój.

Kiedy wykidajło wrócił zdyszany przed restaurację z nadzieją na dobrą kawę, okazało się, że w lokalu rozrabia niejaki Dębski, krępy piniacz, przypominający z nadętej twarzy Benita Mussoliniego. Zdaje się, że nie chciał dać kelnerowi napiwku, a kiedy ten omyłkowo wziął zbyt wysoką zapłatę za kolację za napiwek i nie zamierzał przynieść mu do stolika złoty dwadzieścia reszty, Dębski wpadł w szał i wywrócił swój stół, żądając zwrotu nadpłaty.

Sandi był aż nadto doświadczony, by wiedzieć, że z takim furiatem nie warto dyskutować. Chyłkiem, zupełnie niezauważony dopadł od tyłu Dębskiego i założył mu zwinnie nelsona, przyginając rozrabiakę ku podłodze i prowadząc go do drzwi.

– Ludzie! Czarny mnie bije! Ratunkuuu! – darł się zaskoczony Dębski.

Nie znalazł jednak nawet cienia uwagi, a tym bardziej współczucia. Wystraszone ekscesami piniacza damy z ulgą przyjęły jego dyskretne zniknięcie z lokalu za sprawą sprawnego wykidajły.

Na odchodne awanturnik otrzymał siarczystego kopniaka, który bezpowrotnie odebrał mu chęć powrotu. Pogroził jeszcze pięścią

„czarnemu”, ale tego wieczoru tylko na to go było stać. Pokonany i upokorzony, zniknął w ciemnościach pobliskiej Wildy.

Sandi wreszcie mógł usiąść przy drzwiach i wypić zaserwowaną mu na koszt firmy kawę Santos. Aromat i moc prażonych ziaren szybko postawiły go na nogi. Wszystko wskazywało na to, że pula niespodzianek zarezerwowanych dla tego intensywnego wieczoru wreszcie się wyczerpała i czeka go teraz spokojne dziesięć godzin na warcie.

Rychło przekonał się jednak, że nic bardziej mylnego. Kwadrans później musiał pomóc opuścić lokal przeraźliwie chudemu jegomościowi, który nadużył wódki Baczewskiego i dramatycznie walczył o utrzymanie podłogi Palmarium we względny porządku. Sam wziął delikwenta lekko, acz stanowczo pod pachę i pomógł mu doczłapać w okolice browaru Huggerów. Tam, oparty w teatralnej pozie o ceglany mur, były klient lokalu dał wreszcie upust niepokonanym siłom natury. A po wszystkim podziękował nawet Samowi za pomoc.

Zbliżała się dwudziesta, gdy Sandi znowu przysiadł na stołku przy wejściu do Palmarium. Ponownie z nadzieją na odpoczynek. I znowu tylko na chwilę.

Tym razem do lokalu nie wtargnął jednak żaden zażywny mężczyzna. Zaskoczony Sandi zauważył zgrabną kobietę w czarnej sukni, delikatnym kapeluszu i z twarzą skrytą za gęstą woalką.

– Ja do pana, maestro – powiedziała, nie wyciągając wszakże dłoni do Sama. – Podobno potrafi pan wywróżyć przyszłość...

– To prawda – potwierdził skwapliwie.

Obrzucił szybkim spojrzeniem wnętrze lokalu, a widząc, że sytuacja jest stabilna, gestem dłoni wskazał tajemniczej nieznajomej kąt, gdzie trudnił się przepowiadaniem z kart.

Kobieta nie podniosła woalki, co dodatkowo zaintrygowało egzotycznego wróża. Usiadła posłusznie w fotelu naprzeciwko, ukazując Samowi dłonie ukryte pod czarnymi koronkowymi rękawiczkami. Ze sprężystej sylwetki damy i szyi bez cienia zmarszczek Sandi wywnioskował, że kobieta musi być jeszcze młoda. Coś w jej głosie go zastanowiło. Dopiero chwilę później zrozumiał co.

– Proszę o wróżbę – powiedziała nieco szorstkim tonem.

Rzadko chyba prosiła w życiu o cokolwiek.

– Okrutnie zależy mi na dyskrecji – dodała.

Właśnie wtedy Sam się zorientował, że kobieta ma wadę wymowy. Każde „r” w jej ustach brzmiało nienaturalnie dźwięcznie.

– Dyskrecja gwarantowana – uspokoił klientkę. – Może bić pani spokojna.

### *Prezydium Policji, pół godziny wcześniej*

Aspirantka Przysługa przyszła na umówione spotkanie z komisarzem nieco wcześniej. I znowu przyniosła pod pachą plik notatek. Wyglądała na naprawdę zmęczoną, ale nadrabiała uśmiechem. Kaczmarek pomyślał, że skoro młode pokolenie w policji pracuje z takim zacięciem, to może jest jednak dla niej przyszłość.

– Mam to, o co pan prosił – oznajmiła już od drzwi. – Wykaz szpitalnych i uczelnianych laboratoriów wraz z numerami telefonów i danymi o ich kierownikach. Myślę, że to najlepsza droga, by dowiedzieć się czegoś więcej o zatrudnionych tam pracownikach, a zwłaszcza pracownikach.

Kaczmarek wskazał jej dłonią krzesło, ale tylko do niego podeszła.

– Świetnie – powiedział. – Chętnie przestudiuję te materiały. Ujawniły się jednak nowe okoliczności. Dzięki pani notatkom udało mi się odkryć wspólny element dotyczący ofiar, doszłych i niedoszłych, wszystkich trzech akcji zabójcy w ostatnich dniach.

Prawa brew aspirantki drgnęła w górę.

– Pewnie chodzi o niedaleką historię? – zaryzykowała pytanie.

– Doskonale – pochwalił ją komisarz. – Zaraz pani wszystko wytłumaczę.

Coraz bardziej doceniał zdyscyplinowany, logiczny styl pracy swojej podwładnej. Jej precyzja – a przy tym duża intuicja – wprawiały go w podziw.

W kilku treściwych zdaniach powiadomił ją o swoim odkryciu i wynikających z niego implikacjach dla sprawy. Słuchała z zaangażowaniem, a jej twarz się zaróżowiła, zdradzając silne emocje.

– To... kiedy jedziemy do Gdyni? – podsumowała pytaniem.

Kaczmarek uśmiechnął się od ucha do ucha. Co za dziewczyna! – pomyślał.

– Nie tak szybko, pani aspirant. Najpierw musimy ustalić adres Jęczkowiaka, a także sprawdzić, czy ma w domu telefon. Zdaje się, że w Gdyni jest teraz ważną postacią, więc to niewykluczone. Zajmuje się tym Grzesiu Anioła. Za pół godziny będę wiedział. Wtedy zdecydujemy, co dalej.

Przysługa dopiero teraz przysiadła na krześle i spojrzała Kaczmarkowi w oczy.

– Będę szczęśliwa, mogąc kontynuować to śledztwo w Gdyni – oświadczyła wprost.

Komisarz poczuł się nagle mało komfortowo. Owszem, polubił tę młodszą stażem policjantkę za jej dociekliwość i oddanie służbie, ale czy

ona na pewno jest gotowa na nowe wyzwania? W końcu to nie przelewki, morderca bynajmniej z nikim się nie patyczkuje. A jakie ona ma doświadczenie w akcjach z bronią w ręce?

– Pani aspirant... – Chrząknął. – Pani wybaczy, ale o takich sprawach decydują moi przełożeni.

– Proszę szepnąć za mną dobre słowo u inspektora Kaysera.

Kaczmarek wpadł w złość. To, że nigdy dotąd nie rozkazywał kobiecie, dodatkowo utrudniało sytuację. Nie chciał zachować się jak gbur, ale wiedział, że musi postawić sprawę jasno: szanse, że aspirantka pojedzie z nimi do Gdyni na niebezpieczną akcję, uważał za bliskie zera. Do takiego wyjazdu potrzebował ludzi sprawdzonych, odpornych na stres i potrafiących zachować się przewidywalnie w sytuacjach wysokiego napięcia. A do tego świetnie obchodzących się z bronią. Nie kobietę w mundurze o niejasnych umiejętnościach w tym zakresie. Owszem, bystrą jak cholera, ale jednak zbyt kruchą, by stanąć do walki z bezwzględną zabójczynią.

– Pani Basiu – zaczął, z trudem opanowując wzbierającą irytację. – Proszę nie oczekiwać niemożliwego. Pani przełożona w Warszawie, wysyłając panią do nas, z pewnością nie miała na myśli uczestniczenia w tego rodzaju akcjach. Zresztą w takich sprawach i tak ostatecznie decydują moi szefowie.

– Panie komisarzu, przecież mogę się wam przydać na miejscu...

– Ale w czym, droga pani? No w czym? Tam potrzebna będzie raczej męska dłoń, a w niej pistolet! Nie, za przeproszeniem, słaba kobieta!

– Słaba?! A czy kobieta, która zabiła dwóch byłych wojskowych, też jest słaba?! – weszła mu w słowo z taką mocą, że na moment go zatkało. – Zresztą pana o mały włos też nie zabito! Panie komisarzu, przeciwko sobie



mamy wyjątkowo perfidną, bystrą przeciwniczkę. A ja naprawdę lepiej niż pan wiem, jak myślą kobiety!

Nie potrafił zaprzeczyć. Logika tych argumentów po prostu powalała z nóg. Cokolwiek by teraz szybko wymyślił, nie przebiłoby sensu jej zdania. Wiedział o tym i to wkurzyło go jeszcze bardziej.

– Pani Barbaro... Basiu... – zaczął, ale czuł, że bmie, grzęźnie w błocie po kolana, zamiast pędzić bitym traktem do przodu. – Jestem pewny, że inspektor Kayser... Dla pani dobra lepiej będzie, jeśli...

– Osobiście poproszę pana inspektora o zgodę – powiedziała już spokojnie, podnosząc się z godnością z krzesła.

– Kiedy on zszedł już ze służby...

– Zatem zapytam jutro z rana. Na pewno się zgodzi. Obiecał pani podkomisarz Paleolog, że pozwoli mi się zapoznać z całym spektrum działań komendy...

– Ale to nie są żarty... ja...

– Panie komisarzu, proszę uwzględnić mnie w ekipie udającej się do Gdyni. Obiecuję, że jutro o ósmej będę miała zgodę inspektora Kaysera. A teraz... proszę pozwolić mi się odmeldować... Chyba że ma pan jeszcze dla mnie jakieś zadania?

A idź do diabła! – pomyślał Kaczmarek. Kayser o ósmej w pracy? Dobre sobie! My o tej porze dawno już będziemy w drodze.

– Może się pani odmeldować – odpowiedział przymilnym głosem.

Kiedy podkomendna opuściła jego gabinet, komisarz zaklął siarczyście jak na froncie bolszewickim w tysiąc dziewięćset dwudziestym. Zaraz potem znowu wykręcił numer Anioły.

*Palmarium, dwudziesta trzydzieści dwie*

Nieznajoma w czarnej sukni i kapelusiku z woalką nie przestawała intrygować byłego maestro z Cyrku Staniewskich. Mówiła mało, jakby się wstydziała swojego głosu. W jej oszczędnych ruchach było coś niepokojącego. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się nieswojo. Kobieta w osobliwym stroju skojarzyła mu się przez moment z damą w ciężkiej żałobie, oplakującą śmierć swoich bliskich.

Kiedy drżącą dłonią – co mu się dawno nie zdarzyło – przetasował karty, spojrzął raz jeszcze na szczelnie zasłonięte oblicze swojej klientki. Niekorzystne światło w jego zakątku wróżb sprawiło, że zobaczył ledwie zarys jej podmalowanych czarną kredką oczu. I może drobny grymas ust. Ale tego ostatniego nie był wcale pewny.

– To co pani szanowna chce wiedzieć? – zapytał nieco zakłopotany.

Zwykle świetnie widział twarz osoby, której wróżył przyszłość. Utrzymywał z nią wzrokowy kontakt. Ale nie tym razem.

Dama w czerni poruszyła się nieznacznie.

– Mam pewnego... przyjaciela. – Powiedziała to takim tonem, jak gdyby nie była wcale pewna prawdziwości swoich słów. Przynajmniej takie wrażenie odniósł wróżbita Sandi. – On mieszka daleko. To znaczy nad morzem – dodała zaraz pospiesznie. – Dawno u niego nie byłam.

– Szanowna pani chce wiedzieć, co u niego? Czy być zdrowi, ile mieć dzieci?

Zdawało mu się, że rozmowa wreszcie schodzi na dobrze mu znane tory. Odpowiedź klientki kompletnie zbiła go z tropu.

– Nie, drogi panie. Ja chcę wiedzieć, ile on jeszcze pożyje.

# LODY W MORSKIM OKU



### ***Rozbudowa wolnej strefy w Gdyni***

*W wolnej strefie portu gdyńskiego na nabrzeżu Stanów Zjednoczonych zostają podjęte prace żelazo-betonowe przy budowie magazynu drobnicowego nr 7. Nowy ten magazyn długości 240 m, szerokości 50 m wykończony zostanie w bieżącym sezonie budowlanym. Posiadać on będzie także piwnice. Oddanie do użytku nowego magazynu nastąpi we wrześniu. [...] Równocześnie z budową magazynu rozpoczyna się montaż trzech półportowych dźwigów drobnicowych, które obsługiwać będą nadbrzeże Stanów Zjednoczonych. Nośność dźwigów wynosić będzie trzy tony. Montaż tych dźwigów zostanie ukończony już w końcu czerwca.*

*„Kurier Poznański”, 25 kwietnia 1934*

*Poznań, poniedziałek, 30 kwietnia 1934 roku, późnym wieczorem*

Latarnie na skrzyżowaniu ulic Ratajczaka i 27 Grudnia dawno już rozbłysły jarzącym światłem, ujawniając ostatnich stałych bywalców ciągnących na coś mocniejszego do Arkadii. Miejski gwar już zamilkł, gdy Kaczmarek odebrał telefon od aspiranta Grzegorza Anioły.

– I co tam, Grzesiu? Ustaliłeś jego adres?

– Tak jest, panie komisarzu. Mieszka na Świętojańskiej 65 wraz z żoną i dwiema córkami. W kamienicy, którą sam zbudował ze spadku po teściu i z pożyczki w Banku Gospodarstwa Krajowego. Tak ustaliłem w komendzie miejskiej w Gdyni.

– Świetnie, Grzesiu – pochwalił go Kaczmarek. – A co właściwie porabia Józek w tej Gdyni?

– Żyje z kamienicy czynszowej, ale jest też prezesem Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości i... – tu Anioła zerknął w swoje notatki – ... prezesuje również tamtejszemu Okręgowi Morskiemu Związku Oficerów Rezerwy.

– O, to ładnie się ustawił, nie ma co! – skwitował komisarz.

A zaraz potem po plecach przeszły mu ciarki. Kolejny prezes związku kombatanów! Cholera jasna, jak nic musi być na celowniku tej morderczyni!

– No dobra, panie kolego. Rozumiem, że mamy jego numer telefonu?

– Mamy, panie komisarzu.

– To połącz mnie z nim jak najprędzej.

– Kiedy to, niestety, niemożliwe.

– Co?! Dlaczego?!

Anioła przełknął ślinę.

– Mieli dziś po południu huragan na Kaszubach. To się zdarza, szefie. Powywracało im słupy wszystkich linii telefonicznych, mają roboty na kilka dni. Tak twierdzą w komendzie w Gdyni. Udało mi się z nimi pogadać przez radiostację.

– Niech to szlag! Akurat dzisiaj! – Kaczmarek znowu się zdenerwował. – No dobra, słuchaj kolego! Skontaktuj się z nimi raz jeszcze i poproś, żeby pchnęli do Jęczkowiaka gońca z informacją ode mnie, że on i jego rodzina są w niebezpieczeństwie. I że jutro wszystko mu wyjaśnię osobiście.

– Tak jest!

– To raz. A dwa: jutro rano pilnie wyjeżdżamy do Gdyni. Biorę ciebie i Rogalę. Niech Zyguś przygotuje fiata.

– Tak jest! O której wyruszamy?

– O siódmej spod Prezydium. I weźcie broń. To rozkaz.

– Tak jest!

### *Palmarium, nieco wcześniej*

Sam umęczył się tego wieczoru jak nigdy wcześniej. Pytania jego ubranej w czerń klientki nie były bowiem standardowe. Rzadko zdarzało się, by ktoś pytał go o przyszłe losy innych osób. A już z pewnością nikt wcześniej nie chciał znać terminu czyjejś śmierci.

– To trudno dobrze odpowiedzieć, szanowna pani – zastrzegł się już na samym wstępie, uprzedzając ewentualne reklamacje. – Muszę wiedzieć jeszcze coś o tym pani... znajomim. Ile ma lat, jak żyje, jakie jego zdrowie jest...

– Zdrowie ma nie najgorsze – pospieszyła natychmiast z odpowiedzią kobieta w czerni. Nagle zrobiła się bardziej rozmowna. – Chyba nie najgorsze. W każdym razie jest młody. Ma trzydzieści sześć lat. I żonę. Chyba... I jakieś dzieci.

– Aha – mruknął czarnoskóry wróżbita. – A co on robi, jeśli wolno wiedzieć?

– Robi pieniądze. – Twarde „r” w jej głosie mocno go denerwowało, ale też było w nim coś niepokojącego. Brzmiało jakoś... obco. – Czyli interesy. Siedzi w Gdyni i zarabia...

– Aha – odmruknął raz jeszcze Sandi.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien odmówić tej wróżby. W końcu nie musiał przepowiadać z kart na każdy możliwy temat. A już

zwłaszcza na tak bulwersujący i dziwny.

Z jego postawy musiała przebijać jakaś wątpliwość, bo dama w czerni niespodziewanie sięgnęła do torebki.

– Zapłacę. Dobrze zapłacę – zapewniła, wykładając na blat stołu banknot dziesięciozłotowy.

– Jeszcze nie trzeba – odpowiedział Sam, nieco zniesmaczony szybkością klientki.

Bez dwóch zdań budziła w nim jakiś niewytłumaczalny strach. Chłód jej głosu i wyczuwalna pogarda dla osoby, którą się interesowała, powodowały, że ciągle trzęsły mu się ręce. A przecież nigdy nikogo się nie bał, nawet największych osiłków, z którymi przyszło mu walczyć na ringu w Warszawie...

– To co, wróżysz pan czy mam sobie iść? – zirytowała się kobieta.

Uczyła gest, jakby chciała wstać z sofy.

– Pani poczeka – zaproponował, uśmiechnął się mimowolnie do trudnej klientki i zaczął wykladać na blat karty.

Dama w woalce pochyliła się nad stolikiem, z uwagą śledząc jego poczynania. Woalka poruszyła się nieznacznie, ukazując na moment kształtne, acz zacięte usta pociągnięte krwistą szminką.

– I co? Co tam pan widzisz?

Sandi podrapał się w głowę. Zrozumiał bowiem, że wymowa kart z pewnością nie zadowoli kobiety.

– Szanowna pani nie bić zadowolona – odezwał się uprzejmie, jakby chciał złagodzić efekt informacji, które za chwilę poda.

– Nie? A dlaczego? No mów pan wreszcie! – W jej ostatnim słowie „r” znowu wybrzmiało nieprzyjemnie, wręcz złowieszczo.

Wróżbita w liberii wskazał na pierwszą z kart. Król karo prezentował się na niej w pełnej krasie, jakby za chwilę miał zasiąść na tronie albo ożenić się z atrakcyjną księżniczką.

– Ten król to bić pani znajomi – oznajmił grzecznym tonem. – On jest w dobra forma. Zdrowi, silni. On jeszcze pożyje, droga pani. Jak nic ze trzidzieści lat! A może nawet więcej.

Klientka poruszyła się niespokojnie.

– Ale jak to? – zdenerwowała się niespodziewanie. – Tyle wyczytał pan z jednej głupiej karty?

Sam Sandi, choć oblany zimnym potem, uśmiechnął się z wyrozumiałością. Wielokrotnie spotkał się już z próbami zakwestionowania jego kompetencji zawodowych, dlatego był przygotowany na podobne pytania.

– Szanowna pani nie patrzy dalej – odpowiedział tyleż chętnie, co perswazyjnie. – Proszę zobaczyć druga karta. Tu jest dama pik. Ona sama nic nie znaczy. Ale z królem – o, to już inna sprawa! To znaczy związek znajomego szanownej pani, rączki całuję, z jego kobietą trwały jest i jeszcze długi będzie. I że mu służy. Znajomi pani całi i zdrów jest. I będzie.

Odpowiedź wróża zupełnie nie usatysfakcjonowała klientki. W ewidentnej złości chwyciła za leżący obok jej dłoni banknot i zaczęła miętolić go w palcach.

– Zaraz, zaraz! – zaoponowała. – Tu jest jeszcze jedna karrta! Co ona mówi? No co?!

Sandi nie musiał zerkać na blat stolika, by wiedzieć, że jako trzecią kartę wyłożył dziesiątkę karo.

– Dziesięć to znak bogactwa, powodzenia. Ten pani znajomi bogati jest i bogati będzie.



– Wróż pan dalej! – Dłonie kobiety w czerni zaczęły nerwowo bębnić palcami o brzegi stolika. – No, na co pan czekasz? Wykładaj pan następne karty!

Sandi chwycił za kolejną kartę leżącą na wierzchu talii i rzucił ją na blat. Oboje zobaczyli czarną siódemkę trefl. Sandi zbladł.

– Ta szódemka... – Zawahał się, a potem dokończył: – Ta szódemka to jest szekiera. Znaczi się niebezpieczeństwo dla pani znajomi.

Uwagi wróżbity nie uszło, że klientka nagle zamarła.

– A więc jednak – syknęła z dużą dozą złośliwej radości. – Wiedziałam, że karty powiedzą mi prawdę. No i co dalej, panie Sandi? Co dalej?

Nie zdziwił się, że znała jego nazwisko. W końcu poznańska prasa pisała już o nim kilka razy jako o osobliwości lokalu, w którym pracował. Ale mimo to – nie wiedzieć czemu – znowu poczuł się niepewnie. Ta kobieta miała w sobie coś, co bezwzględnie nakazywało ostrożność.

– To się zobaczi – odpowiedział, wykładając na stół kartę numer pięć.

To był as, w dodatku as pik. Sandi aż podskoczył z radości.

– No i? – ponagliła go demoniczna klientka.

– Ooo, to będzie dobri finał – Uśmiechnął się pełną gębą, szczęśliwy, że pomieszał jej szyki.

– Jak to: dobry? No dalej... Za co płacę? Mów pan coś więcej! No już!

– Ten as to znaczi dobra nowina. Albo dobra pomoc w nieszczęście. Pani znajomi zobaczi śmierci w oczi. Ale ktoś go uratuje, pani szanowna rozumie?

– Bzdury pan gadasz! – Tajemnicza kobieta zdenerwowała się nie na żarty.

Zdecydowanym ruchem zmieła banknot i wsadziła go z powrotem do torebki. W pierwszym odruchu chciała wyjść, ale coś ją zatrzymało.

– No dobrze, panie z Afryki! – sarknęła z pogardą. – Tamto było nieważne. Teraz mnie masz pan powróżyc!

*Wtorek, 1 maja 1934 roku, kwadrans przed siódmą*

Słońce zdążyło już nieźle wznieść się nad horyzontem, rzucając z dachów kamienic ostre stożki cienia na ulice śródmieścia. Ruch w Świętego Józefa był umiarkowany, jedynie przed kościołami gromadzili się przedstawiciele świata pracy. Przed dwupiętrowym budynkiem Prezydium Policji zaparkował czarny fiat 508, za którego kierownicą siedział Zygmunt Rogala, najlepszy kierowca w komendzie. Miejsce obok kierowcy było wolne – czekało na szefa ekspedycji, komisarza Kaczmarka, który załatwiał właśnie w sekretariacie ostatnie formalności. Na tylnej kanapie rozsiadł się wygodnie niski, krępy i wesoły aspirant Grzegorz Anioła, zaufany technik Kaczmarka. Korzystając z wolnego czasu, konsumował pospiesznie sznytki z leberką<sup>32</sup>, przygotowane przez troskliwą małżonkę. Smakowały mu zaiste wybornie. Nawet chyba bardziej niż tak uwielbiany przez Kaczmarka kaszak<sup>33</sup>.

– I co, Grzechu? Szykuje nam się długa jazda, będzie z osiem godzin jak nic – zagadnął rozsmakowanego w porannym śniadaniu towarzysza Zyguś Rogala, zwany w komendzie „ciężką nogalą” z racji upodobania do dynamicznej jazdy.

– Aż tyle? – zdziwił się Anioła, mlaskając bez skrępowania.

Miał nadzieję, że zdążą do Gdyni na porządny obiad, tymczasem wizja kolejnego posiłku niepokojąco się oddalała. Jeśli dodać jeszcze z godzinę czy dwie na postoje...

– Nie bój nic. Postaram się szybko przejechać – uspokoił go Rogala. – Tyle że drogi kiepskie. Jechałem niedawno z komendantem do Gdańska, to

wiem. Drogi na Pomorzu wprawdzie bite, ale kręte, miejscami podmokłe, uważać trzeba. Najpierw polecimy na Wągrowiec, potem na Nakło i Chojnice. Dopiero od Chojnic droga jest naprawdę dobra. No, ale to tranzyt do Gdańska, nie ma się co dziwić...

– A zatankowałeś bak do pełna? – zainteresował się Anioła.

– No masz! Już wczoraj, jeszcze z wieczora, jak tylko zadzwoniłeś!

Czas na miłej pogawędce mijał szybko. Ani Rogala, ani tym bardziej Anioła nie zauważyli, że z tyłu, od strony placu Nowomiejskiego, zbliżał się do ich wozu wysoki, szczupły mężczyzna i zgrabna kobieta. Kiedy przybysz zapukał w okno samochodu, Rogala aż podskoczył za kierownicą i odruchowo zasalutował do daszka czapki. Zobaczył bowiem samego inspektora Zygfrieda Kaysera.

– I co tam, chłopaki? – Tego dnia Kayser był najwyraźniej w humorze. – Wybieracie się nad polskie morze, hę? A gdzie nasz komisarz?

– W Prezydium, podpisuje delegację – burknął niechętnie Anioła z tylnej kanapy.

Obok inspektora dojrzał bowiem dobrze mu już znaną sylwetkę aspirantki z Warszawy.

– No to przyszliśmy w samą porę. Pani aspirant jest już panom znana, jak mniemam? To dobrze, bo pojedzie z wami.

– Ale... – wyrwało się zniecierpliwiona Rogali. – Panie inspektorze, komisarz Kaczmarek nie przewidywał...

– Jeśli dobrze pamiętam, to ja tu wydaję rozkazy – wszedł mu w słowo szef wydziału śledczego.

Ton jego głosu był stanowczy i dawał do zrozumienia, że dalszej dyskusji nie będzie.

Kayser usłużnym gestem sięgnął za klamkę drzwi i otworzył je, by podnieść siedzenie wciąż nieobecnego Kaczmarka, nakazując jednocześnie surowym wzrokiem Aniole, by przesunął się łaskawie w drugi koniec kanapy. Aspirant przełknął właśnie ostatni kęs sznytki i posłusznie ustąpił miejsca aspirantce Przysłudze, która z sarnią zwinnością wśliznęła się do dość ciasnego auta.

– Ładne nogi – nie omieszkał skomentować Rogala.

– Szerokiej drogi, panie i panowie! – Kayser z powrotem ulokował fotel Kaczmarka na swoim miejscu, po czym przytknął drzwi automobilu i uśmiechnął się sympatycznie do aspirantki Przysługi. – Mam nadzieję, że podróż upłynie wam w dobrej atmosferze.

– Tak jest! – Anioła i Rogala uznali, że to najlepsza z możliwych odpowiedzi.

W tym samym momencie z budynku Prezydium wyłonił się komisarz Kaczmarek, ubrany w gustowny prochowiec. Włoska fedora na głowie subtelnie go wyszczuplała. Na widok rozanielonego Kaysera machającego dłonią pasażerom fiata wszystko się w nim zagotowało. Z nabrzmiałą czerwienią twarzą stawiał się przed szefem. Właściwie nie musiał już nic mówić.

– Zapomnieliście o pani aspirant – wyjaśnił mu z lisim uśmiechem na twarzy Kayser. – Obiecałem Warszawie, że jej delegacja do nas nie będzie tylko wycieraniem kurzów w naszym archiwum. Czy chciałbyś coś powiedzieć, Biniu? Bo chyba coś zaprzęta twoją uwagę?

Komisarz obrzucił przełożonego ostrym spojrzeniem. Postanowił jednak, że za wszelką cenę zachowa klasę. Zdusił wzbierającą w nim wprost kipiącą złość, zaciął usta i odpowiedział niemal z uśmiechem:

– Skoro już pan inspektor tak łaskaw dla kobiet, proszę nie zapomnieć objąć dyskretną ochroną moją żonę. Nie chciałbym, by coś jej się stało.

– Oczywiście, panie komisarzu – odpowiedział Kayser niezwykle oficjalnym tonem. – Jak pan doskonale wie, już wczoraj wydałem stosowne dyspozycje.

### *Gdzieś między Wągrowcem a Nakłem, około dziewiątej*

Trasa była przyjemna. Wzdłuż względnie utrzymanej, acz niezbyt szerokiej drogi wiły się srebrne tafle polodowcowych jezior, przeżyły zdrowe liściaste lasy, pojawiały i znikwały drewniane zabudowania wsi, gdzieniegdzie przebijały murowane ściany świątyń. I tylko milczenie pod dachem fiata dziwnie kontrastowało z hojnym pięknem mijanych krajobrazów. Milczenie lodowate jak wody mijanych zimą jezior.

Kaczmarek zerkał co jakiś czas za siebie, na aspirantkę Przysługę. Siedziała cicho, z niedużą walizką między kolanami, wpatrzona w migające za oknem widoki. Poza „dzień dobry” na samym początku nie zainicjowała żadnej rozmowy, choćby o pogodzie czy samopoczuciu. Komisarz uznał, że nie ułatwi jej zadania. Również milczał, pozwalając tym samym Rogale skupić się na prowadzeniu auta. Siedzący w tylnym narożniku pojazdu Anioła, nie widząc innego wyjścia, uciął sobie drzemkę.

Gdzieś za niskimi zabudowaniami Kcynii, gdy fiat minął kierunkowskaz z informacją „Nakło 18 km”, komisarz szturchnął lekko kierowcę, dając mu ruchem głowy znać, by zjechał na chwilę na przydrożny leśny parking. Rogala z miejsca zrozumiał, że szef potrzebuje pójść na stronę i posłusznie skierował auto w niewielki prześwit między drzewami.

Kaczmarek zdążył już ścierpnąć, więc z radością wyskoczył z fiata i rozprostował nogi, kierując się za kępę krzewów. Kiedy już skończył, co chciał zrobić, zatrzymał się jeszcze na moment za osłoną soczystych liści,

by przez szparę w zieleni obserwować zachowanie współtowarzyszy podróży. Rogala zgasił silnik i również wyskoczył z auta, sięgając niemal natychmiast po papierosa. Anioła chyba naprawdę zasnął (swoją drogą, co on robił nocą?), bo siedział nadal w wozie, oparty głową o szybę. Z tej odległości Kaczmarek nie mógł dostrzec, czy ma zamknięte oczy. Aspirantka Przysługa przez chwilę kręciła się na swoim miejscu, ale w końcu przepchnęła pusty fotel przed sobą i wymusnęła się ze stalowej puszki. Komisarz obserwował, jak się przeciąga, a potem podchodzi do Rogali, by poprosić go o papierosa.

Kierowca podał go bez entuzjazmu, potem ogień, aż w końcu nawiązali rozmowę. Zaczęła ona, on przytaknął, i dalej już poszło.

Kaczmarek uznał, że dalsze boczenie się na siebie byłoby dziecinadą. Skoro już jechali razem na tę misję, musieli współpracować. Ciągłe jeszcze nie zdusił w sobie złości z powodu niespodziewanej pasażerki, ale coraz częściej kierował ją nie w stronę Przysługi, ale raczej Kaysera. W końcu to on mógł – i powinien – postawić tamę jej zachciankom. Ale najwidoczniej ma jakiś układ z podkomisarz Paleolog. Trudno, nic na to nie poradzisz...

Kiedy wyszedł z ukrycia, Przysługa zamilkła, a Rogala podsunął mu pod nos papierośnicę z kilkoma nilami w środku.

– Może pan komisarz też zakurzy? – zaproponował.

– Dobrze wiesz, Zyguś, że nie palę.

– Nawet gdy żona nie widzi? – zdobył się na ryzykowny żart szofer komendy.

– Nawet – mruknął Kaczmarek. – A pani?

– Ja tylko wtedy, gdy się denerwuję.

– Ejże, chyba nie teraz? W końcu nie ma powodu...

Zauważył, że papieros w jej dłoni zadrżał, jakby aspirantka zmarzła. A jednak pierwszy dzień maja był całkiem ciepły, nawet parny. Bezchmurne

niebo wróżyło sympatyczny ciąg dalszy.

Z auta niespodziewanie wygramolił się Grzegorz Anioła i ziewnął przeciągle. Nie poprosił Rogali o dymka, za to wyciągnął ku koleżance i kolegom papierową tytkę<sup>34</sup> z cukierkami.

– Miętusy – wyjaśnił. – Żona mi je wcisnęła.

Przysługa i kierowca podziękowali, ale Kaczmarek chętnie sięgnął po twardą pastylkę. Chwilę później na podniebieniu poczuł rozkoszny smak ostrej mięty. Wtedy ostatecznie się uspokoił.

– To źle, że ludzie z komendy w Gdyni nie dotarli do Jęczkowiaka – odezwał się do Anioły. – A próbowali raz czy więcej?

– Byli u niego w kamienicy wczoraj przed północą. A także dzisiaj o szóstej z minutami. Niestety, ani wtedy, ani dziś nie zastali nikogo w jego mieszkaniu.

– Cholera, niedobrze. – Komisarz przygryzł nerwowo wargi.

– Pewnie wyjechali na majluft<sup>35</sup> – zauważył przytomnie Rogala. – Wszyscy tak dzisiaj robią, panie komisarzu. Każdy lubi wyskoczyć za miasto.

– Prawda – zgodził się Kaczmarek. – A ty, człowieku, szukaj wiatru w polu. Kazałeś im go odszukać, Grzesiu?

– Przekazałem, że jest w niebezpieczeństwie. I że sprawa pilna. To chyba rozumieją, co to znaczy...

– Diabli ich wiedzą, Anioła. Lepiej się nie zakładać.

– Czyli w Gdyni lecimy od razu na Świętojańską? – zainteresował się Rogala.

– Nie, najpierw złożymy wizytę kryminalnym w komendzie – zdecydował Kaczmarek. – Muszą wiedzieć coś więcej. I muszą nam pomóc.

Aspirantka Przysługa zaciągnęła się po raz ostatni, a potem zdusiła peta podeszwą w leśnym piasku.

Chwilę później fiat 508 znów mknął w stronę Pomorza.

*Gdynia, dworzec kolejowy, w tym samym czasie*

Zegar na wysokim frontonie nowego dworca w Gdyni pokazywał kwadrans po dziewiątej, gdy nocny pociąg z Poznania zatrzymał się z przeraźliwym piskiem żelaznych hamulców przy peronie z dachem wspartym na prostych kolumnach. Antoni Błażejowski, niespełna trzydziestoletni pracownik kolejowy, kierował się w stronę składu, popychając przed sobą oburącz wózek na przesyłki pocztowe. Gdy zbliżył się do wagonu Poczty Polskiej, jego uwagę przykuły zgrabne kobiece łydki.

Z ostatniego wagonu pociągu wysiadała właśnie brunetka o dużych, podkreślonych czarną kredką oczach. Ubrana w lekką sukienkę w pastelowych kolorach, wyglądała naprawdę zjawiskowo. Lekki wiatr rozwiał jej bujną, czarną czuprynę, co spowodowało, że Antoniemu zaparło dech w piersi. O takiej kobiecie od dawna marzył. Gdyby tylko udało mu się ją zagadnąć, może zaprosić na kawę gdzieś na Świętojańską...

Z wrażenia zatrzymał się tak gwałtownie, że wózek boleśnie szarpnął mu nadgarstki, by wraz z nim wyhamować. Piękna nieznajoma ziewnęła, skrywając dłonią podmalowane szminką usta, a potem swobodnym krokiem ruszyła przed siebie, w stronę Błażejowskiego.

Kolejarz nerwowym ruchem dłoni poprawił niesforny kosmyk włosów, a potem wąsy. Zanim kobieta znalazła się w zasięgu jego głosu, zdołał jeszcze przyglądać swój służbowy uniform na wysokości piersi.

Brunetka była tuż-tuż. Rzuciła mu odważne, być może nawet wyzywające spojrzenie. Odebrał to jako dobry znak.



– Szanowna pani... – chrząknął nieco teatralnie. – Szanowna pani pewnie pierwszy raz w Gdyni? Jeśli trzeba, chętnie pomogę...

Nie zdążył rozwinąć swojej propozycji, bo wyraz twarzy młodej kobiety odebrał mu nagle dech.

– Spierdalaj! – usłyszał mocno zirytowany głos.

Zszokowany, pokornie spuścił głowę i zajął się swoim wózkiem.

Nie obejrzał się już za nią. Coś w jej głosie nie dawało mu jednak spokoju.

Dopiero kiedy ustawił wózek na wprost wejścia do wagonu pocztowego, zrozumiał, co to było.

W obraźliwym słowie kobiety „r” zabrzmiało nienaturalnie twardo.

*Gdynia, centrum miasta, około piętnastej trzydzieści*

Wiatr od morza niósł powiew słonej wilgoci. Bliskość Bałtyku poczuli w tej samej chwili, gdy wysiedli przed okazałym gmachem Komisariatu Głównego Policji Państwowej. Tłumy spacerowiczów ciągnęły w stronę plaży, przypominając funkcjonariuszom z Poznania, że w tym młodziutkim, za to prężnie rozwijającym się mieście portowym – oknie Rzeczypospolitej na świat – każdą wolną chwilę spędzano nad zatoką.

Rosnące jak grzyby po deszczu, nowocześnie zaplanowane kamienice i szerokie ulice szybko wypierały z krajobrazu ostatnie ślady wsi, która uwiła tu sobie gniazdko wiele stuleci wcześniej. Kaczmarek bywał w Gdyni przejazdem, jeszcze zanim zaczęła przypominać metropolię. Z tamtych wizyt zapamiętał widok łąnów zbóż rosnących pomiędzy pojedynczymi domami. I ledwo wytyczone, utwardzane żużlem uliczki. Teraz zobaczył ruchliwe skrzyżowania coraz szczelniej zabudowywanych, utwardzonych

ulic. Gdynia rosła w potęgę, a przechadzający się po chodnikach mieszkańcy sprawiali wrażenie dumnych i szczęśliwych.

W siedzibie gdyńskiej policji przyjął ich sam komendant, komisarz Władysław Głuchowski. Wysoki i szeroki w barach z trudem mieścił się w swoim mundurze. Z jowialnym uśmiechem na okrągłej twarzy zaprosił ich do sali konferencyjnej i zaproponował coś do picia. Gdy usiedli przy stole, od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Panie komisarzu – zwrócił się do Kaczmarka. – Przekazano mi, że telefonowaliście wczoraj wieczorem z Poznania, zapowiadając swoją wizytę. I że powszechnie tu szanowany prezes Józef Jęczkowiak znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie mam powodu, by powątpiewać w tę informację, prosiłbym jednak o więcej szczegółów. Tym bardziej że prosicie panowie o wsparcie z naszej strony.

– Już wyjaśniam, jak się sprawy mają.

Kaczmarek upił łyk małej czarnej, po czym w zwięzłych, ale naszpikowanych faktami zdaniach zarysował komisarzowi Głuchowskiemu dotychczasowy przebieg śledztwa w sprawie dwóch zabójstw oraz usiłowania trzeciego. Gdy dotarł do ostatniego szczegółu sprawy, Głuchowski zrobił duże oczy. Nie skomentował jednak, pozwalając Kaczmarkowi na swobodną narrację. Komisarz z Poznania szybko przedstawił własną hipotezę śledczą, sprowadzającą się do tego, że morderca lub morderczyni – raczej kobieta – realizuje plan osobistej zemsty, koncentrując się z nieznanymi dotąd powodów na byłych członkach Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego, którzy mieli okazję współpracować przed powstaniem wielkopolskim i w trakcie z Jęczkowiakiem.

– Dlatego zakładam, że kolejną ofiarą może stać się właśnie Józek... przepraszam, prezes Jęczkowiak – podsumował Kaczmarek.

– To rzeczywiście intrygujące – skomentował zaangażowanym tonem Głuchowski. – Jak panowie wiecie, potraktowaliśmy wasz sygnał bardzo poważnie i już wczoraj mimo późnej pory wysłaliśmy gońca z ostrzeżeniem do mieszkania prezesa Jęczkowiaka na Świętojańską sześćdziesiąt pięć. Niestety, nasz człowiek zastał mieszkanie zamknięte na trzy spusty. Ponownie wysłany tam dziś rano wrócił z tą samą informacją. Prezes najpewniej wyjechał gdzieś dalej, korzystając z pięknej pogody i wolnego dnia. Jestem pewny, że najdalej trzeciego maja wróci do miasta, w końcu należy do organizatorów miejskich obchodów naszego święta państwowego...

– Zapewne – zgodził się z nim Kaczmarek. – Mamy jednak dopiero pierwszy maja. Zabójca ma więc mnóstwo czasu, by zaatakować. Zwłaszcza że Józef Jęczkowiak nie spodziewa się niebezpieczeństwa.

– A już tym bardziej poza domem – wyrwało się aspirantce Przysłudze.

– Tym bardziej. – Kaczmarek zgromił ją wzrokiem. – Sam pan widzi, panie komendancie, jak daleko zaszły sprawy i jak szybko należy działać.

– W pełni to rozumiem i deklaruję wszelką pomoc, jaką mogę zaproponować – zapewnił Głuchowski, uśmiechając się. – Tak się składa, że znamy się dobrze z prezesem Jęczkowiakiem, choć dopiero od kilku lat. Nasz wydział śledczy liczy aktualnie czterdziestu trzech ludzi, więc...

– Panie komendancie, wystarczy nam jeden łebski aspirant lub przodownik – odpowiedział również z uśmiechem Kaczmarek. – Ktoś, kto podjąłby się roli przewodnika po tym pięknym mieście.

Głuchowski skłonił głowę, doceniając komplement pod adresem Gdyni. Widać było, że ma do tego miasta wyraźną słabość.

– Dobrze... – Zawahał się na moment, jakby się nad czymś zastanawiał. – Proponuję zatem przodownika Walkowiaka. Norberta

Walkowiaka. Zdaje się, że jego ojciec pochodzi z Poznania. To może i lepiej się dogadacie...

– Nie wątpię – odniósł się z uznaniem dla wyboru komendanta Kaczmarek.

– Zaraz go poproszę.

– Świetnie. Chcielibyśmy z jego pomocą udać się najpierw na Świętojańską sześćdziesiąt pięć. Jeśli nie zastaniemy tam prezesa, musimy wspólnie wytypować, dokąd mógł się udać. Panie komisarzu, dokąd wyjeżdżają gdynianie w dni takie jak dzisiejszy?

– O ile stać ich na coś więcej niż pójdzie na naszą miejską plażę, to możliwości jest kilka – ocenił szybko Głuchowski. – Najbardziej prawdopodobnym kierunkiem w przypadku Jęczkowiaka wydaje mi się Orłowo.

– A dlaczego właśnie Orłowo?

– Nie słyszeliście państwo o „polskiej riwierze”? – odpowiedział pytaniem komendant. – Oj, musicie zatem wybrać się tam kiedyś latem. Choć i jesienią, a nawet zimą warto przejść się tamtejszym klifem. Te lasy, widok morza z góry... No i wille, słynne wille. Spędza w nich wakacje kwiat warszawskiej inteligencji. Podejrzewam, że właśnie w jednej z nich znajdziemy pana prezesa z rodziną. Trzeba to zrobić jak najszybciej.

– A jeśli nie Orłowo, to co? – drążył Kaczmarek.

– Hmm... To może pobliskie Kolibki? To tuż przy granicy z Wolnym Miastem Gdańskiem. Tam również jest zjawiskowa plaża...

– Dobrze, te dwa miejsca sprawdzimy w pierwszej kolejności – zdecydował Kaczmarek. – Najpierw jednak podjedziemy na Świętojańską.

– Już wołam przodownika Walkowiaka!

*Śródmieście Gdyni, kwadrans później*

Pojechali w dwa samochody. Przodownik Walkowiak okazał się niskim, młodym i ruchliwym funkcjonariuszem o blond włosach i budzącej zaufanie twarzy. Jak zdążył się pochwalić, jego ojciec Michał, powstaniec wielkopolski, przeniósł się do Gdyni niemal dziesięć lat wcześniej, jakby wyczuwając rodzącą się tutaj koniunkturę. Norbert Walkowiak właśnie w Gdyni rozpoczął swoją służbę, poczynając od komisariatu w Chyloni. Z czasem przeniósł się do kryminalnych w Komisariacie Głównym.

– Pokażę wszystko, co trzeba – zapowiedział radośnie, po czym wskoczył do służbowego Citroëna, by poprowadzić poznaniaków i warszawiankę przez ulice gdyńskiego śródmieścia.

Rogała skupił się na dotrzymaniu mu kroku, a reszta ekipy podziwiała nowiutkie gmachy słynnej gdyńskiej moderny: lekki budynek ZUS i równie zjawiskową kamienicę Funduszu Emerytalnego Banku Gospodarstwa Krajowego, wreszcie jasny i przeszklony kolos Poczty Polskiej. Najmłodsze miasto Rzeczypospolitej robiło wrażenie. Obłe lub ostre bryły budynków, ich wzorowane na bulajach okrągłe okna przyciągały wzrok. Jakże inne były od ciężkiej niemieckiej architektury gmachów w centrum Poznania!

Bardzo szybko wjechali na ulicę Świętojańską, stanowiącą salon handlowy Gdyni, pełen witryn eleganckich sklepów kolonialnych czy delikatesów. Markizy nad oknami wystawowymi przypominały świat znany ze zdjęć amerykańskich metropolii. Minęli sklep Wedla, pełen luksusowych produktów dom towarowy Rymarskich i w końcu zatrzymali się niedaleko Bon Marche, w którym zaopatrywali się najzamożniejsi gdynianie.

Kamienica przy Świętojańskiej 65, własność Józefa Jęczkowiaka, prezentowała się naprawdę efektownie. Czteropiętrowa budowla z wysokimi oknami i dwoma rzędami balkonów na skrzydłach tchnęła świeżością. Jasny tynk zdawał się dopiero co położony. Po obu stronach

wejścia do kamienicy lśniły czystością witryny podnajmujących lokale sklepów. Kaczmarek odczytał szyldy dwóch najbliższych, Stablewski i Sieci. Widać było, że prezes Jęczkowiak – właściciel tej nieruchomości – miał głowę na karku.

Józek... Na wspomnienie ich dawnej przyjaźni świat na chwilę zawirował Kaczmarkowi w oczach. Ileż to razem przeżyli! Wspólne konspirowanie w niemieckim jeszcze Poznaniu, wspólna akcja zajęcia fortu Grolman w drugim dniu powstania, wreszcie wspólne wojenne dzieje w czasie odsieczy Lwowa w marcu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, kiedy to Józek został ranny i odesłany na tyły. Wszystkie te wydarzenia mignęły naraz komisarzowi przed oczyma, uświadamiając mu bolesną prawdę, że młodość z wolna ucieka, a wraz z nią zaciera się ostrość dawnych przeżyć.

– To ja pobiegnę! – zaoferował się Walkowiak.

Kaczmarek nie zdążył nawet wysiąść i zaaprobować tej propozycji, gdy przodownik trzasnął drzwiami auta i wpadł w bramę kamienicy.

Komisarz wyszedł z fiata, rozprostował się i rozejrzał po okolicy. Zerknął na cztery piętra nad nimi, próbując odgadnąć, które było zamieszkane przez Jęczkowiaków. Wszystkie okna w kamienicy miały firany, co oznaczało, że jego przyjaciel znalazł lokatorów na wszystkie mieszkania.

Chwilę później Kaczmarek usłyszał za plecami zdyszany głos Walkowiaka:

– Nie ma ich w domu. Sąsiad twierdzi, że wyjechali do Orłowa.

– Ale konkretnie gdzie?

– Tego nie wiedział.

Komisarz poczuł mrowienie na karku. A może był to lodowaty oddech kostuchy?

– Do diabła! Obyśmy tylko się nie spóźnili! Wszyscy do wozów! No, dalej! Daaalej! – ryknął na swoich ludzi, sam chwytając za klamkę auta.

Miał niejasne przeczucie, że gdzieś tam, gdzie od dawna powinni już być, dzieje się właśnie coś złego. A on nie może temu zapobiec.

### *Poznań, tego samego popołudnia*

Sandi nie mógł się otrząsnąć po ostatnim wieczorze w Palmarium. A konkretnie – po wizycie tej dziwnej, niepokojącej, złowrogiej wręcz kobiety. Nie zobaczył jej twarzy do samego końca, bo mimo zapadających ciemności ani na moment nie podniosła woalki. Już samo to wydało mu się nienaturalne, podobnie jak nierzeczywista zdawała mu się teraz jej cała wizyta i pytania, które mu postawiła, gdy wyciągnął karty. Nikt wcześniej nie pytał go o datę śmierci kogokolwiek. I nikomu innemu karty nie ułożyły się w choćby zbliżony sposób.

Jeśli chodzi o same karty, do tej ostatniej wizyty Sandi traktował ich wskazania z przymrużeniem oka, z dużym dystansem. Były świetną blagą, ale przecież także okazją do dodatkowego zarobku – liczyło się w zasadzie tylko to, że dawały dochód gratis. No i satysfakcję z umiejętności snucia nadzwyczajnych, w miarę wiarygodnych i nieźle płatnych opowieści. Kiedy jednak przypomniał sobie żywiołowe reakcje swojej ostatniej klientki na wszystko, co wyczytał z kilku przypadkowych kart, zaczął się zastanawiać, czy nie zerwać z tą osobliwą rozrywką. Ostatnią wróżbę przeżył zbyt mocno. Coś w nim jakby pękło.

Burzliwe rozstanie tylko wzmogło to nieprzyjemne uczucie.

Cholera, może jednak z pewnych spraw nie wolno żartować? – pomyślał, szykując się jak co dzień do pracy.

Jego zafrasowana twarz przyciągnęła uwagę Łucji. Żona chwyciła go delikatnie pod ramię i przylgnęła do niego swoim szczupłym ciałem.

– Czym tak się martwisz, Józek? – zapytała. – Obawiasz się, że te bandziory znowu cię zaatakują?

Potrząsnął głową, odpędzając zimne, nieprzyjemne wspomnienie z ostatniego wieczoru w Palmarium.

– Nic takiego, kochana – odpowiedział. – Tamtych się nie boję.

– Trzeba by na policję sprawę zgłosić. Że cię napadli. I że wiesz, kto to zrobił. Rozpoznałeś przecież tego łysego drania...

– Ech, dziewczino... – powiedział Sandi, wzdychając i machając swoją ciężką dłonią. – Szkoda czasu. Tylko kłopoty z tego będą... Same kłopoty.

– A ja uważam, że na policję iść trzeba.

– Może tak. A może nie. Po co mi to, kochana?

Łucja spojrzała na małżonka zatroskanym wzrokiem. Coś jej nie pasowało w jego zachowaniu. Był tego dnia jakiś inny. Zamyślony i smutny, zupełnie nieskory do żartów. Zupełnie nie ten Sam, jakiego znała.

– To co się stało? Powiesz mi?

– Nic takiego, kochana.

– Ale...

– Nic takiego... No, już muszę do pracy!

### *Orłowo pod Gdynią, kwadrans po szesnastej*

Ponaddwugodzinny spacer brzegiem morza wzdłuż oszałamiającego klifu był nad wyraz udany. Bałtyk lśnił w słońcu, kiedy Józef Jęczkowiak – postawny mężczyzna pod czterdziestkę o pewnym sobie wyrazie twarzy i ciemnowłosej, siwiejącej zaczesce nad czołem – wracał wraz z żoną i córkami mostem na Kaczej w stronę ulubionego pensjonatu. Wanda



maszerowała dziarsko u boku rodziców, ale mała Danusia dawno już wdrapała się na ramię ojca i podziwiała morski krajobraz z bezpiecznej wysokości. Szli ku wynajętemu po raz kolejny apartamentowi, który bardzo w ostatnich latach pokochali.

Z wyniesionego nad rzeką mostu dojrzeli rybacką przystań, pełną żółtozielonych łodzi. Nad nimi kłębiły się stada mew, wydających z siebie radosne dźwięki. Po lewej stronie minęli efektowne molo z przyklejonym doń budynkiem Żeglugi Polskiej. Biało-czerwone flagi dumnie łopotały nad drewnianą konstrukcją mola, budząc zrozumiały podziw. Poniżej po złotym piasku przechadzały się z parasolkami w dłoniach kuracjuszki i klientki pobliskiego hotelu Orłowo. Wiodła do niego drewniana brama ze stosownym napisem.

Obeszli plażę i długi, niski budynek łazienek, by skręcić ku samej miejscowości. Szli teraz asfaltową drogą, pnącą się dość ostro w górę. Doskonale widzieli łodzie, kołyszące się w oddali na wodzie, i pojedyncze statki handlowe, zmierzające do gdyńskiego portu. Ich obecność potwierdzała wszystko to, o czym od kilku lat pisała polska i poznańska prasa: że Gdynia w błyskawicznym tempie wyrasta na najważniejszy port na Bałtyku, deklasując nieodległy Gdańsk.

– Tatusiu, a czy będą te lody, co je nam obiecałeś? – upomniała się Wandzia.

Jęczkowiak rozpromienił się.

– Oczywiście, córuś. Jeszcze chwilka.

Droga wiodła do pensjonatu Morskie Oko, prowadzonego przez Marię Machnicką. Do starego budynku, pamiętającego jeszcze czasy przed Wielką Wojną, dobudowano jasne modernistyczne skrzydło, zwrócone oknami ku morzu. Od linii brzegowej – i plaży – dzieliło pensjonat nie więcej niż sto

kroków. Morskie Oko stało na niewielkim wzniesieniu, dając swoim gościom wspaniałą widok na bezmiar szafirowej toni.

Nie bez wysiłku wspięli się stromą drogą na wydnię i stanęli przed głównym wejściem do reprezentacyjnego pensjonatu. Jęczkowiak nacisnął dzwonek, ale w drzwiach – o dziwo – nie zjawiała się nobliwie wyglądająca właścicielka. Zamiast niej Jęczkowiakowie dostrzegli młodą, może trzydziestoletnią kobietę o ciemnych włosach i zgrabnej figurze. Ubrana była w taki sam żakiet z symbolem Morskiego Oka, jaki nosiła pani Machnicka.

– Dzień dobry – powiedziała, ukazując w uśmiechu białe, zadbane zęby. – Pani Machnicka musiała pilnie wyjechać w sprawach rodzinnych do Gdyni i poprosiła mnie, bym w zastępstwie zajęła się państwem.

– A pani to kto? – Prezes Jęczkowiak zdawał się zaskoczony.

Nigdy wcześniej nie widział bowiem pomocniczki właścicielki. Zdziwiło go też, że kobieta miała na dłoniach białe materiałowe rękawiczki. Zupełnie nieprzystające do stroju pokojówki.

– Greta – przedstawiła się szybko, przepuszczając Jęczkowiaków do obszernego holu. – O której podać państwu lody?

Jadwiga Jęczkowiak wymieniła spojrzenia z mężem. Było im miło, że właścicielka – mimo niespodziewanego wyjazdu – nie zapomniała o ich prośbie.

– Poprosimy za kwadrans – zdecydowała żona prezesa.

– Oczywiście – uśmiechnęła się miło brunetka. – Będą na czas.

---

<sup>32</sup> Sznytka z leberką (gwara poznańska) – kromka chleba z wątrobianką.

<sup>33</sup> Kaszak (gwara poznańska) – kaszanka.

34 Tytka (gwara poznańska) – torebka.

35 Majluft (gwara poznańska) – majówka.

# ISTNA DIABLICA



## **1 maja – święto hitleryzmu**

*Berlin (PAT). Z okazji pierwszomajowego święta narodowego w Niemczech ogłoszona została proklamacja, podpisana przez prezydenta Hindenburga i kanclerza Hitlera. W proklamacji tej czytamy m.in.: „Po raz pierwszy w dziejach naszych usunięta została walka bratobójcza i dokonane zostało zjednoczenie wszystkich Niemców. To, za czem od setek lat tęsknili nasi ojcowie, zostało tem samem urzeczywistnione. Dzisiejsze pokolenie może być dumne, że spełniło w całości swój obowiązek i że stanąć będzie mogło przed sądem historii niemieckiej”. [...] W wydanej przez wicekanclerza von Papena odezwie oświadcza on: „Jeśli dziś istnieją jeszcze różnice w narodzie niemieckim, to dotyczą one tylko formy oraz dróg, cel jednak jest wspólny i niewzruszony”.*

„Dziennik Poznański”, 2 maja 1934

*Orłowo pod Gdynią, wtorek, 1 maja 1934 roku, szesnasta dwadzieścia*

Kaczmarek czuł, że grunt pali się im pod nogami. Nerwowo zerkał na cyferblat zegarka, utwierdzając się w przekonaniu, że czas przecieka im przez palce, a oni ciągle kręcą się bez ładu i składu. Spokojna tafla morza, widoczna z każdej niemal uliczki Orłowa, bynajmniej nie uspokajała jego skołatanych nerwów. W żadnym ze skontrolowanych dotychczas domów letniskowych nie odnaleźli Jęczkowiaka ani nikogo z jego rodziny. Wzbudzili za to niepotrzebną sensację i wprowadzili sporo zamieszania. Cholera jasna, gdzie on mógł się zatrzymać?!

Stali właśnie przed jednym z pensjonatów położonych na łagodnie opadającej ku morzu skarpie. W dali widać było długi złoty język plaży z doklejonym doń drewnianym molo. Wiatr targał zdobiącymi go flagami w narodowych barwach, wywieszonymi zapewne z okazji zbliżającego się święta 3 Maja. A komisarzem targało morze wątpliwości. Co robić?!

Do diabła, trzeba będzie pójść na skróty!

– Walkowiak! – przywołał gdyńskiego śledczego. – Musimy zawęzić krąg naszych poszukiwań, bo zwariujemy! Teraz liczy się każda minuta! Każda! Mówiłeś, że znasz trochę Orłowo...

– No znam, panie komisarzu.

– To gdzie byś wynajął pokój albo mieszkanie?! Ale nie tanio, byle jak. Gdzie poszukałbyś noclegu, gdybyś był majątnym właścicielem kamienicy? Prezesem Związku Oficerów Rezerwy? No gdzie?!

Przodownik nadał policzki, jakby chciał zamanifestować, z jakim zaangażowaniem rozważa tę hipotetyczną sytuację.

– Słyszałem, że niezłe luksusy oferują w Adlerhorście...

– Co to jest?

– To dawna gospoda, zbudowana przez tutejszego rybaka w ubiegłym wieku. Teraz chyba wynajmują tam pokoje, ale nie mam pewności...

– Odpada! – zachnął się Kaczmarek. – Józek to patriota pełną gębą, na pewno nie pojechałby do żadnego Adlerhorstu!

Walkowiak podrapał się po spoconej głowie.

– To może we dworze w Kolibkach?

– Jakich Kolibkach, Walkowiak?! – zdenerwował się Kaczmarek. – Przecież sam mówiłeś, że Józek wyjechał do Orłowa!

– Kiedy to blisko!

– Nie filozofuj, do jasnej cholery! Kolibki to Kolibki, nie Orłowo! No, dalej! Co tu jeszcze mają za pensjonaty? No?!

– Szefie! – ożywił się nagle Anioła, popalający papierosa z Rogalą. – Niech szef spojrzy!

– Gdzie?!

– O tu! Widzi pan komisarz tę reklamę?

– No widzę... Morskie Oko?! Walkowiak, gdzie to jest, do diabła?!

– A, prawda! Jest taki pensjonat niedaleko stąd, bliżej plaży. Zdaje się, że drogi...

– Jedziemy tam! – wrzasnął na swoich ludzi Kaczmarek. – Wyrzucać pety! Do samochodu, ale już!

Policyjna ekipa natychmiast ruszyła w stronę fiata i citroëna.

– Panie komisarzu, ona mogła się podszyć pod właściciela! Albo personel! – zawołała aspirantka Przysługa, wskakując na swoje miejsce z tyłu wozu.

Kaczmarek opadł ciężko na fotel obok Rogali, obrzucając kobietę morderczym spojrzeniem.

– Jezus Maria! Niech pani nie opowiada takich rzeczy!

Pot spływał mu strumieniami po szyi, a w płucach brakowało tchu.

Doskonale wiedział, że Przysługa może mieć rację.

*Poznań, ulica Półwiejska, około wpół do piątej*

Wyszedł na powietrze, by się uspokoić, ale zamiast znaleźć wyciszenie przed pracą, niecodzienna wizyta kobiety w czerni coraz bardziej zaprzętała jego umysł. Obrazki z niej nie chciały wypaść z jego pamięci. Ciągłe miał przed oczyma jej szczelną, ciemną woalkę, smukłą młodą szyję, wreszcie

wypiełgnowane dłonie, drżące przy każdej kolejno wykładanej przez niego karcie.

Kim była ta niepokojąca, chwilami zimna i odpychająca kobieta?

Dlaczego nie chciała odkryć przed nim swojej twarzy?

Czyżby przechodziła właśnie żałobę?

A jeśli tak, to po kim?

Przecież chciała poznać datę śmierci „znajomego znad morza”.

Nagle poczuł dreszcz na plecach. Zrozumiał, że jednak powinien coś z tym zrobić. Nie z napadem dwóch zbirów podpuszczonych przez łysego drania z bramy. Nie, z takimi jak tamci da sobie radę. Musi coś zrobić z tą tajemniczą kobietą. Jeszcze nikt dotąd nie pytał go przecież o datę czyjejs śmierci. To zabrzmiało zupełnie tak, jakby jej komuś życzyła...

Pójdę z tym na policję – uznał w końcu. I nagle zrobiło mu się lżej. Zupełnie jakby w jednej chwili zrzucił z ramion jakieś ciężkie brzemię.

– Trzeba to zgłosić – powiedział sam do siebie.

Nawet jeśli go wyśmieją, pójdzie na policję i opowie, czego był świadkiem. I na jakie pytania musiał odpowiadać tej podejrzaney paniusi, która wzbudzała w nim lęk. Nie wiedział dlaczego, ale na każde jej wspomnienie przeszywał go dziwny, zupełnie irracjonalny chłód.

Było mu lodowato zimno, choć wszędzie wokół, po ulicach i skwerach Poznania, rozszalała się gorąca wiosna.

*Znowu Orłowo, pensjonat Morskie Oko*

– Tatusiu! Tatusiu! Bo nam się topią lody!

Błagalny ton Wandzi, wsparty natychmiast entuzjastycznym klaskaniem rączek Danusi, przypomniał Jęczkowiakowi o dawno obiecaney córeczkom nagrodzie za dzielnie zniesione trudy spaceru.



– Już, moje drogie! – odpowiedział, wstając z fotela i odkładając gazetę. – A czy ta miła pani przyniosła też dla mnie kawę?

– Tak – potwierdziła Wandzia. – Na tacy stoi też tatusiowa kawa. I dzbanuszek ze śmietanką.

– Doskonale, mój skarbie. Jadziu, gdzie jesteś? Dzieci wołają nas na deser!

Zza drzwi sypialni dobiegł go melodyjny głos żony:

– Już idę! Tylko nałożę krem na twarz...

Prezes Jęczkowiak zrobił kilka kroków w stronę stołu i przystanął zdziwiony. Na jego blacie – obok pucharków z lodami – zobaczył nagle coś błyszczącego. Coś przypominającego niedużą przypinkę.

– To twoje, Jadziu? – zapytał wchodzącą do salonu żonę, podnosząc ze stołu srebrny przedmiot.

To była broszka. Zauważył, że miała osobliwy kształt węża zwiniętego w kłębek. W mikroskopijnej główce gada świeciło małe oczko.

– Pokaż – zainteresowała się Jadwiga Jęczkowiak, odbierając pospiesznie broszkę z rąk męża. – Nie, to nie moje... A skąd ją masz?

– Leżała na stole. Pomyślałem, że może należy do ciebie.

– Nie, Józek. Przecież wiesz, że nie przepadam za broszkami. Są takie... pretensjonalne.

Uśmiechnął się łagodnie, wzruszył ramionami i odsunął krzesło od stołu.

– Siadaj, Danusiu – zaproponował.

To samo zrobił z krzesłem żony. Wandzia tymczasem zajęła swoje miejsce bez niczyjej pomocy, wpatrując się łakomym wzrokiem w cztery zroszone chłodem pucharki z kolorowymi gałkami lodów.

– Byłyście bardzo wytrzymałe i dzielne! – pochwalił córki Jęczkowiak, sięgając po łyżeczkę i filiżankę z kawą. – I dlatego z równie dzielną mamusią zapraszamy was na de...

Trzask rozwieranych drzwi był tak straszliwie głośny, że srebrne łyżeczki z lodową pulpą wypadły z małych rączek Wandzi i Danusi.

Jęczkowiak poderwał się z krzesła, odruchowo szukając przy pasie kabury z parabellum. Nadaremnie – od kilku lat nie nosił broni.

Do zalanego słońcem salonu wpadło pięć osób w cywilnych ubraniach z pistoletami w dłoniach. Na ich czele stał gruby mężczyzna o twarzy, która wydała się Jęczkowiakowi dziwnie znajoma...

Dziewczynki podniosły krzyk i schowały się pod stołem.

– Panowie, tak nie można! – zaprotestowała odważnie Jadwiga Jęczkowiak, z trudem łapiąc oddech.

– Kaczmarek! – krzyknął oburzony Jęczkowiak. – Co ty, kurwa, wyrabiasz?!



– Nie ruszajcie tych lodów! – wrzasnął komisarz, zupełnie ignorując pytanie starego towarzysza broni. – Ani niczego nie pijcie! Gdzie ona jest?!

– Kto? – Jęczkowiak zupełnie nie rozumiał, o kogo pyta Kaczmarek. – Jaka ona?!

– Kobieta, która przyniosła wam te lody?!

Jęczkowiak zrobił wielkie oczy. Podobnie jak jego żona.

– Pomocnica właścicielki? – zapytał, nadal nic nie rozumiejąc.

– Właśnie ta! – zdenerwował się znowu Kaczmarek. – Gdzie ona jest, do diabła! Józek, otrząśnij się! To morderczyni, winna śmierci Dymeckiego i Kopy!

– Dymeckiego? Wiceprezesa Dymeckiego?!

– A znasz innego?! – nie wytrzymał komisarz. – Gdzie ona jest?! Czy jest jeszcze w tym pensjonacie?

Jęczkowiak chyba wreszcie zrozumiał, o jaką stawkę idzie gra. Momentalnie oprzytomniał.

– Wyszła stąd może dziesięć minut temu – wyjaśnił Kaczmarekowi. – To znaczy, że ciągle może przebywać w...

– Jak wygląda?

– Młoda, pod trzydziestkę. Brunetka. O miłym uśmiechu...

– Anioła i Rogala! – syknął Kaczmarek. – Przeszukacie piętro! Ty, Walkowiak, spenetrujesz poddasze! Ja z aspirantką bierzemy parter. Jeśli tylko zatrzymacie tę kobietę, krzyczcie!

– Mamy zaglądać do innych pokojów? – zapytał Anioła.

– Tak jest! I to bez żadnych ceregieli! W razie gdyby próbowała uciekać – strzelać!

– Robi się, szefie!

– A wy zostańcie tutaj i zamknijcie drzwi na klucz. I cholera jasna, nie ruszajcie lodów ani kawy!

– Ale...

– Nie ma „ale”. Wszystko może być zatrute!

Komisarz zdążył jeszcze zobaczyć wyraz zaskoczenia na twarzy Jęczkowiaka i zacięte usta aspirantki Przysługi, po czym cała ekipa śledcza wybiegła z apartamentu Jęczkowiaków.

Pensjonat był przestronną budowlą z dwoma skrzydłami, spiętymi długim korytarzem. Walkowiak pobiegł na górę, Rogala z Aniołą zaczęli łomotać do najbliższych drzwi na piętrze, a Kaczmarek z Przysługą pognali w dół szerokimi schodami z dębowych desek. Służbowe parabellum

w dłoniach komisarza podskakiwało w trakcie pokonywania kolejnych stopni, przypominając mu w ułamkach sekund ciężkie chwile w wojnie bolszewickiej podczas dramatycznego odwrotu spod Bobrujska. Ileż on wtedy pokonał kilometrów leśnych duktów właśnie z tą bronią w dłoni! Z ilu opresji go wyciągnęła!<sup>36</sup>Nic dziwnego, że zabrał ją potem do policji...

Aspirantka trzymała się blisko niego, ale spódnica ograniczała jej ruchy – z trudem pokonywała w szaleńczym tempie schody. Komisarz jako pierwszy wpadł z wycelowanym przed siebie parabellum do szeroko otwartego salonu prasowego.

– Aaa! – Kilku kuracjuszy w wypoczynkowych strojach skuliło się w fotelach z wikliny, chroniąc odruchowo głowy dłońmi. – Ratunku! To jakiś wariat!

– Cisza! – wydarł się na nich Kaczmarek. – Policja! Ręce do góry!

Szybko policzył, że było ich trzech. W dodatku sami mężczyźni. Zniesmaczony wybiegł z salonu i niemal wpadł na Przysługę.

– Za mną! – rzucił. – Tu jej nie ma!

Aspirantka pospieszyła za szefem. Biegli teraz w kierunku kuchni, mieszczącej się za wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami z matową płachtą szkła. Jeszcze dwa kroki, jeden...

Zdyszany Kaczmarek przywarł do drzwi, a potem gwałtownie nacisnął na klamkę.

Ustąpiła, wprowadzając go do sterylnej czystego wnętrza, pełnego blatów i naczyń.

Zrobił dwa kroki, a potem wycelował broń w kierunku, z którego doszedł go jakiś ledwie słyszalny dźwięk.

Coś jakby czyjeś stłumione, stłamszone łkanie...

Błyskawicznie podjął decyzję i doskoczył do załomu mebli...

W kącie oparta plecami o ścianę siedziała kobieta w samym staniku i spódnicy. Miała skrępowane dłonie, przywiązane do żeliwnej rury odpływowej, i obwiązane szmatą usta.

Nie wyglądała na trzydzieści lat, Kaczmarek dałby jej pięćdziesiąt. Pomarszczona szyja i dekolt mogły świadczyć o tym, że komisarz miał przed sobą Marię Machnicką, właścicielkę pensjonatu.



– Pani się nią zajmie! – krzyknął do aspirantki Przysługi, a sam wypadł z kuchni i rzucił się ku pierwszym drzwiom z brzegu.

Stawiły opór, więc dopadł do kolejnych.

Dyszał jak chart na polowaniu, ale przeczuwał, że ta nagonka jest już mocno spóźniona.

Tym razem drzwi ustąpiły. Znalazł się w ciemnym schowku na chemię gospodarczą. Wolną dłonią wyszukał włącznik, a gdy przekreślił, wewnątrz zalało żółte światło. Ani śladu po zabójczynie...

Wybiegł na korytarz i z parabellum przed sobą wpadł jeszcze do kilku pokoiów. W jednym z nich wywołał głośną sensację, zastając w nim półnagiego mężczyznę.

– Panie, co pan!... – wydarł się wystraszony gość Morskiego Oka.

Kaczmarek kompletnie go zignorował. W kilka sekund zlustrował wewnątrz jego lokum i opuścił je bez żadnych przeprosin.

Szansa na ujęcie podejrzanej malała z każdą minutą. Czuł to i ogarniała go wściekłość. Gdyby tylko dotarli do pensjonatu Machnickiej choć pięć minut wcześniej...

Nagle wpadł na jeszcze jeden koncept.

Niewiele się zastanawiając, wybiegł z bronią w dłoni przed dom wczasowy, płosząc parę młodych ludzi wchodzących do Morskiego Oka. Wystraszona kobieta u boku małżonka miała najwyżej dwadzieścia lat, blond włosy i całą siatkę piegów od słońca. Z pewnością to nie jej szukał Kaczmarek. Spanikowani nowożeńcy rozbiegli się na boki, a on pognął dalej, ku plaży.

Coraz bardziej zasapany, w połowie drogi zmienił zamiar i skręcił ku centrum miejscowości.

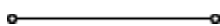
Nigdzie nie widział podejrzanej kobiecej sylwetki. Mijał starsze panie lub emerytów, cieszących się z wolna zachodzącym słońcem i morską bryzą. Tusza Kaczmarka stała się jego przekleństwem. W piersiach poczuł duszność, więc musiał zwolnić...

Po kilku minutach pogodził się z porażką.

Stał, charcząc jak zraniony tur, podparł się rękoma o boki i łapczywie chwycił wilgotne morskie powietrze.

Chciało mu się rzygać, ale nie miał czym.

Przed oczami migwały mu jedynie czarne cętki.



Ani Walkowiak, ani Anioła i Rogala nie znaleźli nikogo, kto choćby odrobinę przypominał osobę opisaną w krótkich, nerwowych słowach przez Jęczkowiaka. Czekali na komisarza na ganku pensjonatu z nosami spuszczoneymi na kwintę. Właściwie nie musiał ich o nic pytać.

– Co teraz, panie komisarzu? – Głos Anioły zdradzał jakiś rodzaj rezygnacji.

Kaczmarek nagle coś sobie przypomniał.

– Wsiadaj z Rogalą do wozu i pędźcie na dworzec w Gdyni. Może tam ją znajdziecie. Chociaż wątpię...

– A jeśli?

– Aresztować i przywieźć tutaj. Uwiniecie się przed zmrokiem?

– Jasne, że tak. – Rogala „ciężka nogala” zdawał się lekko urażony tym pytaniem.

– No to do dzieła – mruknął Kaczmarek.

Gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi policyjnego fiata, wszedł do pensjonatu. Skierował się w stronę kuchni. Nieliczni kuracjusze w holu rozstępowali się przed nim, parabellum w jego dłoni budziło stosowny respekt.

Uznał, że czas schować broń. Wierzchem dłoni otarł pot i kurz z czoła, poprawił włosy i zajrzał przez uchylone przeszklone drzwi do środka.

Zobaczył właścicielkę pensjonatu, oswobodzoną i opatrywaną przez aspirantkę Przysługę. Sznur, którym miała związane ręce, otarł boleśnie nadgarstki Machnickiej. W jej oczach dostrzegł strach.

– Kto to był, proszę pana? – zapytała, gdy komisarz zbliżył się do nich. – Kim była ta straszna kobieta?

– Diablicą, proszę pani. Istną diablicą.

*Orłowo, przed pensjonatem Morskie Oko, około osiemnastej*

Anioła z Rogalą wrócili z Gdyni kwadrans przed osiemnastą. Ich wyjazd okazał się tak samo bezsensowny, jak nieudolna pogoń Kaczmarka za cieniem przestępczyni. Jak zrelacjonowali komisarzowi, ani na peronach, ani w hali nowego dworca nie dostrzegli żadnej kobiety, przypominającej tę poszukiwaną. Ale nie zrazili się tym niepowodzeniem i popytali wśród kolejarzy.

– Jeden z nich, pracownik fizyczny nazwiskiem Błażejowski, widział kobietę podobną do naszej podejrzanej – poinformował Kaczmarka aspirant Anioła, przeglądając notatki. – To było przed południem. Wysiadła z nocnego pociągu z Poznania do Gdyni. Sprawdziliśmy w rozkładzie jazdy, ten nocny musiał przyjechać dziś o dziewiątej piętnaście...

– I co? Co zapamiętał ten cały Błażejowski?

– Że była wyjątkowo ładna, bestia. – Anioła mrugnął okiem, co jednak nie spodobało się komisarzowi.

Nie podzielał nagłej wesołości podwładnego.

– A poza tym?

– Nie miała żadnego bagażu.

– Żadnego?

– Właśnie, panie komisarzu. Zupełnie jakby przyjechała na krótki występ.

– Dobrze to ująłeś, Anioła. Na krótki występ...

Kaczmarek zamyślił się, patrząc w brunatniejącą skorupę morza. Jego myśli były równie mroczne. Skoro przyjechała koleją, to raczej nie spodziewał się, że w podobny sposób wróci do Poznania. Zbyt ostrożna była dotąd, zbyt perfekcyjna, by pozwolić sobie na taką wpadkę. Zapewne zaszła się gdzieś tu, na Wybrzeżu, a jutro albo pojutrze wróci do Poznania samochodem albo autobusem... Nie, raczej nie komunikacją zbiorową. Komisarz był pewny, że nie będzie tak nierozsądna.

– Anioła, jest robota – odezwał się po chwili do czołowego technika poznańskiej komendy. – Trzeba spisać zeznanie Józka... Znaczy się prezesa Jęczkowiaka. Przede wszystkim jego uwagi dotyczące wyglądu tej kobiety, wszystkich zapamiętanych przez niego cech szczególnych. Gdy wrócimy, niech ludzie komendanta z Gdyni sporządzą portret pamięciowy poszukiwanej. I pokażą go Jęczkowiakowi.



– Tak jest.

– To nie wszystko. Trzeba będzie zabezpieczyć próbki lodów i kawy do analizy. To w końcu może być koronny dowód rzeczowy w sprawie.

– Jasne, panie komisarzu.

– I oczywiście odciski palców. O ile zostawiła jakiegokolwiek.

– Tak jest.

– No, to do roboty! Zaczynaj od tych próbek, rzecz jasna.

Kaczmarek westchnął i poszedł na piętro do Jęczkowiaka. Poprosił, by udał się za nim. Doszli do skrytego dla postronnych zaułka i rozsiedli się w stojących tam fotelach, by wreszcie spokojnie porozmawiać.

– Nadal nie rozumiem, co się dzieje – wyznał przyjaciel Kaczmarka.

– Ba! – mruknął komisarz. – Ja też nie! W dodatku ta bestia próbowała również mnie zgładzić. Wyobrażasz sobie?

Jęczkowiak drgnął, poruszony do żywego.

– Gdzie?! Kiedy?! W ten sam sposób?!

– Mniej więcej. – Kaczmarek nie chciał się wdawać w szczegóły, by nie przedłużać narady. – Ja również nie pojmuję dlaczego. Mam nadzieję, że ty mi to powiesz, Józek. Musisz wiedzieć coś, co naprowadzi nas na motyw tych zbrodni. Na razie wiem tylko tyle, że to jakaś zemsta. Ale za co?

Prezes gdyńskiego Związku Oficerów Rezerwy wzruszył ramionami.

– A skąd ja mam to wiedzieć, Biniu? – Rozłożył ręce. – Widziałem tę kobietę pierwszy raz w życiu. To więcej niż pewne.

– Podkłada truciznę kolejnym ofiarom. Arszenik zaaplikowała Dymeckiemu i Kopie, wcześniej zapewne zawróciła im w głowach. Starzy kawalerowie łatwo dali się nabrać na szczególne zainteresowanie ze strony młodszej, ładnej kobiety.

– Naprawdę jej nie znam, Biniu. Wierz mi!

– Wierzę. – Kaczmarek coś sobie przypomniał. – Wiesz co? Z moją asystentką przeanalizowaliśmy dane o ofiarach. Wiesz, co je łączy? Te ofiary, śmiertelne i niedoszłe?

– Że są mężczyznami w naszym wieku.

– To też. Ale przede wszystkim wspólna przeszłość w POW.

– To jeszcze nie musi nic znaczyć – zaproponował Jęczkowiak. – Po prostu każdy z nas przeszedł w pewnym wieku podobną ścieżkę. Takie były czasy...

– Niby tak – zgodził się Kaczmarek. – Ale nie każdy miał związek z tobą.

– Jak to?

– Zauważ, że zarówno Dymecki, jak i Kopa byli twoimi podwładnymi w żandarmerii. A ja, nieco wcześniej, twoim podkomendnym w POW...

– Faktycznie! – Prezes Jęczkowiak klepnął się w kolano. – Sądzisz, że...

– Nic nie sędzę, Józek – zirytował się Kaczmarek. – Dostrzegam pewną zaskakującą koincydencję. I zastanawiam się, kto będzie następny.

– O, potencjalnych ofiar jest zatem na pęczki – oświadczył Jęczkowiak i się uśmiechnął kwaśno. – Nie podejrzewam jednak, by ta dama była w stanie zlikwidować całą naszą kompanię. Życia jej nie starczy!

– Nie byłbym tego taki pewny! Już udowodniła, że działa niczym błyskawica. No dobrze, Józek. Widziałeś ją dwa razy przez kilka minut. Zauważyłeś coś niezwykłego? Coś w jej zachowaniu ci podpadło?

Dawny frontowy przyjaciel Kaczmarka przymknął oczy i starał się przywołać obraz niedoszłej morderczynie. Zaczesał dłonią spoconą grzywę i ocknął się z krótkotrwałego namysłu.

– W zasadzie nie – odpowiedział. – Jedyne, co uświadomiłem sobie dopiero teraz, to jej drobna wada wymowy.

- Wada? Jaka wada?
- Wiesz, dziwnie wypowiedziała „r”.
- Czyli?
- Tak twardo. No wiesz, tak jak wymawiają ją Niemcy.

*Następnego dnia, środa, 2 maja 1934 roku, godziny poranne*

Przenocowali w pensjonacie dzięki uprzejmości pani Machnickiej, wdzięcznej za oswobodzenie. Właścicielka uszykowała im dwa pokoje, jeden dla aspirantki Przysługi, drugi dla Kaczmarka, Anioły i Rogali. Komisarz spał jednak tej nocy źle. I wcale nie dlatego, że ich szofer chrapał jak najęty. Kaczmarek ciągle był niespokojny o życie Jęczkowiaka. Dwa razy w ciągu nocy wstawał i wychodził na korytarz. Podchodził do drzwi apartamentu zajmowanego przez Jęczkowiaków, delikatnie sprawdzał, czy są zamknięte na klucz, i nasłuchiwał, czy w domu wczasowym panuje cisza. Nie omieszkał też zejść na parter, by upewnić się, że zamknięte są również drzwi wejściowe. I sprawdzić, czy w okolicy pensjonatu nie kręci się nikt podejrzany.

Nie chciało mu się wierzyć, że tajemnicza nieznajoma podejmie jeszcze jedną próbę ataku, wołał jednak dmuchać na zimne. Poranek zastał go w wiklinowym fotelu stojącym w korytarzu, pod kocem w biało-czarną kratę. Słońce ostro wkraadało się już do wnętrza pensjonatu przez wschodnie okno. Połamany i zły, podniósł się z twardego siedziska i zerknął na zegarek. Szósta trzydzieści. To oznaczało, że jednak drzemał dobre dwie godziny...

Nagle zdjął go lęk. Zrzucił z siebie koc i podbiegł obolały do drzwi apartamentu Jęczkowiaków. Akurat w tym samym momencie stanął w nich

Józef. W dłoniach trzymał rewolwer, wręczony mu przed snem przez Kaczmarka.

– A ty co, Biniu? Spać nie możesz? – zapytał, widząc podkrążone oczy przyjaciela.

– Chwała Bogu! – Komisarz odetchnął z ulgą. – Jak upłynęła noc?

– Dziewczynki szybko zasnęły. Ale źle spały, chyba śniło im się wasze najście...

– A żona?

– Też przewracała się z boku na bok. Ma mi za złe, że nie posłuchałem jej i nie wyjechaliśmy jeszcze wczoraj. W końcu to niedaleko.

– Wyjedźcie dzisiaj, Józek. Nie zostawajcie tu do Trzeciego Maja. My musimy się zwijać do Poznania, ale przodownik Walkowiak z waszego komisariatu dopilnuje, byście byli bezpieczni.

– Dziękuję, przyjacielu. Szkoda, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach...

– Będzie jeszcze okazja powspominać stare dzieje. A na razie mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Przypomnij sobie tamte czasy. Nasze wspólne zadania, boje, naszą konspirację. Czasy przed powstaniem i zaraz po. Coś mi mówi, że właśnie tam tkwi źródło tego całego nieszczęścia.

– Obiecuję, że to przemyślę. Zresztą... myślałem już o tym przez noc. Ale nie wpadłem na nic odkrywczego.

– Jak tylko coś ci się przypomni, wal do mnie jak w dym.

– Jasne.

– A teraz wracajcie jak najszybciej do domu, bardzo was proszę.

– Oczywiście, Biniu. Będzie, jak chcesz.

---

36 Wydarzenia te opisane zostały w powieści *Na całego*.

# WYWRACANIE STOLIKA



### ***Nowe napady na Polaków w Gdańsku***

*Gdańsk (PAT). W pobliżu gmachu Komisarjatu Generalnego R.P. przy ul. Neugarten z maszerującego wczoraj ulicą oddziału szturmówki narodowych socjalistów wybiegło kilku szturmowców, wśród nich dowódca oddziału, i poczęło bić brutalnie przechodzącego Polaka, Bronisława Weynę, pracownika firmy Paged, za niesalutowanie sztandaru oddziału. Również za niepodniesienie ręki znieważony został czynnie polski urzędnik celny Rafał Sławoszewski. Poza tem miało miejsce jeszcze kilka innych wypadków bicia Polaków, których dotychczas nie można było dokładnie sprawdzić.*

„Dziennik Poznański”, 3 maja 1934

*Poznań, nadal środa, 2 maja 1934 roku, po południu*

Choć powinni się cieszyć, że w ostatniej chwili uratowali życie Jęczkowiakowi, wracali w minorowych nastrojach. Zgodnie z poleceniem komisarza Rogala cisnął na pedał gazu, ile wlezie, więc fiatem 508 rzucało na wszystkie strony. Kaczmarek obserwował ukradkiem w lusterku twarz aspirantki Przysługi. Sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej, ale dwa rumieńce na policzkach zdradzały, że mocno przeżyła akcję w Morskim Oku. Raz jej spojrzenie zeszło się ze wzrokiem Kaczmarka – skromnie spuściła oczy. Właśnie wtedy komisarz przypomniał sobie jej trafną uwagę, że morderca może się podszyć pod obsługę pensjonatu.

Ma dziewczyna intuicję – pomyślał z uznaniem.

Gdzieś za Chojnicami złapała ich rześista ulewa. Niebo zrobiło się ciemne, a świat nieprzyjazny. Rozjaśniło się pod Nakłem. Tam na rozkaz Kaczmarka skręcili ku Bydgoszczy.

Po szybkim obiedzie w tamtejszej komendzie wyruszyli w dalszą drogę i kwadrans po czternastej zameldowali się u siebie, w poznańskim Prezydium Policji, *vis-à-vis* Arkadii. Anioła popędził od razu do swojego zespołu techniczno-laboratoryjnego, by zająć się próbkami pobranymi z posiłku Jęczkowiaków. Kaczmarek z Przysługą poszli prosto do inspektora Kaysera.

Szef wydziału śledczego znał już z grubsza efekty wyjazdu z informacji przekazanych mu z Gdyni przez przodownika Walkowiaka.

– Jakie to szczęście, że zdążyliście! – przywitał komisarza i jego asystentkę. – Miałeś nosa, Biniu! Jęczkowiak miał być kolejny na liście ofiar.

– Miał – potwierdził Kaczmarek. – Absolutną pewność będziemy mieć wtedy, kiedy ludzie Anioły przebadają próbki lodów z deseru podanego przez trucicielkę.

– Masz już pewność, że to kobieta?

– Absolutną. Mamy nawet jej rysopis. Niebawem przyślą z Gdyni portret pamięciowy.

– A jak spisała się nasza dzielna pani aspirant? – Kayser sprawiał wrażenie, jakby od początku bardzo chciał zadać właśnie to pytanie.

Kaczmarek uśmiechnął się blado. Ale bardziej ze zmęczenia niż z dezaprobaty.

– Bardzo dobrze, panie inspektorze. Była z nami, gdy odbijaliśmy pensjonat, i zajęła się jego właścicielką.

– Doskonale, Biniu! – ucieszył się Kayser. – Będzie pani miała co wspominać, prawda, pani Basiu?

Aspirantka ukloniła się dyskretnie, ale nie skomentowała.

– I co teraz zamierzasz, Zbigniewie? – Kayser w jednej chwili spoważniał. – Sądysz, że ta kobieta znowu zaatakuje? A jeśli tak, to kogo?



– Myślę, że kogoś z mojego dawnego otoczenia. To znaczy, z naszego otoczenia, mojego i Jęczkowiaka – poprawił się komisarz. – Wygląda na to, że kieruje się prostym wskazaniem, drogowskazem są dla niej nasze życiorysy. Tylko, do diabła, skąd je tak dobrze zna?

– Może sama służyła kiedyś w policji? Albo miała coś wspólnego z żandarmerią?

– Wykluczone. Była na to zwyczajnie za młoda. Poza tym wtedy nie zatrudnialiśmy kobiet. Przynajmniej nie w linii.

– No tak, prawda – zmitygował się szef Kaczmarka. – A może ona jest zwyczajnie niespełna rozumu? Może to osoba zwichrowana psychicznie?

– Wręcz przeciwnie. To przebiegła morderczyni. Racjonalna i logiczna do bólu. A przy tym zimna jak ryba.

– Musi kiedyś popełnić błąd, Biniu. Nie ma cudów.

– Sama błędu nie popełni.

– Co mówisz? Nie rozumiem...

– Mówię, że jeśli będziemy czekać z założonymi rękoma, nadal będzie zbierać swoje zaplanowane żniwa. Musimy narzucić jej nasze warunki gry. Prawda, pani aspirant? Tak chyba brzmiała pani rada w innej sprawie?

– Właśnie tak, panie komisarzu – odezwała się milcząca dotąd Barbara Przysługa, a na jej zmęczoną twarz wychynął nieśmiały uśmiech. – Trzeba po prostu wywrócić stolik.

– Ładnie powiedziane, pani aspirant – pochwalił ją Kayser, jego mina wszakże wskazywała, że nie wiedział, o czym myślą jego podwładni. – Ale... jak chcecie to zrobić?

Kaczmarek pstryknął palcami, a potem odpowiedział:

– Starą policyjną metodą: zarzucimy przynętę.

*Prezydium Policji, dwie godziny później*

– Panie komisarzu, mamy wyniki badań toksykologicznych.

– I co? Anioła, do diabła, gadajże!

– W lodach nie stwierdziliśmy ani grama arszeniku czy innej trucizny.

– Żartujesz sobie, Grzesiu?!

– Ani myślę, panie komisarzu. Za to kawa pana prezesa była tak nafaszerowana arszenikiem, jakby miał on zastąpić śmietanę.

Kaczmarek ścisnął słuchawkę. A potem poczuł mocniejsze uderzenie serca. A więc jednak ta diablica miała jakieś skrupuły! Nie brała pod uwagę w swojej zemście dzieci ani żony Jęczkowiaka. Chodziło jej wyłącznie o niego.

W zasadzie wiedział już prawie wszystko. Wszystko poza nazwiskiem morderczyni i motywem jej działania. W tej chwili liczyło się wszakże co innego. Musieli działać. Przejąć inicjatywę. To oni musieli zapolować na tę diablicę.

– A odciski palców? Anioła, słyszysz mnie? Co z odciskami?

– Mówiłem już wcześniej: ta kobieta nie zostawia po sobie żadnych śladów.

– Dziękuję ci, Grzesiu – powiedział i odłożył słuchawkę.

Po chwili zwrócił się do Przysługi:

– Pani Basiu, w głowie rysuje mi się pewien plan. Żeby jednak doprowadzić go do skutku, musimy ponownie nawiązać łączność z Józefem Jęczkowiakiem.

Aspirantka uśmiechnęła się delikatnie.

– To on ma być przynętą w naszej pułapce, panie komisarzu?

– Zgadza się

– Ale czy przyjedzie specjalnie do Poznania?

– Obawiam się, że nie ma wyjścia.

Kolejny kwadrans zajęło im ustalenie, jak to powinni rozegrać. Czy spieszyć się, czy wręcz przeciwnie – pozwolić sprawie „dojrzeć”. Zgodzili się jednak, że każdy dzień zwłoki to ryzyko kolejnego ataku i kolejnego zgonu. Nie byli wszak w stanie perfekcyjnie wytypować kandydata na kolejną ofiarę. Osób przed laty związanych z Jęczkowiakiem było zbyt wiele. A oni ciągle nie wiedzieli, jakim kluczem posługuje się trucicielka.

Kaczmarek planował wykorzystać swoje znajomości w poznańskich redakcjach, zwłaszcza w „Dzienniku Poznańskim”. Był pewny, że redaktor naczelny „Dziennika” Winiewicz, który od trzech lat miał wobec niego pewien dług wdzięczności, nie będzie się wzbraniał przed pomocą w postaci małej mistyfikacji. I właśnie w momencie, kiedy razem z aspirantką Przysługą zastanawiali się, jak w planowanej akcji wykorzystać prasę, z dyżurki komendy zadzwonił Schuppke.

– Ktoś do pana komisarza – zapowiedział dziwnie zaintrygowanym głosem.

– A kto niby? Bo zachowujesz się, jakbyś zobaczył diabła.

– Sam pan zobaczy. Wpuścić?

– Ale w jakiej sprawie? Nie wpuszczamy przecież każdego, jak leci, Schuppke!

– Mówi, że zna pana komisarza. I że ma sprawę niecierpiącą zwłoki.

Determinacja gościa zaskoczyła Kaczmarka.

– A przedstawił się chociaż? – zapytał.

– Tak, tak... Nazywa się Sandi. Sam Sandi, o ile dobrze zapamiętałem...

W pamięci Kaczmarka ożyły dawne dzieje. Sandi! Front bolszewicki! Bobrujsk! Przyjechał wtedy do nich jako kierowca generała Konarzewskiego! Co za radość znowu się zobaczyć! Ale co go sprowadza?

– Dawaj go tu, tylko szybko! – krzyknął uradowany.

Chwilę później w drzwiach jego gabinetu stanął potężny czarnoskóry gość w eleganckiej marynarce i pumpach. Jego bary były tak szerokie, że z trudem mieściły się między rękawami. Kaczmarek zapamiętał go jako szczupłego, subtelnego mężczyznę, tymczasem teraz miał przed sobą osiłka, który z pewnością walczy albo walczył na ringu.

– Co za wizyta! – Kaczmarek i Sandi padli sobie w ramiona. – Sam, ty stary byku! Świetnie wyglądasz! Jak jakiś Herkules! Co porabiałeś przez te wszystkie lata, zanim trafiłeś do Poznania?

– Ech, długo by mówić. – Potężny Afrykanin machnął ręką. – A nie mam czasu, Zbigniew.

– Ach, wybacz. Nie przedstawiłem ci pani Barbary. To aspirant Przysługa z Warszawy, u nas na gościnnych występach.

– Miło mi. – Sam skłonił się i ucałował dłoń kobiety.

– No to czemu zawdzięczamy twoje odwiedziny? Czyżbyś miał jakieś problemy w Palmarium? Ktoś ci groził, czy jak?

– Skąd wiesz, że tam pracuję?

– Widziałem cię niedawno w akcji, jak poskromiłeś jakiegoś pieniacza. Zdaje się, że nie smakował mu kotlet.

– A tak, było coś taki – skwitował skromnie incydent Sandi.

Wydawało się, że nie ma ochoty rozwijać tematu.

– Zbigniew, przepraszam, nie mam za wiele czasu. Robota czeka – dodał.

– No więc? Co cię do nas sprowadza? – Kaczmarek wskazał gościowi dłonią miejsce przy biurku.

– Miałem niedawno dziwna wizyta. Bo wiesz, ja tam nie tylko pilnuję porządek. Ja też tam wróżę.

– O! – Kaczmarek nie za bardzo wiedział, jak na to zareagować.

- No i dwa dni temu miałem dziwna klientka.
- Dziwną?
- No tak. Taka młoda, cała w czarnej sukni i woal...włoa...
- Woalce – pomogła mu aspirantka Przysługa.
- Właśnie. I zadawała dziwne pytania.
- Czyli?
- Chciała wiedzieć, ile jeszcze pożyje jej znajomy znad morza.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była aż bolesna dla uszu. Komisarz wymienił z aspirantką szybkie spojrzenia. Doskonale wiedzieli, o jakiego znajomego znad morza chodzi.

Kaczmarek pierwszy przerwał milczenie.

- Wiesz co, Sam? My chyba znamy tę twoją klientkę.
- Tak? Jak to? – Sandi zrobił wielkie oczy.
- Nie mogę ci powiedzieć. Tajemnica śledztwa. Musi ci wystarczyć, że mamy ją na celowniku.
- Ale... Skąd macie pewność, że chodzi o ta sama osoba?

Kaczmarek zerknął na niego spode łba.

– Przyjacielu, a powiedz mi o niej coś jeszcze. Co zauważyłeś mimo jej kreacji?

Sam się zastanowił.

- Była młoda. I chyba ładna. To znaczy... no wiesz, zgrabna. Miała ładne nogi – odpowiedział, a potem lekko się zawstydził.
- Rozumiem. Coś jeszcze?
- Nie... Chyba nie. Trochę się wtedy zdenerwowałem.
- A powiedz mi coś jeszcze.
- Tak?
- Jak ona mówiła?

- No jak? Normalnie. Po polski.
  - Nie zapamiętałeś czegoś szczególnego? Czegoś naprawdę eskrtrrra?
- Sandi puknął się otwartą dłonią w czoło.
- A tak! Miała chyba wada wymowy! A skąd to wiesz?!



Kaczmarek nie zastanawiał się ani chwili.

- Weźmiesz udział w naszej akcji, Sam! – Zabrzmiało to jak rozkaz.
- W jakiej akcji? Ale jak? Kiedy ja nie jestem policjant! – zaprotestował odruchowo czarnoskóry siłacz.
- Nie ma innej rady!
- Ale Zbigniew, ja... Dlaczego ja?!
- Bo ty ją widziałeś, Sam! Kobieta, której szukamy. Trucicielkę. Morderczynię, jakich niewiele. Ty ją rozpoznasz bez pudła, nawet jeśli przyjdzie w woalce i przebraniu!

Sandi wpatrywał się w dawnego towarzysza broni jak w jakieś rzadkie dziwadło.

– A co ona takiego zrobiła? – zapytał. Powoli docierało do niego, z kim miał do czynienia.

Po krótkiej relacji Kaczmarka, ograniczającej się do podania podstawowych faktów – komisarz nie mógł wszak ujawniać szczegółów śledztwa – Sam Sandi znieruchomiał, kompletnie zaskoczony.

- No dobsze – sapnął w końcu. – Rozumiem, to ważna sprawa.
- Bardzo ważna – podsumował Kaczmarek i wreszcie uśmiechnął się szeroko.

Tak samo cieszył się zwykle na widok swojego ukochanego kaszaka z efektowną kopką musztardy. Oczywiście w policyjnej stołówce. Albo

gdzieś na mieście.

– No ale... co ja mam zrobić, Zbigniew?

– Wszystko ci wyjaśnię, przyjacielu. Z obecną tutaj panią aspirant pracujemy właśnie nad tym, by złowić naszą rybkę w sieć.

– I co? Jak chcecie to zrobić?

– Posłuchaj mnie uważnie...

*Redakcja „Dziennika Poznańskiego” przy Pocztovej 9, vis-à-vis Kasy Chorych, tego samego dnia około siedemnastej*

Redaktor odpowiedzialny<sup>37</sup> jednego z dwóch najważniejszych poznańskich dzienników nie pierwszy raz współpracował z policją kryminalną, więc wizyta komisarza Kaczmarka bynajmniej go nie zaskoczyła. Niespodzianką było to, że po raz pierwszy przyszedł do redaktora Józefa Winiewicza z kobietą w policyjnym mundurze. Bystre oko dziennikarza od razu wychwyciło, że aspirantka jest bardzo młoda. W głowie żurnalisty natychmiast zrodziły się pytania: czy jej obecność oznacza, że kobiety rozpoczęły pracę również w poznańskiej policji? I czy od teraz również one będą prowadzić ważne śledztwa? A może to zaufana funkcjonariusza komisarza Kaczmarka? Skoro towarzyszy mu w jakiejś arcyważnej sprawie, zapewne musi być niewyobrażalnie zdolna... Tak czy owak, redaktor Winiewicz zrozumiał, że kroi mu się materiał na niezły sensacyjny artykuł...

Nie uszło uwagi Kaczmarka zainteresowanie jego podkomendną ze strony starszego wiekiem Winiewicza.

– Panie redaktorze, może jednak by się pan odrobinę skupił – zaproponował karcącym tonem, widząc rozbiegany wzrok dziennikarza. –

To naprawdę poważna sprawa. Równie odpowiedzialna, jak ochrona mistrza Alechina w dwudziestym ósmym.

Wspomnienie słynnej już w Poznaniu akcji komisarza, szeroko opisanej przez „Dziennik” zaraz po ujęciu niedoszęłego zabójcy szachowego arcymistrza w hotelu Bazar<sup>38</sup>, z miejsca przywróciło myśli redaktora na bardziej pewny grunt.

– Tak, tak. Już słucham! – zapewnił Kaczmarka, poprzestając na rzucanych ukradkiem ku aspirant Przysłudze spojrzeniach. – Musi pan wiedzieć, że prowadzimy od niemal tygodnia intensywne śledztwo zmierzające do wykrycia zabójcy prezesa Dymeckiego oraz Wojciecha Kopy...

– Pisaliśmy o ich zgonach. Co za tragedie!

– Właśnie... – zgodził się bez entuzjazmu Kaczmarek.

Prasy zasadniczo nie cierpiał. Drażniła go bufonada i wścibskość żurnalistów, zdawał sobie jednak sprawę, że pewnych spraw na ziemi nie zmieni. Mimo wszystko cieszył się, że gryzipiórki nie zwąchały niedoszęłego zamachu na niego lub jego żonę. Nie mówiąc już o udaremnionym ataku w Gdyni.

– Zanim przejdę do sedna sprawy, muszę odebrać od pana przysięgę, że wszystko, co pan zaraz usłyszy w tym gabinecie, pozostanie wyłącznie między nami.

Redaktor Winiewicz przełknął ślinę. Jako rasowy dziennikarz trudno mu było złożyć taką deklarację. Pamiętał wszakże, że dotychczasowa współpraca z komisarzem zawsze kończyła się korzystnie dla obu stron – także dla jego pisma.

– Jestem gotów złożyć takie przyrzeczenie – przystał na trudny warunek.



– Zatem przysięga pan zachować szczegóły śledztwa w ścisłej tajemnicy?

– Przysięgam! – zapewnił śledczych Winiewicz, z przejęciem unosząc w górę prawą dłoń, a lewą kładąc teatralnie na sercu.

– Świetnie – ucieszył się Kaczmarek. – Widać, że mamy do czynienia z człowiekiem honoru. Przejdźmy zatem do meritum sprawy.

Niespiesznym ruchem komisarz sięgnął do kieszeni swojej nieco przyciasnej marynarki i wydobył z niej złożoną w czworo kartkę. Kiedy ją otworzył, redaktor Winiewicz dostrzegł tekst wybity równą maszynową czcionką. Kaczmarek z jakichś powodów przemilczał to, że zredagowała i przepisała go całkiem wprawnie aspirantka Przysługa. Zamiast tego oznajmił:

– Chodzi o to, aby w jutrzejszym wydaniu zamieścić taki oto artykuł...

Winiewicz wziął papier w dłoń i zaczął czytać. Z każdym zdaniem nabierał jednak coraz większych wątpliwości. W końcu przerwał lekturę i rzucił ku komisarzowi spojrzenie zdradzające skrajne niezrozumienie:

– Ale... o co w tym wszystkim chodzi?

Komisarz westchnął ciężko. Nie spodziewał się, że Winiewicz będzie sprawiał jakieś trudności.

– Panie redaktorze, obiecuję, że gdy tylko złapiemy mordercę Dymeckiego i Kopy, „Dziennik” będzie pierwszy, który to opíše – wyciągnął swojego asa w rękawie. – Tak samo, jak było w trzydziestym pierwszym, pamięta pan? Na razie jednak, jak pan zapewne rozumie, nie mogę panu zdradzić żadnych szczegółów sprawy. Dzięki pańskiej pomocy możemy wreszcie przyszpilić niezwykle perfidnego zabójcę. Proszę nam pomóc, a z pewnością pan nie pożałuje...

Winiewicz mruknął pod nosem jakieś słowo aprobaty i z miejsca wrócił do lektury.

– A tytuł? – czujne oko redaktora odpowiedzialnego od razu wychwyciło defekt proponowanej do druku informacji.

– Cóż... Zaraz go wspólnie wymyślimy. Zależy nam tylko, by informacja była dobrze widoczna. A w tytule musi się pojawić pewne nazwisko. Najlepiej grubą czcionką!

*Szpital miejski przy ulicy Szkolnej, czwartek, 3 maja 1934 roku, ósma z minutami*

Jedyną rozrywką Andrzeja Dudki w szpitalu była lektura prasy. Tego dnia spodziewał się wzmożonej konkurencji w saloniku prasowym – było wszak święto państwowe – a jednak Dudce udało się dorwać ostatni wolny egzemplarz najnowszego „Dziennika Poznańskiego”. Zachwycony sukcesem usadowił się w fotelu, starannie dbając o to, by jego zdrutowana szczęka nie przypominała się kłującym bólem. Udało się. Być może swoje zrobiły też mocne środki przeciwbólowe, które przyjął zaraz po lekkim śniadaniu. Zadowolony, ujął w dłonie płachtę gazety, by chłonąć wieści z kraju i świata.

*Marszałek Piłsudski będzie mianowany marszałkiem Francji?* – rzucił mu się w oczy sensacyjny tytuł z pierwszej strony. Prawdę mówiąc, obchodziło go to niczym zeszłoroczny śnieg. Zniesmaczony, zajrzał na stronę drugą gazety. *Bez miejsca na świecie. Zrozpaczony Trocki nie może znaleźć azylu* – donosili z Paryża korespondenci Polskiej Agencji Telegraficznej.

Dobrze mu tak, uznał Dudko, niewzruszony tym, że były rewolucjonista w niełasce u Stalina w obawie przed zamachem tuła się z żoną i prywatnym detektywem od zajazdu do zajazdu wokół stolicy Francji. Tego artykułu, choć był krótki, również nie doczytał. Przeskoczył na stronę trzecią. Znalazł

tam informacje o robotniczym, PPS-owskim 1 Maja – wykrzywił się jednak z obrzydzeniem na wzmianki o tych lewackich egzekwiach. Wreszcie jego wzrok przykuł bity mocną czcionką tytuł: *Benefis prezesa Józefa Jęczkowiaka w Poznaniu!*

Zaintrygowany znajomym nazwiskiem, które kojarzył z dawną żandarmerią i początkami wolnego Poznania, zagłębił się w rzetelnej lekturze.

*Z radością spieszmy donieść o zaplanowanej na sobotę, 5. tego miesiąca, uroczystości patriotycznej, jaka odbędzie się o godzinie 18. w gmachu kina Słońce, pod życzliwym dachem i patronatem powszechnie szanowanego kupca Stefana Kałamajskiego – informował dziennikarz, ukryty pod mało wyszukany akronimem „bar”.*

*Okazję do świętowania stanowi 15-lecie służby dla Ojczyzny prezesa Okręgu Morskiego Związku Oficerów Rezerwy w Gdyni, porucznika rezerwy Józefa Gabriela Jęczkowiaka, człowieka wielce zasłużonego dla wolności i niepodległości Poznania i Wielkopolski. To on – członek Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego – w roku 1919 objął kierownictwo nad poznańską Żandarmerią, która czuwała nad spokojem na zapleczu wielkopolskiego frontu. To on dbał o bezpieczeństwo Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego podczas pamiętnej wizyty tegoż w październiku roku 1919. Benefis prezesa Jęczkowiaka odbędzie się na scenie kina Słońce i potrwa około godziny. Po uroczystości w holu kinoteatru zaplanowano koktajl z udziałem zaproszonych gości...*

Ho, ho, ho! Sanacyjne szyszki organizują bibkę ku swojej czci – pomyślał nie bez złośliwości Dudko. Rozeźlony cisnął gazetę na pobliski stoliczek, wywołując zdziwienie kilku innych czytelników prasy w szpitalnych pidżamach i porannikach. Przeszywający ból szczęki dosłownie go sparaliżował. A jeśli zrośnie mu się krzywo?

– Niepotrzebnie się pan tak szarpie, panie kolego – usłyszał gdzieś z boku troskliwy głos ordynatora. – W pana stanie wskazane są spokój i rozwaga.

Chciał coś odpowiedzieć, może nawet zakląć, ale nie dał rady. Zamiast tego machnął ręką, jakby odpędzał od siebie jakąś namolną muchę.

Siwy ordynator Wachowiak pokręcił głową i ruszył ku sali operacyjnej, wznosząc ręce ku niebu.

– Ta dzisiejsza młodzież – mruknął sam do siebie. – Same szpliny i waryjoty!<sup>39</sup>

*Czwartek, 3 maja 1934 roku, dziesiąta z minutami*

– Uroczystość odbędzie się w sobotę o godzinie osiemnastej w przestronnych wnętrzach kina Słońce. Po benefisie organizatorzy zapraszają wybranych gości na koktajl...

Spiker Radia Poznańskiego odczytał komunikat z właściwym sobie namaszczaniem, modulowanym głosem, nadając informacji stosowną rangę. Kaczmarek aż podskoczył z radości, tak bardzo był zadowolony. Obserwująca go z boku aspirantka Przysługa zdziwiła się tej żywiołowej reakcji szefa. Dotychczas sądziła, że podobne emocje ujawnia tylko w momentach kulminacyjnych – jak podczas akcji w nadmorskim Orłowie.

– Jest dobrze, pani Basiu! – Komisarz zacierał ręce. – Jest bardzo dobrze! Ten komunikat będą odczytywać dziś i jutro co godzinę, tak nam przynajmniej obiecali. A proszę spojrzeć tu! „Kurier Poznański” też nam pomógł. Dali anons o benefisie Józka na drugiej stronie. Jakby chcieli przebić konkurentów z „Dziennika”.

Barbara Przysługa z radością patrzyła, jak zasępione zwykle oblicze komisarza nabrało żywych barw. Jej szef wreszcie był w dobrym humorze,

o czym świadczyło choćby owo „pani Basiu”, tak rzadkie w jego ustach.

– I co teraz, panie komisarzu? – zapytała, poprawiając dłonią opadające na czoło włosy.

– Pozostaje nam już tylko czekać. Na sobotę i na Jęczkowiaka. Aha! Dzisiaj mam wizytę u Kałamajskiego. Pani wie, to właściciel Słońca. Muszę z nim omówić szczegóły tej całej maskarady. Listę gości, kosztorys koktajlu...

– Czy mam iść z panem, komisarzu?

– O nie, nie! Nie tym razem – zaproponował niespodziewanie Kaczmarek. – Musimy uzgodnić kilka męskich spraw... Pani rozumie.

– Czym w takim razie mam się zająć?

– Pani? Cóż... Proszę sprawdzić, ile razy nadadzą w radiu naszą blagę. To niezwykle ważne. Idę o zakład, że nasza mora dowie się o wszystkim właśnie z radia. Choć niewykluczone, że poszuka potwierdzenia w gazetach. Tak czy owak, powinna chwycić przynętę. Tym bardziej że jutro w „Dzienniku” zamieszczą fotografię Józka. To powinno wyprowadzić ją z równowagi. Dotrze do niej, że nad morzem poniosła klęskę. Ta diaboliczna na pewno się zdenerwuje i zechce jak najszybciej wyrównać rachunki.

– Raczej nie przyjdzie do Słońca jawnie – zwróciła uwagę aspirantka. – Zapewne znowu pod kogoś się podszyje. Ma do tego talent.

– Nasza głowa w tym, by wreszcie ją dopaść.

---

<sup>37</sup> Przed wojną określano tak redaktora naczelnego, odpowiedzialnego również prawnie za dziennikarzy gazety oskarżonych o naruszenie czyichś dóbr osobistych.

<sup>38</sup> Historię tę opisałem w tomie *Arcymistrz*.

39 Same szpliny i waryjoty! (gwara poznańska) – Sami postrzeleńcy i wariaci!

# BENEFIS Z DUCHEM



## ***Święto pracy w Berlinie***

*Berlin (Tel. wł.) Na polach Tempelhofu zebrało się wczoraj około 1 500 000 szturmowców, członków frontu pracy i organizacji młodzieży. Szpaler szturmowców ciągnął się na 10 kilometrów. W obchodzie wziął udział rząd Rzeszy z Hitlerem na czele, korpus dyplomatyczny i półmilionowy tłum publiczności. Do zebranych przemówił Hitler, atakując niezwykle ostro niedobitków opozycyjnych i wskazując na walkę z bezrobociem jako na główny cel rządów hitlerowskich. Na koniec kanclerz wygłosił zapewnienie, że polityka Niemiec jest pokojowa. „Niemcy nie znają uczucia zemsty i wyciągają zawsze dłoń do zgodnej współpracy”. (B.)*

„Dziennik Poznański”, 3 maja 1934

*Sobota, 5 maja 1934 roku, około dziesiątej*

Kino Słońce – ogromny i nowoczesny obiekt na ponad tysiąc widzów, zbudowany przez Stefana Kałamajskiego przed siedmiu laty w prostokącie podwórzy kamienic przy placu Wolności – komisarz wybrał z dwóch powodów. Po pierwsze, znał życzliwość jego właściciela dla poznańskiej policji. A po drugie, istotniejsze – znajdowało się ono tuż obok Prezydium Policji. Od komendy dzielił je dosłownie żabi skok – wybieg z bramy na plac i kilkanaście sekund sprintem. Kaczmarek, który cenił sobie swobodę manewrów, od razu wpadł na tę lokalizację. Poza tym łatwo było obstawić wszystkie trzy wyjścia z kina: bramy prowadzące w stronę Plajty<sup>40</sup>, ulicy Ratajczaka i Świętego Marcina. To dawało gwarancję, że wywiadowcom



z komendy mysz się nie prześlizgnie. Nie mówiąc już o urodziwej ponoć brunetce.

Z Kałamajskim, jeszcze rok wcześniej miejskim radnym, szybko znaleźli wspólny język. Poznański biznesmen, zżyty z zamordowanym Dymeckim, potraktował prośbę policji nadzwyczaj honorowo. Pozostawił swoje kino do pełnej dyspozycji. Mało tego – zgodził się fikcyjnie zatrudnić na ten jeden wieczór zarówno Sandiego (w charakterze kelnera w holu), jak i aspirantkę Przysługę – jako bileterkę, sprawdzającą rozprawdane rekordowo szybko zaproszenia na benefis.

Sam Kaczmarek postanowił zająć strategiczne miejsce na balkonie, zaraz przy poręczy. Podczas wizytacji miejsca akcji uznał, że właśnie z tego miejsca będzie miał doskonały ogląd sytuacji na położonej niżej widowni. Nie mógł wszak wykluczyć, że skrajnie zdeterminowany zamachowiec w spódnicy w ostatniej chwili zmieni swoją broń na zdecydowanie szybszą, byle tylko śmiertelnie dosięgnąć znajdującego się na scenie Jęczkowiaka. Doświadczenie podpowiadało mu, że finałowa rozgrywka wcale nie musi wyglądać tak, jak to sobie założył. Na wszelki wypadek chciał mieć pod kontrolą dosłownie każdą część sali.

Aby mieć pewność, że cały zespół rozumie swoje zadania, na dziesiątą zwołał ostatnią odprawę. W gabinecie Kaczmarka punktualnie zameldowali się aspiranci Przysługa, Anioła i Rogala oraz przodownik Gruszecki i – wezwany w charakterze wsparcia – starszy przodownik Borowczak. Komisarz uznał, że ta piątka plus jego skromna osoba stanowią wystarczającą ekipę, by ująć morderczynię Kopy i Dymeckiego. Nie wezwał natomiast Sandiego – doszedł do wniosku, że ten po nocy spędzonej w pracy w Palmarium powinien przede wszystkim dobrze się wyspać. Wystarczy, że porozmawia z nim godzinę przed akcją.

Policyjny zespół Kaczmarka prezentował się obiecująco. Młodzi ludzie wyglądali na zdeterminowanych, by zakończyć śledztwo i nakryć sprawcę na gorącym uczynku. A przynajmniej na jego próbie. Szczególną energią tryskał Borowczak. Wyłączony ze sprawy inwigilacji Rüdigera, najwyraźniej czekał na nowy ekscytujący angaż. I się doczekał.

– Panowie... Hm, przepraszam. Panie i panowie – poprawił się szybko Kaczmarek, spoglądając przepaszająco w kierunku aspirantki z Warszawy. – Przed nami niezwykle ważne zadanie. Jeśli popełnimy jakikolwiek błąd, możemy już nigdy nie złapać osoby odpowiedzialnej za odrażające zabójstwa Jędrzeja Dymeckiego i Wojciecha Kopy. Albo, co gorsza, narazić na niebezpieczeństwo kolejne osoby, które z nieznanymi nam wciąż powodów znajdują się na celowniku tej diablicy. Za chwilę zobaczycie jej portret pamięciowy, sporządzony przez rysownika gdyńskiej policji na podstawie relacji prezesa Jęczkowiaka i przez niego autoryzowany. Zapamiętajcie tę twarz! Z góry wszakże uprzedzam: raczej nie zobaczycie jej dziś wieczorem w Słońcu. Bohater benefisu widział już zabójczynię i ona doskonale zdaje sobie sprawę, że jej fizis jest znana policji. Podejrzewam, że znowu posłuży się jakąś maskaradą. Podobnie jak podczas wizyty w Palmarium...

Mówiąc to, komisarz wyjął z leżącej przed nim na biurku teczki pięć kopii rysunku przysłanego im tego samego dnia wczesnym rankiem w trybie ekstraordynaryjnym z Gdyni. Sobie zostawił szósty. Po raz kolejny zobaczył piękną, dobiegającą być może trzydziestki kobietę o ciemnych włosach i takich samych oczach, których urodę podkreślały kruczoczarne, mocno zarysowane brwi. Nieco wystające kości policzkowe w połączeniu ze szczupłą twarzą i dość wąskimi ustami nadawały poszukiwanej nieco demonicznego charakteru...

Starszy przodownik Borowczak zerknął na podany mu rysunek i... ręka mu zadrżała.

– To... ona! – wyjąkał, a jego twarz oblał rumieniec emocji. – To ona była z Rüdigerem trzy lata temu, kiedy śledziłem ich w lokalu!

Kaczmarek poczuł mocniejsze uderzenie serca. Właśnie znalazł się o jeden szczebel wyżej rozwiązania zagadki! Morderczyni działała w porozumieniu z Rüdigerem?! Czyżby ten cholerny Niemiec również miał coś wspólnego z ostatnimi zabójstwami?

– O w mordę! – spuentował mało parlamentarnie. – Tego się nie spodziewałem!

– Być może wyglądała ciut młodziej, panie komisarzu... Ale mogę dać sobie rękę uciąć, że to ona. Widać z niej takie samo ziółko jak z tego Niemca! – Borowczak mimowolnie złapał się dłonią za skroń, która przyjęła wtedy potężne uderzenie.

– O, być może nawet lepsze – skomentował komisarz. I zaraz podniesionym głosem powiedział: –Sami widzicie, że mamy do czynienia z wyjątkowo perfidną, niecofającą się przed niczym personą! Podejrzewam, że zaatakuje także dziś wieczorem w kinie Słońce. Informacja o benefisie Jęczkowiaka musiała wyprowadzić ją z równowagi. Była wszak przekonana, że zgładziła prezesa. Celowo wyprowadziliśmy ją z błędu, aranżując całą imprezę. Pretekst jest może nieco naciągany, ale nie sądzę, by niezbyt okrągły jubileusz mojego przyjaciela wydał się jej podejrzany. Tym bardziej że trąbią o nim, gdzie się da...

– To naprawdę ładna kobieta – odezwał się blady jak trup Borowczak. – Nie wydaje mi się, by umknęła naszej uwadze. Za taką pięknością mężczyźni zwykle oglądają się na ulicy...

– Przodowniku Borowczak! – przywołał podwładnego do porządku komisarz. – Nie słuchaliście tego, co mówiłem! Jestem pewien, że ta

diablica nie wystąpi w Słońcu z odkrytą przyłbicą. Oznacza to, że musimy być czujni i mieć się na baczności! Czy mam to powtórzyć po raz trzeci?!

Przodownik spuścił wzrok, nie mogąc dłużej patrzeć na czerwoną ze złości okrągłą twarz szefa.

– No! – sarknął komisarz, ciągle niezadowolony z poziomu koncentracji swoich podwładnych. – Ostrzegam was nie bez kozery! Ta kobieta to osoba, której nie wolno nam nie doceniać! Posługuje się toksynami, a Bóg jeden wie, czym jeszcze. Może coś zaaplikować każdemu z nas. Jeśli się zagapicie i was otruje, zwyczajowa reanimacja może się nie udać!

Powiódł surowym wzrokiem po twarzach podkomendnych, by przekonać się, że jego słowa wreszcie do nich dotarły. Najgorsze, co mogło się im wszystkim przytrafić, to zlekceważenie przeciwniczki. Tego błędu nie zamierzał popełnić.

Z twarzy swoich ludzi wyczytał, że zrozumieli skalę niebezpieczeństwa.

– No dobrze – podsumował ten etap przygotowywania akcji. – Skoro już wiecie, jak wygląda ta ślicznota o morderczych instynktach, pora przejść do waszych zadań. Omówimy teraz podział ról i miejsca, które zajmiecie. Spójrzcie na ten plan...

### *Okolice placu Wolności, siedemnasta trzydzieści*

Prezes Józef Jęczkowiak, choć od dość dawna zamieszkały w Gdyni, okazał się dla pamiętających jego zasługi poznanianek i poznaniaków prawdziwym magnesem. Przez bramę kamienicy przy placu Wolności 6 ciągnęły więc ku ukrytemu w podwórzu wejściu do nowoczesnego kina Słońce prawdziwe tłumy przyjaciół, znajomych, oficjeli, a nade wszystko dawnych towarzyszy broni Jęczkowiaka, pamiętających doskonale jego powstańcze zasługi z grudnia 1918 roku oraz brawurowe dowodzenie

podczas odsieczy Lwowa wiosną 1919 roku. Rozprowadzane dzięki pomocy związków kombatanckich zaproszenia rozeszły się – mimo późnej pory ogłoszenia benefisu – jak ciepłe bułeczki. Każdy, kto miał z szacownym jubilatem cokolwiek do czynienia, pragnął znowu go zobaczyć i usłyszeć. Wzmianki prasowe o tym, że prezesuje Związkowi Oficerów Rezerwy na Wybrzeżu, dodatkowo wzbudziły zainteresowanie jego osobą. Pojawiły się nawet plotki, że benefis poznański może oznaczać powrót Jęczkowiaka do Poznania, być może na wysokie stanowisko państwowe.

Sam bohater mistyfikacji przyjechał godzinę wcześniej do Poznania policyjnym samochodem w obstawie trzech funkcjonariuszy z Gdyni. Jego rodzina w Gdyni została objęta ścisłą ochroną. Kaczmarek zadbał o najdrobniejszy szczegół związany z bezpieczeństwem Jęczkowiaka i jego bliskich – na wypadek, gdyby prowokacja nie przyniosła pożądanych efektów, a sprawczyni całego zamieszania wydostała się ze Słońca i nadal stanowiła zagrożenie dla rodziny prezesa.

Kaczmarek przywitał Jęczkowiaka w swoim gabinecie. Znowu padli sobie w objęcia, wspominając dawne, młodzieńcze przeżycia na Świętym Marcinie, wspólne uganianie się z niemieckimi żandarmami czy przeszłość w POW.

– Józek – komisarz nabrał poważnego tonu, bo nieuchronnie zbliżała się godzina sprokurowanego benefisu – najmocniej cię przepraszam za całą tę maskaradę. Sam jednak rozumiesz, że nie miałem wyboru. W innym przypadku nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że szybko będziesz znowu bezpieczny.

Jęczkowiak machnął ręką. Choć w pensjonacie w Orłowie przeżył szok, zdążył już ochłonąć i oswoić się z ryzykiem.

– Ta kobieta... – zagadnął. – Co o niej właściwie wiecie?

– Niewiele ponad to, jak wygląda – mruknął Kaczmarek. – Motywy jej działania nadal pozostają nieznane. Prawdopodobnie realizuje jakąś zemstę. Tylko za co?

Jęczkowiak westchnął. Choć przyjaciel w stopniu komisarza policji prosił go o wytypowanie potencjalnych wrogów, przez kilka dni dzielących go od przyjazdu do Poznania nie potrafił sprecyzować choćby jednego nazwiska. Tym bardziej nie był w stanie wskazać kobiety, która mogłaby mieć jakikolwiek powód do zamachu na jego życie. Cała ta historia była dla niego wielką makabryczną niewiadomą. Dlatego bez wahania zgodził się na udział w przygotowywanej przez Kaczmarka prowokacji.

– Biniu, obiecaj mi tylko jedno – odezwał się cicho.

– Tak?

– Że gdyby coś...

– Nie będzie „coś” – zachnął się Kaczmarek.

– Ale gdyby jednak! No wiesz, diabli wiedzą, jak to się skończy...

Komisarz mrugnął, dając do zrozumienia, że wszystko rozumie. Na wszelki wypadek wolał jednak nie wypowiadać stosownej obietnicy. Nie należał do ludzi przesądnych, ale w tej akurat sprawie uznał, że lepiej nie kusić losu.

– Czyli co? – Jęczkowiak poderwał się z krzesła i plasnął dłońmi w uda. – Zgrywam pajaca na scenie i czekam, aż ktoś do mnie strzeli z widowni?

To było pytanie w stylu dawnego sierżanta, a potem porucznika Jęczkowiaka, jakiego Kaczmarek zapamiętał z powstania. Nic dziwnego, że mimowolnie uśmiechnął się pełną gębą.

– Aj tam, od razu strzeli! Może raczej znowu spróbuje cię otruć?

– Ale jak?

– Nie wiem, bracie. Pojęcia nie mam. Na wszelki wypadek niczego nie pij ani nie podjadaj.

– Ale jakże to tak o suchym pysku na własnym jublu siedzieć? – Jęczkowiak się roześmiał.

– Musisz wytrzymać, kochany. Musisz. Dlatego... – Kaczmarek puścił oko, przysuwając się do szafki w rogu pokoju. – Dlatego przygotowałem dla ciebie coś wcześniej, żebyś na scenie nie cierpiał na „suchoty”...

Chwilę później komisarz delikatnie zamknął drzwi swojego gabinetu na zamek, a potem trącił się z Jęczkowiakiem kieliszkiem wódki Baczewski.

– Za twój benefis – wzniosł toast.

– Cholera jasna! Obym go tylko przeżył.

### *Kino Słońce, pół godziny później*

Komisarz podzielił trzy prowadzące do Słońca bramy kamienic pomiędzy Sandiego, Borowczaka i Rogalę. Szczególnie liczył na spostrzegawczość dwóch pierwszych, wszak obaj widzieli już morderczynię Dymeckiego. Sandi, co prawda, jedynie w woalce, ale na pewno zapamiętał jej sylwetkę. Borowczak ciągle miał za to w pamięci dramatyczne wydarzenia sprzed trzech lat i było więcej niż pewne, że nie przeoczy nikogo choćby odrobinę podobnego do widzianej przez niego femme fatale. Rogala musiał się zadowolić wizerunkiem kobiety przesłanym z Gdyni. Wsparciem dla tej trójki miał być Gruszecki, operujący przy samym wejściu do przybytku X muzy. Aniołę i Przysługę Kaczmarek wolał mieć przy sobie, w obszernym holu kina, gdy będzie się on zapełniał gośćmi. Aniołę uważał za jednego ze swoich najbystrzejszych podwładnych, a o niestandardowych umiejętnościach aspirantki Przysługi zdążył się już przekonać. Coś podpowiadało mu, żeby nie oddalał jej bez powodu. Była wszak jedyną

kobietą w ich zespole. I zdaje się, że świetnie wyczuwała sposób działania morderczynie. A przynajmniej tak się Kaczmarkowi wydawało.

Komisarz zajął miejsce na balkonie. Akcja miała rozpisanych kilka wariantów. Jeśli żaden z rozstawionych wywiadowców nie rozpoznałby morderczynie przed rozpoczęciem imprezy, Anioła miał opuścić hol i przejść na miejsce pod balkonem, a więc na podstawowy poziom widowni. Z kolei Przysługa i przebrany za kelnera Sandi mieli zająć pozycje przy kasach i stolikach z przekąskami. Zwłaszcza te ostatnie z wiadomych względów poważnie niepokoiły Kaczmarka. Przy głównym wejściu do kina miał trwać Gruszecki. W odwodzie zostali Rogala i Borowczak, którzy podczas benefisu mieli swoje stanowiska wokół budynku kina. W przypadku, gdyby zdemaskowana zabójczynie usiłowała zbiec, mieli za zadanie ująć ją na zewnątrz, posuwając się nawet do użycia broni.

Plan wydawał się Kaczmarkowi kompletny i w miarę elastyczny, ale niemałe już doświadczenie zawodowe podpowiadało mu, że nie wszystko musi przebiegać według założonego scenariusza. Przeciwniczka sprawiała wrażenie osoby diabolicznie wręcz przebiegłej, co mogło wróżyć niemałe komplikacje.

Pięć minut przed osiemną wbito w tyleż elegancki, co pijący go pod pachami i w pasie smoking Kaczmarek zaczął się niepokoić.

Widownia była już szczelnie wypełniona gośćmi w strojach wieczorowych, on tymczasem nie otrzymał od żadnego z przełożonych informacji, że do kina weszła osoba o wyglądzie poszukiwanej. W razie zaistnienia takiej sytuacji Kaczmarek miał dowiedzieć się o tym natychmiast, by wraz z podkomendnymi ująć kobietę. Tymczasem komisarz tkwił na swoim miejscu, obserwując w desperacji i nerwach ciągle pustą scenę i lustrując głowy osób w pierwszych rzędach...



Zerknął raz jeszcze w dół, na pierwsze rzędy, a kiedy uspokoił się spostrzeżeniem, że żadna z siedzących tam dam nawet nie przypomina osoby z portretu pamięciowego, zerwał się z miejsca i niemal wybiegł do holu.

Szeroki korytarz był prawie pusty. Przy stolikach, na których lada chwila miały się pojawić koktajle i przekąski, spacerował wolnym krokiem Sam Sandi w efektownym białym garniturze, pięknie podkreślającym jego egzotyczne pochodzenie. W kącie zaś, przy kasach, na skromnym stołku siedziała niewinnie wyglądająca bileterka o twarzy Przysługi.

– Co jest, cholera jasna?! – Kaczmarek dopadł do Sandiego, łapiąc go za wyłogi stroju. – Dlaczego nikt mi nic nie raportuje?!

Wykidajło z Palmarium wykazał więcej spokoju i opanowania. Ani drgnął, odwracając ledwie twarz w stronę komisarza.

– Na pewno nie weszła – oświadczył Kaczmarkowi cichym głosem. – Ja nie widziałem, oni też nie.

– Niemożliwe... – szarpnął się Kaczmarek. – Drobną, zgrabną... Widziałeś przecież... Musiała być w tym tłumie! Może ją przeoczyłeś? Może...

– Spokojnie, Zbyszek. Spokojnie. – Sandi zachowywał zimną krew i nie dał się wytrącić z równowagi. – Trzymajmy się planu, a będzie dobsze...

Komisarz opuścił dłonie, rozglądając się na boki. Na szczęście jego nerwowa, mało profesjonalna reakcja nie wzbudziła uwagi nielicznych spóźnionych gości przemykających do sali głównej. Musiał się opanować, za wszelką cenę zachować spokój – i pokerową twarz.

– Pilnuj koktajli – nakazał Samowi i ruszył wolnym krokiem ku aspirantce Przysłudze.

Warszawianka wspaniale wtopiła się w tłum. Nie zwracała na siebie uwagi, stojąc obok kosza pełnego blankietów zaproszeń. Przysługa miała

być drugim filtrem, jeśli pierwszy – na bramach wejściowych – zawiedzie. Dlatego komisarz właśnie do niej się udał.

– I co? Pani też jej nie widziała?

– Niestety, panie komisarzu – odpowiedziała szeptem. – Mam wrażenie, że na uroczystość przyszły same szacowne matrony w słusznym wieku... Żadnej młodej brunetki nie widziałam.

– Niech to szlag... – zaklął Kaczmarek pod nosem.

– Co robimy, panie komisarzu?

– Jak to: co? Oczy i uszy szeroko otwarte! Ona tu musi być. Czuję to...  
A pani?

– Ja też, panie komisarzu. W środku aż cała drzę.



Głęboko osobiste wyznanie aspirantki Przysługi poruszyło Kaczmarka. Aby dodać funkcjonariuszce otuchy, położył dłoń na jej ramieniu i spojrzał na nią serdecznie.

Podziałało. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. W niczym nie przypominała teraz rezolutnej policjantki, pewnej stawianych przez siebie hipotez w jego gabinecie.

– Czuwamy! – szepnął do niej Kaczmarek, a potem ruszył ku scenie.

W samą porę, bo zgromadzona w obniżeniu przed sceną orkiestra właśnie zaczęła grać *Mazurka Dąbrowskiego*. Zebrani na sali goście poderwali się na równe nogi, by uszanować hymn narodowy. Wykorzystując powstałe zamieszanie, komisarz zgrabnie zajął swoje miejsce na balkonie. Schowane pod pachą parabellum gniotło go niemiłosiernie, ale ignorował ten dyskomfort. Zamiast tego raz jeszcze powiódł wzrokiem po widowni.

Wszyscy stali, śpiewając hymn, widział więc doskonale gości. Wśród kobiet dominowały blondynki i osoby siwe, z misternie upiętymi fryzurami. Jedyna brunetka, jaką wypatrzył, była już w podeszłym wieku – z pewnością nie stanowiła zagrożenia dla Jęczkowiaka.

Tymczasem orkiestra przestała grać, a na scenie pojawił się konferansjer w nieco staromodnym fraku. W kilku zgrabnych zdaniach powitał publiczność i zapowiedział rychłe pojawienie się bohatera wieczoru.

Kurtyna poszła w górę i oczom zgromadzonych ukazał się prezes Jęczkowiak. Odziany w mundur paradny, wyglądał szczuplej niż godzinę wcześniej w gabinecie Kaczmarka. Jego wejście wzbudziło ożywiony gwar na widowni.

Prowadzący imprezę poprosił, by jej bohater usiadł w fotelu, a sam zajął miejsce obok i rozpoczął luźną rozmowę z Jęczkowiakiem. Kaczmarek nie słuchał jednak nawet jednym uchem tego, co miał do powiedzenia jego przyjaciel. Zamiast tego podniósł się i opuścił swoje miejsce, zostawiając za plecami słońce i gwiazdy wymalowane na błękitnym suficie kinoteatru. Przepychając się pomiędzy dwoma zażywnymi gośćmi, zszedł z górnej części widowni.

Ta cisza i kompletny brak akcji drażniły go, wyprowadzały z równowagi. Podskórnie wyczuwał, że coś tu nie gra. Nie potrafił sobie wyobrazić, że kobieta, która zgładziła dwóch weteranów, a potem nie osiągnęła dwóch kolejnych celów, nie skorzysta z okazji podanej jej niemal na tacy. Czyżby wyczuła, że to pułapka? Może reklama benefisu okazała się zbyt nachalna?

Walcząc z wątpliwościami, zlustrował znowu hol. Widząc, że świeci pustkami, rzucił tylko porozumiewawcze spojrzenie swoim ludziom, a następnie znalazł się w drzwiach wejściowych i wyjrzał na zewnątrz.

Parne powietrze majowego wieczoru zapowiadało burzę. Nad miastem wisiały już siwe chmury nabrzmiałe od deszczu. Być może właśnie gwałtowny niż, a może niepewność sytuacji spowodowały, że Kaczmarek był coraz bardziej nerwowy. Widząc zaskoczoną twarz Gruszeckiego palącego na boku sfinksa czy coś w tym guście, wpadł w złość.

– Co jest, Gruszecki?! – krzyknął do swojego człowieka. – Ty masz być zwarty i gotowy, a nie kurzyć mi tu papierochy!

– Kiedy ja... – próbował się wytłumaczyć wywiadowca w szarym prochowcu, ale szybko zgasł, widząc nieprzejednaną twarz komisarza.

– Ty też nie widziałeś nic podejrzanego?

– Niestety, panie komisarzu. Jej chyba po prostu tu nie ma...

– Zła odpowiedź! – zeźlił się nie na żarty Kaczmarek. – Skąd to możesz wiedzieć, szcunie?! Waruj mi tu i pilnuj, by nikt ci nie umknął! Ona tam jest! Czuję to!



Kwadrans później komisarz był już po szybkiej inspekcji rozstawionych po bramach Borowczaka i Rogali. Oni również nie dostrzegli w tłumie gości żadnej kobiety, która przypominałaby tę znaną im z portretu pamięciowego. Z ich twarzy Kaczmarek wyczytał to samo zwątpienie, które malowało się na młodym obliczu Gruszeckiego. I to wkurzyło go ostatecznie.

– Panowie, kurwa mać! – zaklął jak rzadko. – Albo jesteście na służbie, albo rozchodzimy się do domów! Ona tam jest! Na pewno nie przeoczyłaby takiej okazji.

– Ale... – wyrwało się Rogali.

Zaraz potem szofer komendy zrobił się cały czerwony.

– Nie ma żadnego „ale” – przerwał mu Kaczmarek, grożąc palcem. – Działamy do końca odpowiedzialnie i profesjonalnie. Stoicie tu w gotowości, póki was osobiście nie odwołam. Jasne?!

Utyskując na brak ducha w młodym pokoleniu, Kaczmarek wrócił pospiesznym krokiem do gmachu kina. Opinający smoking irytował go coraz bardziej, a rękojeść gnata pod pachą gniotła w pierś. I jemu przez głowę przemknęło, że dobrze by było, gdyby ta cała maskarada szybko się skończyła. Zaraz potem skupił się na tym, co działo się na scenie.

Konferansjer wzniecił właśnie burzę oklasków, pytając szacownego bohatera benefisu o jego najserdeczniejsze wspomnienie z czasów, kiedy wraz z przyjaciółmi z kompanii skautowej zdobywał fort Grolmana i wypędzał niemieckich zaborców z miasta w grudniu 1918 roku. Wyczuwało się, że na widowni dominują ludzie, którym temat ten nie jest obcy. Co więcej, którzy w powstańczych przeżyciach Jęczkowiaka mieli też swój udział.

Kaczmarek po raz kolejny obejrzał dokładnie gości w rzędach położonych pod balkonem. Większość widzów stanowili mężczyźni w mundurach Wojska Polskiego lub w odświętnych ubraniach cywilnych. Towarzyszące im kobiety zdawały się dużo starsze od poszukiwanej przez ekipę Kaczmarka.

Do diabła, to jeszcze nic nie znaczy – pomyślał policjant. Kobiety mają przecież te swoje sztuczki. Jednego dnia mogą być blondynkami, a drugiego, po wizycie w zakładzie fryzjerskim – kruczoczarnymi pięknosciami. W dodatku Kaczmarek nie uznałby się w żadnym stopniu za eksperta w tej niezwykle delikatnej materii, jaką jest szacowanie wieku damy przygotowanej na wieczór w towarzystwie...

– To był sukces nie mój, lecz nas wszystkich – przemówił skromnie ze sceny prezes Jęczkowiak, zbierając zasłużone oklaski.

Kiedy w krótkich żołnierskich słowach opowiadał, a w zasadzie przypominał zebranym, jakim cudem powstańcom udało się opanować dobrze obsadzony fort niedaleko browaru Huggerów, w oku Kaczmarka zakręciła się nagle łąza. Był tam, widział to wszystko na własne oczy. Wątpliwość ich sił, szczęśliwy fortel przy bramie fortu, zaskoczenie Niemców, wreszcie zaskakujący, oszałamiający triumf... Ech, też miałyby co opowiadać!

Wykorzystując kolejne oklaski, opuścił balkon i zszedł niżej, by wymienić kilka uwag z Aniołą.

Aspirant wyglądał na znudzonego. Rozglądał się jednak uważnie, starając się wyłapać wszystko, co nietypowe.

– I co?

– Nic, panie komisarzu – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Musimy uważać, Grzesiu.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Za chwilę ogłoszą przerwę. Kiedy prezes pojawi się w holu przy koktajlach, grupujemy się wokół niego.

– Tak jest.

Kaczmarek chciał jeszcze raz wyjść z kina i przywołać do holu Gruszeckiego, ale już nie zdążył. Ostatnie zdanie wypowiedziane ze sceny przez Jęczkowiaka wywołało falę oklasków. Zaraz po niej prowadzący rozmowę konferansjer zaprosił widzów „na koktajl do foyer”.

Komisarz wraz z Aniołą ruszyli przed wszystkimi do wyjścia. Kaczmarek koniecznie chciał być w holu, gdy zaczną napływać goście benefisu. Udało się. Wraz z aspirantem zajęli miejsce blisko stołów, na których obsługa rozstawiła już koktajle i tace z przekąskami. Kilka kroków dalej stał Sandi, udatnie udając kelnera. Na stołku w rogu holu nadal siedziała aspirantka Przysługa.

Chwilę później w foyer zrobiło się tłoczno. Komisarz pojął w lot, że ten fragment uroczystości okazał się najsłabszym punktem ich planu. Jakim cudem nie przewidzieli, że odległości między uczestnikami benefisu będą tak niewielkie?! Jeśli za chwilę w ten gęsty tłum wejdzie bohater spotkania, nie będą w stanie w żaden sposób ochronić go przed atakiem nożem czy innym ostrym narzędziem. O broni palnej nie mówiąc...

Poczuł ciarki na plecach i pot na szyi.

Co robić, do jasnej cholery?

Zakazać Jęczkowiakowi wyjścia do holu?

Nie, tego przecież nie da się już cofnąć...

Rozejrzał się nerwowo wokół. Każda z osób, które widział, zasłaniała kolejną, a ta kolejna następne. W takim tłoku nie sposób było dojrzeć nadciągające niebezpieczeństwo.

Czy ta kobieta też tu jest?

Czy skorzysta z okazji i zaatakuje?



Szcześnie trafem Jęczkowiak nie nadchodził. Zupełnie jakby telepatycznie porozumiał się z Kaczmarkiem i postanowił przetrwać przerwę w bezpiecznym ukryciu na zapleczu. Komisarz poluzował kołnierzyk koszuli i niezgrabnie namacał dłonią po pachą obły kształt kabury. Może jednak nie wydarzy się nic złego.

Może...

A jeśli ona przebrała się za mężczyznę?

Świat wokół zawirował Kaczmarkowi niczym barwny slajd.

Zobaczył wysokiego, szczupłego konferansjera, który przedzierał się samotnie przez gęstą ludzką ciżbę, torując sobie drogę trzymaną w dłoni

białą laską. Szedł samotnie, Jęczkowiaka nigdzie nie było widać.

Komisarz poczuł bolesny ucisk w piersi. Nie wytrzymał i doskoczył do konferansjera.

– Gdzie jest Józek?! – zapytał. – Gdzie jest Józek Jęczkowiak?!

Smukły młody człowiek spojrzał na Kaczmarka jak na wariata.

– Pan prezes poszedł do swojego apartamentu – odpowiedział spokojnym tonem.

– I całe szczęście... – sapnął komisarz.

– Czeka tam na niego żona.

– Żona?! Jaka żona?! – szarpnął się śledczy.

– Jak to jaka? Jego własna. Zrobiła mu niespodziankę, rozmawiałem z nią przed chwilą...

– Jezuuus Maria! – wyrwało się Kaczmarkowi.



Komisarz w jednej chwili zbladł, a zaraz potem zrobił się czerwony, jakby doznał wylewu.

– Gdzie?! – wycharczał z trudem. – Gdzie jest ta żona?!

– Czeka w salce na zapleczu, za ekranem...

– Anioła! Za mną! – ryknął Kaczmarek, przerażony świadomością, że wszyscy dali się okrutnie okpić.

Z ledwie tłącą się nadzieją, że jeszcze nie jest za późno, rzucił się biegiem ku korytarzowi prowadzącemu na zaplecze kinoteatru.

Zaciśniętą pięścią rozpychał ludzi stojących mu na przeszkodzie. Zaraz podniosły się krzyki oburzonych, ale nie zważał na protesty.

Parł przed siebie jak zamroczony.

Aspirant Anioła podążał posłusznie za szefem.



W tym samym momencie do biegu zerwali się bileterka i kelner.

---

40 W międzywojennym Poznaniu zwyczajowe określenie placu Wolności.

# *UND SCHLUSS*



### ***E. Bodo nadal w Poznaniu***

*Sensacyjna nowość, jaką obecnie cały Poznań przeżywa, to zjawienie się słynnego piosenkarza polskiego i bezsprzecznie najlepszego amanta – aktora filmowego Eugenjusza Bodo w naszym grodzie. E. Bodo występuje codziennie po każdym seansie filmu „Pieśniarz Warszawy” na scenach kin Apollo i Metropolis, odnosząc swymi produkcjami artystycznymi nie tylko huraganowe brawa, ale wprost zawrotny triumf swego powodzenia. Cała widownia szaleje po prostu z radości i darzy go nadzwyczajnym entuzjazmem podziwu.*

„Dziennik Poznański”, 5 maja 1934

### *Zaplecze kina Słońce, kwadrans przed dziewiętnastą*

Kilkadziesiąt kroków dzielących hol od pomieszczeń magazynowych położonych za sceną było najdłuższym i najbardziej dramatycznym dystansem pokonanym przez komisarza Kaczmarka w jego dotychczasowej karierze. Biegł z poczuciem, że wszystko stracone. Że pozostało mu już tylko odnotować straszną rzeczywistość. Że zawiódł w dodatku swojego najlepszego przyjaciela. Nie tak to się miało skończyć...

Jakież było jego zdumienie, gdy wpadł na wąski, słabo oświetlony korytarz, by zobaczyć... Józka Jęczkowiaka, stojącego przy drzwiach pokoju, do którego został rzekomo wezwany! Przyjaciel trzymał dłoń za klamkę i rozglądał się wokół. Na widok nadbiegającego Kaczmarka roześmiał się w głos.

– Świetnie, Biniu! – zawołał. – Mam ją! Tę trucicielkę! Jest tu, w tym pokoju! Pod kluczem! Gdy tylko przekazali mi, że przyjechała moja żona, zrozumiałem, że to podstęp. Przyszedłem tutaj, by ją uwięzić. A że akurat klucz był w zamku...

Łoskot kamienia spadającego z otłuszczonego serca Kaczmarka słyszano zapewne aż na Starym Rynku.

– Matko Boska, Józek! – przywarł do przyjaciela jak w dawnych, frontowych czasach, gdy jeden drugiemu ratował życie. – Świetna robota! Naprawdę! Ale... czy jesteś pewny, że ona tam jest?! Zajrzałeś wcześniej?

Towarzyszący Kaczmarkowi funkcjonariusze w cywilu nie do końca rozumieli, co się dzieje. Spoglądali to na szefa, to na prezesa i dopiero rzut oka na klucz w zamku uświadomił im, w czym rzecz.

– A po co? – zdziwił się Jęczkowiak. – Przecież wiadomo, że tam na mnie czeka. Tak przekazał mi facet, który prowadzi tę imprezę.

– No tak! Jasne! – zgodził się Kaczmarek, a potem wyciągnął broń i odbezpieczył.

Wycelowwał w drzwi i odsuwając Jęczkowiaka, stanął tuż przy nich.

– Cofnij się, Józek! Teraz może być ostro. Może ona ma broń?!

Prezes posłusznie wykonał polecenie. Do komisarza zbliżyli się jego podwładni, również wyciągając broń. Najbliżej, tuż przy ramieniu Kaczmarka, stanęła aspirantka Przysługa z pistoletem w dłoni. W normalnych warunkach komisarz pewnie by zaoponował, ale okoliczności nie były zwyczajne.

– Na „trzy” wchodzimy! – rozkazał, czając się do skoku i wskazując wzrokiem Aniole, by przekręcił klucz w drzwiach.

Podwładny wykonał rozkaz.

– Raz! Dwa! Trzy! – krzyknął komisarz.

Wolną lewą dłonią szarpnął za klamkę, wpychając prawą, uzbrojoną w parabellum, do środka.

Wbiegli w nieprzeniknione ciemności i dopiero czyjś przytomny ruch włączył światło.

Kaczmarek aż się skulił, znalazł się bowiem jak na widelcu.

Celował w przestrzeń pokoju wypełnionego różnymi kinowymi sprzętami, darmo wszakże poszukując żywego celu.

Sala magazynowa była pusta.



– Gdzie ona jest?!

– Musiała się gdzieś ukryć!

– Zobaczcie w tych skrzyniach!

– Może za tą kotarą?!...

– Ostrożnie!

– Nie ma jej! Nie ma!

– Za tą szafą?!

– Też nie!

– Panie komisarzu! Okno! Za kotarą jest okno!

– Cholera jassna! Musiała nawiać! Anioła! Przysługa! Za mną!

Wypadli z zakurzonego i zagraconego pokoju tak samo szybko, jak tam wpadli. Gdy tylko znaleźli się w wąskim korytarzu, ruszyli chaotycznie ku głównemu wejściu. Zebrany w holu tłum gości patrzył na pościg tak, jakby oglądał z góry zaplanowane przedstawienie. Sensacji nie wzbudziła nawet broń widoczna w rękach ścigających.

W momencie, gdy wybiegali na dziedziniec, pośród okalających kino kamienicznych murów rozległ się strzał.



Celował Gruszecki. Stał w lekkim rozkroku jak podczas ćwiczeń na policyjnej strzelnicy.

Zobaczyli go wszyscy niemal w tej samej chwili.

A zaraz potem jakiś cień w bramie prowadzącej ku Świętemu Marcinowi. Cień, który nagle zachwiał się i runął na bruk.

Ale to nie strzelił Gruszecki.

Widząc przed lufą kobietę, przodownik się zawahał.

Uprzedziła go aspirantka Przysługa.

Oddała strzał zza pleców Kaczmarka zupełnie bez przymierzania.

– To ona! Brać ją! – krzyknął komisarz.

Cała obława rzuciła się w stronę postrzelonej.

Kobieta trzymała się za udo, nieudolnie próbując się podnieść. Nie miała jednak żadnych szans na ucieczkę. Pierwszy dopadł do niej Anioła, zaraz potem Gruszecki i Kaczmarek. Gdy obok nich zatrzymała się zdyszana Przysługa, blondwłosa kobieta z udatnie umalowanymi na siwo skroniami uniosła ku nim twarz. Zobaczyli grubą warstwę makijażu, układającego się w cienie pod oczami, które miały ją postarzyć. Spod zbyt obszernej, rozdartej sukni w okolicy bioder wyszła gąbka, zniekształcająca jej prawdziwą sylwetkę...

Malowane krwistą szminką usta wygięły się w grymas, niebędący jednak wyrazem bólu. W jej czarnych oczach nie widać było strachu ani zwątpienia.

– *Und Schluss...*<sup>41</sup> – powiedziała tylko, jakby właśnie zakończyła długą, wyjątkowo męczącą pracę.

*Prezydium Policji, niedziela, 6 maja 1934 roku, kwadrans przed dziesiątą*

– Co o niej wiemy? – zapytał inspektor Zygfryd Kayser, gryząc ustnik swojej najbardziej efektownej fajki, irlandzkiego petersona.

Był zniecierpliwiony, bo od chwili ujęcia kobiety minęło już grubo ponad dwanaście godzin, a on ciągle nie wiedział, co przekazać w sprawozdaniu dla Komendy Głównej w Warszawie. Sprawa nie cierpiała zwłoki, bo strzał oddany poprzedniego wieczoru na podwórzu przed kinem usłyszało wiele osób niepożądanych i temat przeniknął do prasy. Od rana jej przedstawiciele tłoczyli się przed wejściem do Prezydium, żądając podania szczegółów tajemniczej akcji na zapleczu Słońca. Gryziopiórki z gazet wydzwaniały też do Komendy Głównej w Warszawie.

Kaczmarek, który stał przy oknie, taksując wzrokiem pismaków na ulicy, poruszył się niespokojnie.

– Ona nic nie mówi– odpowiedział. – Nie podała nam nawet swoich danych. Ale to akurat okazało się łatwe do ustalenia.

– Tak?

Komisarz zerknął w akta sprawy.

– To Erica Gnadenstein, obywatelka polska narodowości niemieckiej, zamieszkała w Poznaniu przy Wałach Jagiełły siedemnaście<sup>42</sup>.

Kayser drgnął, jakby dopiero co usiadł na pinezce.

– Niemka? – Skrzywił się z niesmakiem. – To niedobrze, bardzo niedobrze. Sam wiesz, Biniu, jak to teraz jest między nami i Niemcami...

– No właśnie, jak jest? – sarknął Kaczmarek.

Wszelka polityka, a już zwłaszcza propagandowe sztuczki, niezmiennie go mierzyły.

– No... jest dobrze. A nawet świetnie. W Warszawie robią, co mogą, by udawać, że następuje wreszcie ocieplenie. Dopiero co otworzyli linię lotniczą z Berlinem... A tu taki klops! Co robić?

– Jak to co, szefie? – Kaczmarek nie dowierzał temu, co właśnie usłyszał. – Prokuratura sporządzi akt oskarżenia i osądzimy tę babę. Należy się jej jak chyba nikomu wcześniej...Zabiła dwóch zasłużonych Polaków, a na dwóch kolejnych polowała... I o mały włos nie zabiła mojej żony! Takich rzeczy się nie wybacza!

– No trudno: Niemka! Trzeba będzie ją sprawdzić w Dwójce...<sup>43</sup>

– Zamieniłem już z nimi słowo. Interesowali się nią już od jakiegoś czasu.

– O! Powiedzieli coś więcej?

– Prześlą nam wyciąg ze swoich materiałów. Zdaje się, że utrzymywała tajne kontakty z NSDAP.

– Ciekawe – mruknął ponuro Kayser.

Wizja jego raportu dla centrali stawała się coraz bardziej gorzka.

– A... Czy właściwie wiadomo dlaczego?

– Wiemy tylko tyle, że to zemsta.

– Za co?

– Za brata.

– Jakiego brata?

– Cóż, konsekwentnie nie odpowiada na nasze dalsze pytania.

– Macie jakiś motyw? Jakąś hipotezę?

Kaczmarek westchnął nieco zbyt głośno.

– Być może.

– To znaczy?

– Jęczkowiak chyba coś sobie przypomniał.

*Restauracja Trocadero przy placu Nowomiejskim<sup>44</sup>, poprzedniego wieczoru krótko przed północą*



Gęsta chmura dymu z drogich gabinetowych i jeszcze droższych egipskich, nie mówiąc już o nilach czy cygarach, wisiała tuż pod żółtą od nikotyny sztukaterią sufitu. Palił też przy stoliku Jęczkowiak, zadowolając się wszakże tańszymi prezydentami. Nie sposób było nie zauważyć, że po niedawno zakończonej obławie lekko drżały mu ręce. Stuknął się z Kaczmarkiem setką wódki i odrobina alkoholu rozprysła się na blacie.

– Co to była za żmija, Biniu? – zagadnął w swoim stylu, siląc się na uśmiech. – Wiesz coś o tej kobiecie? Dlaczego to robiła? Dlaczego chciała nas wszystkich wysłać do Najwyższego?

– To prawdopodobnie Niemka. – Kaczmarek chrząknął, zagryzając grzybką i ścisząc głos do poziomu konfidencjonalnego. – To znaczy Niemka z Poznania. Moi ludzie ustalają już jej dane.

– Niemka?! Niemka zasadziła się na mnie? Na ciebie? Na Dymeckiego i na Kopę? Ale, do diabła, dlaczego?!

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

– Nie mam bladego pojęcia, o co chodzi...

– Powiedziała nam tylko, że chciała się na tobie zemścić. Za brata.

– Za brata?!

Jęczkowiak zmarszczył brwi, a zaraz potem jego ciałem wstrząsnął straszny dreszcz.

– Co jest, Józek? O co chodzi? Przypominasz coś sobie?! Hej!

Jęczkowiak rozejrzał się za kelnerem. Przywołał go stanowczym ruchem dłoni i kazał ponownie napełnić kieliszki. Odczekał, aż wykona polecenie i odejdzie, a potem trącił się raz jeszcze z przyjacielem i wychylił trunek.

– Uuuch! – westchnął, a potem uwiesił się ramienia Kaczmarka i powiedział mu prosto w ucho:

– To dość koszmarna historia. O ile oczywiście o nią chodzi tej przeklętej Niemrze...

Kaczmarek potrząsnął serdecznie dłonią przyjaciela, a kiedy ten odstawił szklankę, powiedział:

– Wiedziałem, że chodzi o jakąś tajemnicę z przeszłości!

Jęczkowiak obrzucił go spojrzeniem pełnym zaufania.

– Wolałbym, żeby to, co ci opowiem, pozostało wyłącznie między nami.

– Tego nie mogę ci zagwarantować, Józek. Sam rozumiesz, trwa śledztwo i wyjaśniamy motywy...

– Rozumiem. Ale chyba możesz sprawić, by ta historia nie stała się najpopularniejszą opowiastką w twojej komendzie?

– Zgoda. Poznają ją tylko moi przełożeni.

– O to mi chodziło. – Jęczkowiak odchylił się na krześle. – Bo widzisz, Biniu, to historia, której nigdy dotąd nikomu nie opowiadałem. Nikomu przez długie szesnaście lat. No, prawie szesnaście, bo wypadki, o których mówię, rozegrały się w listopadzie osiemnastego.

– Gdzie?

– W Warszawie.

– Nie u nas?

– Nie. Właśnie w Warszawie. Jak wiesz, Wierzejewski wysłał mnie tam na fałszywych papierach jako łącznika z centralą POW. Mieszkałem u Rudnickich, byłem nawet raz u Piłsudskiego. Na jego rozkaz wywołałem... to znaczy, wywołaliśmy z kolegami rewolucję. W dwa dni rozbroiliśmy Niemców, Warszawa była wreszcie wolna. Nieważne! Istotniejsze było coś innego. Kiedy przyjechałem do Warszawy, okazało się, że ktoś mnie śledził. Nie wiedziałem o tym. Zrozumiałem, kiedy zostałem zaatakowany...

– Gdzie? Kiedy?

– W jednej z bram w śródmieściu. Chyba gdzieś na Chmielnej, ale dziś już nie jestem tego pewny.

– Kto cię zaatakował?

– Do dzisiaj nie wiem. Było cholernie ciemno. Późna noc, miasto jak wymarłe. I nagle ktoś do mnie strzela. Chybia, ale kiedy chowam się do bramy, idzie do mnie ze sztyletem w dłoni. To był kawał chłopca, silnego i szkolonego w walce. Omal nie wpakował mi żelastwa w pierś, odbiłem sztylet w ostatniej chwili. Miałem szczęście jak cholera! Jego dłoń utknęła w żelaznych zdobieniach bramy, więc strzeliłem. Z najbliższej odległości, trzy razy. To był Niemiec, Biniu. Jestem więcej niż pewny! Najpierw zaklął *Scheisse*, a potem – kiedy już zdychał, to jeszcze wysyczał, że jestem *verfluchter Pole*<sup>45</sup>.

Kaczmarek poczuł dreszcze.

– Udało ci się ustalić, kto to był?

– Facet był w cywilnych ciuchach. Dobrych jakościowo. Być może z samych Niemiec. Miał przy sobie mausera C dziewięćdziesiąt sześć, wiesz, ten oficerski pistolet. I *ausweis* na nazwisko Klose. Hans Klose. To pamiętam jak dziś. Z adresem w Berlinie... Ale to pewnie były lewe dane, facet wykonywał chyba w Warszawie jakąś misję.

– Tajniak?

– Na to wyglądało. Być może ktoś ze szwabskiego kontrwywiadu. Może próbował rozpracować nasz POW. Wyszło na to, że skończył na znajomości ze mną... Zostawiłem go tam, w tej bramie, w tym drogim płaszczu. Ale bez dokumentów i gnata. Nie chciałem, żeby ta sprawa pogorszyła stosunki naszych z niemiecką radą żołnierską... Dziś wiem, że dobrze zrobiłem. I dlatego do dzisiaj trzymałem tę sprawę w całkowitej tajemnicy. Tak długo, że prawie już o niej zapomniałem... Kiedy zapytałeś

mnie o tamtą kobietę, nigdy nie skojarzyłbym tego wydarzenia z tamtym atakiem w osiemnastym roku... Ale kiedy powiedziałaś, że ona mści się za brata... Może to właśnie jej braciszka zastrzeliłem w bramie na Chmielnej...<sup>46</sup>

*Prezydium Policji w Poznaniu, znowu niedziela, 6 maja 1934 roku*

Kayser słuchał relacji Kaczmarka w całkowitym milczeniu. Kiedy komisarz skończył, szef wydziału wstał zza biurka i przeszedł w poprzek swojego gabinetu, ciągle gryząc ustnik nienabitej fajki.

– Co za historia! – skomentował w końcu, siadając z powrotem w fotelu. – To rzeczywiście trzyma się kupy. Skąd jednak ta cała Gnadenstein mogła wiedzieć, kto zgładził jej brata w Warszawie?

Komisarz odszedł od okna i usiadł naprzeciwko szefa.

– Miała kilkanaście lat, by dogłębnie zbadać tę sprawę, panie inspektorze – odpowiedział. – Wiele wskazuje na to, że jest osobą niezwykle bystrą. O wielu talentach. A przy tym szalenie atrakcyjną, co zapewne zwróciło uwagę Dymeckiego i Kopy. Wykorzystując wszystkie swoje możliwości, a przy tym – być może – pomoc niemieckich służb, krok po kroku ustalała, kto mógł być odpowiedzialny za śmierć jej brata w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Nie bez powodu celowała w ludzi powiązanych z POW i Jęczkowiakiem, by dopiero na końcu dowiedzieć się, kto był faktycznym egzekutorem jej przemiłego braciszka. W końcu misja Jęczkowiaka i jego zasługi dla naszej sprawy w Warszawie po zwycięstwie powstania przestały być tajemnicą.

Kayser sięgnął do szuflady po woreczek z tytoniem. Nabijając fajkę, nagle sobie o czymś przypomniał.

– A ta broszka z węzłem? O co chodziło w tym przedstawieniu?

Kaczmarek przyczesał dłonią rzednącą grzywkę.

– Nie wiemy nic na pewno, ale być może chodzi o znak rodowy.

– O co? – zdziwił się Kayser.

– Po kolei, panie inspektorze. Otóż musi pan wiedzieć, że nasza zatrzymana używała przez szereg lat fikcyjnego nazwiska. To znaczy, w dwudziestym drugim zmieniła je nieco. Pierwotnie nazywała się Erica Gnade, ale później, być może po to, by jej nazwisko w żaden sposób nie skojarzyło się z nazwiskiem zabitego brata, zmieniła je w naszym urzędzie stanu cywilnego na Gnadenstein.

– Sprytnie – mruknął Kayser, zapalając tytoń w główce fajki. – Wiesz, ta kobieta wzbudza we mnie coraz większy strach.

Kaczmarek udał, że nie usłyszał tej uwagi.

– Na moje polecenie Anioła poszperał dziś rano w aktach urzędu stanu cywilnego. Oprócz informacji o nazwisku znalazł również herbarz niemieckich rodów z terenu dawnej Provinz Posen i rejencji bydgoskiej.

– I...?

– Arystokratyczna rodzina Gnade pochodzi spod dawnego Hohensalza, naszego Inowrocławia. W jej herbie widnieje wąż, zwinięty w pozie bliźniaczo podobnej do tej z broszek.

– Panienska zabawiła się z nami w łamigłówkę?

– Powiedzmy, że chciała się jakoś podpisać. Czuła się bezkarna, bo była pewna, że nikt z nas nie rozszyfruje związku tych precjozów z jej prawdziwym nazwiskiem.

– Brawo, Kaczmarek! A... może wiesz już, co zniknęło z kieszeni płaszcza tego nieszczęśnika Dymeckiego?

Komisarz pokornie schylił głowę.

– Nie, szefie. Ale myślę, że mogła to być wizytówka Eriki Gnadenstein.

– Wizytówka? Jaka wizytówka?

– O, to prawdopodobnie największa tajemnica wiceprezesa Dymeckiego. Lepiej, żeby pozostała wyłącznie między nami. Cóż, nasz drogi znajomy potrafił świetnie skrywać słabość do pań lekkich obyczajów. Tyle tylko, że tym razem trafił wyjątkowo paskudnie.

---

<sup>41</sup> *Und Schluss...* (niem.) – I koniec...

<sup>42</sup> Obecnie ulica Krakowska.

<sup>43</sup> Przedwojenny polski wywiad wojskowy.

<sup>44</sup> Dziś plac Cyryła Ratajskiego.

<sup>45</sup> *verfluchter Pole* (niem.) – cholerny Polak.

<sup>46</sup> Historia opisana w powieści *Cwaniaki*.

# EPILOG

*Poznań, Prezydium Policji, poniedziałek, 7 maja 1934 roku, wczesnym rankiem*

Chwila była podniosła. Spoglądający z portretu na ścianie ubrany w galowy mundur „Dziadek” wiercił wzrokiem w skromnej, szczupłej sylwetce aspirantki Barbary Przysługi, jakby nie dowierzając, że to niepozorne dziewczę tak dzielnie spisało się podczas stażu w Poznaniu.

– Mówiłem, Biniu, że będziesz miał z niej pożytek – szepnął komisarzowi z boku inspektor Kayser, najwyraźniej dumny ze swojej intuicji. – A ty oponowałeś...

Kaczmarek nie skomentował. Zamiast tego uściśnął prawicę komendanta Bączkowskiego i odebrał z jego rąk dyplom pochwalny, ukryty w oprawionej granatowym płótnem teczce. Zaraz potem podszedł dystyngowanym krokiem ku bohaterce akcji w Słońcu i podał jej dłoń.

– Gratulujemy, pani aspirant – powiedział uroczystym tonem i natychmiast dodał: – Oczywiście stosowny raport dotrze niebawem do rak pani podkomisarz Paleolog.

Aspirantka Przysługa dygnęła skromnie, odbierając dowód uznania poznańskich policjantów z rąk śledczego. Stała w lekkim rozkroku, a z jej twarzy przebijały duma i pewność siebie. Znowu przypominała

komisarzowi Kaczmarkowi bezkompromisową w ocenach śledczą, stawiającą śmiało, odkrywcze tezy.

– Może zechciałaby pani coś powiedzieć? – odezwał się zza pleców Kaczmarka sam komendant.

– Ku chwale ojczyzny, panie komendancie! – odpowiedziała zdławionym emocją głosem.

Za łatwo się wzrusza – ocenił w myślach Kaczmarek. Ale poza tym śledcza pierwsza klasa. Nie ulegało kwestii, że pomogła mu w kilku kluczowych momentach. A ten precyzyjny strzał oddany w takich warunkach...

Spojrzał na przejętą twarz aspirantki i poczuł, że zapamięta ją na dłużej.

A potem westchnął, ale tak cicho, bezgłośnie. Choć praca z aspirantką była ciekawym i owocnym doświadczeniem, cieszył się, że Barbara Przysługa wraca już do stolicy.

Chciał jak najszybciej wynagrodzić za ten niebezpieczny czas Loni. Tym bardziej że miał już pewien pomysł.

*Berlin, siedziba Niemieckiego Związku Bokserskiego, również 7 maja 1934 roku, o tej samej porze*

Dzień nad Szprewą był pogodny. Erich Rüdiger przetaił chustką partyjną odznakę ze swastyką widniejącą w klapie swojej marynarki i wspiał się po schodach gmachu, który pamiętał czasy ostatniego z Hohenzollernów na cesarskim tronie. Gdy znalazł się w efektownym holu na piętrze, swobodnym krokiem przemierzył rozległy, szeroki korytarz i nacisnął klamkę drzwi do swojego gabinetu.

Szeroki uśmiech Anne Schwarz, jego osobistej sekretarki – i okazjonalnej kochanki – utwierdził go w przekonaniu, że poniedziałek 7



maja 1934 roku będzie dniem wybitnie udanym.

– Co nowego, mała? – zagadnął ją, kierując się do swojego pokoju.

– Przyszło coś pocztą. W dużej kopercie. I jeszcze telegram...

– Telegram? – zdziwił się. – A skąd ten telegram, Anne?

Młoda sekretarka zerknęła na blankiet z wiadomością.

– Z Polski – zdziwiła się również. – Zdaje się, że z Posen...

Oddech Rüdigera przyspieszył gwałtownie, jak wtedy, przed laty, gdy sam stał między linami, a przeciwnik dociskał go mocno w narożniku ringu.

– Daj mi wszystko, proszę. – Wyciągnął rękę.

Potem szybko zamknął za sobą drzwi i usiadł w wygodnym skórzanym fotelu. Niecierpliwym ruchem rozerwał intrygującą kopertę i chciał już zaznajomić się z oficjalnym pismem z jakimś urzędowym nadrukiem, gdy przypomniał sobie o telegramie. Na blankiecie zobaczył dwa krótkie zdania, podpisane przez tajnego łącznika organizacji w Posen:

*Panna Erika wyjechała do sanatorium. STOP.*

*Wspólny turnus odwołany. STOP.*

*Koppke*

W jednej chwili wpadł w prawdziwą furję. Dając upust wściekłości, cisnął o ścianę karafkę z wodą. Rozpadła się w drobny mak, znacząc materiałową tapetę wilgotną plamą.

A więc jednak ją dorwali! Tyle razy przestrzegał ją, by sobie odpuściła! I tak już nie pomoże bratu. Przecież on nie żyje. Prosił ją o to nawet kilka dni temu, gdy widzieli się po raz ostatni w hotelu w Posen! Nawet wtedy! Ale ona nie posłuchała...

Pokręcił z niedowierzaniem głową, rozpamiętując namiętne chwile w hotelowym apartamencie. Była nim tak zauroczona! Widział to w jej

oczach, mógł ją poprosić o wszystko...

Jak się okazało, o jedno jednak nie.

Nagle obleciał go strach.

Jeśli piśnie o nim Polakom, będzie skończony...

Zaraz potem przyszło uspokojenie. Nie z Eriką takie numery! To ideowa towarzyszka, będzie milczeć jak grób. Tego był równie pewny, jak rychłej dominacji Niemiec w Europie.

Westchnął głośno, nie mogąc pogodzić się z utratą atrakcyjnej współpracownicy.

Cóż, Posen jest na jakiś czas spalony – pomyślał z goryczą. – Ale odrobimy te straty, organizacja przetrwa trudne chwile. Muszą być tylko cierpliwi. Jeszcze doczekają lepszych czasów.

Odłożył telegram na stolik i sięgnął po spoczywającą na kolanach kopertę. Wyjął z niej starannie napisane na maszynie urzędowe pismo z nagłówkiem Kriminalpolizei.

*Wezwanie*

*Niniejszym wzywa się obywatela Ericha Rüdigera, syna Arnolda i Helgi z domu Horst, urodzonego... – przerwał czytanie, by zerknąć niżej, na sedno sprawy – na przesłuchanie na okoliczność incydentu kryminalnego podczas pobytu w Posen, Republik Polen w 1931 roku. Przesłuchanie w sprawie nastąpi na Komisariacie Kreuzberg dnia...*

Oderwał wzrok od policyjnego pisma i zacisnął ze złości zęby.

*Donnerwetter!* Jeszcze tego brakowało!

Ten cholerny Kaczmarek!

*Kino Metropolis, tego samego dnia wieczorem*

*Ku wielkiej uciechu P.T. Publiczności Eugeniusz Bodo przedłuży swój pobyt w Poznaniu i wystąpi nadal po każdym seansie kin Apollo i Metropolis – głosiła reklama, która wpadła w oko komisarza, gdy przeglądał „Kurier Poznański”. Niewiele się namyślając, wykręcił numer do dyrekcji Metropolis i osobiście zarezerwował dwa bilety na najnowszy film Bodo zatytułowany *Pieśniarz Warszawy*.*

Lonia była wniebowzięta. A kiedy usłyszała, że po seansie Bodo wykona ze sceny jedną ze swoich piosenek, jej mąż poczuł, iż wszystkie potknięcia ostatniego tygodnia zostały mu ostatecznie wybaczone.

Siedzieli teraz w sali kinowej w pierwszym rzędzie, słuchając sławnego amanta, który jeszcze przed chwilą wyznawał im z ekranu, że taki z niego „zimny drań”, a chwilę później, gdy sala projekcyjna rozbłysła pełnią światła, pojawił się na scenie, by zaśpiewać:

*Choćbyś w piersi serce miał jak głaz,  
Jednak kiedyś przyjdzie taki czas,  
Że ci serce twe nagle dziwnie drgnie,  
Co to znaczy, każdy wie.  
Nie wiesz wtedy: płakać czy się śmiać,  
Chciałbyś cały świat w ramiona brać,  
Oczy twoje lśnią, bo masz właśnie to,  
Co miłością ludzie zwą.*

Longina przyknęła oczy, wsłuchując się z lubością w śpiew a cappella niekwestionowanej gwiazdy polskiego kina. Kaczmarek obserwował ją dyskretnie, ściskając jej dłoń w rękawiczce i nie komentując ani słowem.

*Tylko z Tobą i dla Ciebie,  
Wciąż serce o tym śni,*

*Tylko z Tobą i dla Ciebie  
przez jasne życia dni...*

Chciał, by nacieszyła się tą chwilą, jakże rzadką w ich życiu. By zapomniała o godzinach oczekiwania, o niepewności, o niedobrych myślach i domysłach. Szlagier Bodo i jego sławna twarz kołysły nerwy, odsyłały złe wspomnienia w niebyt, unieważniały je i niszczyły.

Gdy amant skończył, widownia entuzjastycznie poderwała się z miejsc, zasypując gwiazdora lawiną oklasków i okrzyków. Wstała też Lonia, poruszona i szczęśliwa. Biła brawo i wołała:

– Biiis! Biiis!

Bodo okazał się jednak niewrażliwy na żądania widowni. Skłonił się w pas, podniósł jedną z rzuconych ku niemu wiązanek kwiatów, pomachał nią damom w pierwszych rzędach i skrył się za kurtyną.

– Ach, Biniu! – Lonia rzuciła się mężowi na szyję i gorąco go ucałowała. – Wspaniale, że tutaj jesteśmy! Naprawdę wspaniale!

Kaczmarek uśmiechnął się szelmowsko, nie wyciągając wszakże jeszcze asa z rękawa. W zanadrzu miał drugą niespodziankę – zamówił stół w znajdującym się od kina o rzut beretem Palais de Danse, prestiżowym lokalu z dancinżem na świeżym powietrzu. Tej nocy w programie mieli wytworny salonowy duet Anny et Capi, prosto z Budapesztu, a na deser – niezrównaną Cilly Ravello w „tańcach charakterystycznych”. Niebo było tego dnia bezchmurne, zanosilo się więc na taniec pod gwiazdami...

Kaczmarek poczuł nagle powiew romantyzmu.

– „Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic...” – zanucił znany radiowy szlagier sprzed kilku lat wcale nie gorzej niż Bodo.

Lonia się uśmiechnęła, dając mu nadzieję na miłe zakończenie wieczoru.

*Palmarium przy Półwiejskiej, sześć dni wcześniej, 30 kwietnia 1934 roku*

– Bzdury pan gadasz! – Dama w kapelusiku i czarnej woalce zdenerwowała się nie na żarty. Energicznym ruchem zmięła banknot i wsadziła go z powrotem do torebki. Chciała się podnieść, a jednak została w fotelu.

– No dobrze, panie z Afryki! – fuknęła pogardliwym tonem. – Tamto było nieważne. Teraz masz pan powróżyc mi!

„R” w słowie „powróżyc” wybrzmiało szczególnie ostro, złowieszczo.

Sandi rozejrzał się spanikowany na boki, szukając wybawienia w jakimś niespodziewanym zdarzeniu w restauracji czy na zapleczu kuchni. Niestety, wokół panował wzorcowy wręcz porządek.

– No, czarny panie! Tasuj pan karty i wykładaj!

Zrozumiał, że nie ucieknie od wróżby, choć bardzo jej nie chciał. Oszczędnymi ruchami dłoni pozbierał więc blotki ze stolika i zabrał się za ich przemieszanie. Tajemnicza kobieta przyglądała się mu badawczo przez czarny jedwab woalki, jakby szacując, czy przed chwilą z niej zadrwił, czy tylko źle odczytał karty.

Sandi poczuł, że drżą mu ręce. Znowu zrobiło mu się lodowato zimno.

– No?! Pokazuj pan, co mi pisane!

Posłusznie odkrył pierwszą z kart, leżącą najwyżej na kupce. Była to dama trefl.

– No i?!

– Ta dama to szanowna pani – skomentował mało oryginalnie. – Zaraz zobaczimi, co będzie dalej...

Sekundę później na stoliku obok damy trefl pojawiła się... dwójka pik, jedna z najlichszych kart w talii.

Sandi się zawahał...

– To nie wrózi dobrze, pani szanowna. Dwójka znaczy koniec słaby. Jakieś niepowodzenie. *Schluss*...

Na dźwięk ostatniego słowa młoda dama aż drgnęła.

– Co ty tam wiesz! – fuknęła, a broda zatrzęsała się jej ze złości. – No dobrze, wróż pan dalej! Tylko szybciej, jeśli można!

– Kiedi...

– Wróż, jak mówię! Bo nie zapłacę!

– Proszę bardzo, pani droga. Proszę bardzo.

Na blacie stolika wylądowała teraz krwista siódemka kier. Siódemka, która Sandiemu bez żadnego naciągania skojarzyła się z kosą.

– I co? Siedem to ponoć szczęśliwy numer?! – triumfowała klientka, domagając się komentarza.

– Siedem tak. Ale nie kier. W takim układzie to może znaczyć śmierć...

Mroczna dama poderwała się oburzona z miejsca. Przez ułamek sekundy Sam zobaczył jej łabędią szyję i zaciśnięte wąskie usta.

– A ty, czarnuchu, nie doczekasz wojny! – usłyszał syczące złorzeczenie.

– Jakiej wojni?! – zapytał, bo nic nie rozumiał. – Jakiej wojni, szanowna pani?!

Spojrzała na niego wzgardliwie, a potem zakręciła się gwałtownie na pięcie i ruszyła ku jasno oświetlonemu wyjściu.

*Poznań – Wschowa, październik 2020 – styczeń 2021*

## OD AUTORA

Opisana w tej powieści historia kryminalna to pisarska fikcja, aczkolwiek zbudowana została na solidnych, prawdziwych filarach. Ale po kolei...

Sam Sandi istniał naprawdę. Rzeczywiście walczył na froncie wojny polsko-bolszewickiej w mundurze Wojska Polskiego, a potem utrzymywał się, pracując w warszawskim Cyrku Staniewskich. Do Poznania przeniósł się trochę później niż w tej powieści – dopiero w połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku. Uczył w Warszawie języka angielskiego i tam poznał swoją żonę, Łucję Woźniak, młodszą od niego o dziesięć lat. Pochodziła z Gniewkowa. Miał z nią dwie córki, Gabrysię i Krysę. Związek z czarnym mężczyzną nie został jednak przyjęty entuzjastycznie w jej rodzinie. Początkowo Łucję wydziedziczono, ale z biegiem lat Sandi był coraz bardziej akceptowany przez rodzinę. W roku 1936 przeżył rodzinną tragedię. Zmarła jego starsza córka, Gabrysia. Zachorowała na grypę lub szkarlatynę. Sam, człowiek bardzo rodzinny, ciężko to przeżył. Druga córka, Krystyna, urodziła się krótko przed śmiercią Sandiego. „Ambasador pełnomocny Liberii” – jak pisała o nim warszawska prasa – zmarł nagle, prawdopodobnie na wylew, gdy wychodził z domu do pracy w Palmarium. Został pochowany na cmentarzu Górczyńskim.

Szapsel Rotholc to również postać prawdziwa – żydowski mistrz Polski w wadze muszej, zawodnik warszawskiej Gwiazdy i reprezentant kraju.

W latach trzydziestych jego walkami z zawodnikami z Niemiec ekscytowała się cała polska prasa – żydowski bokser z pojedynków tych wychodził z reguły zwycięsko. Prawdziwi w tej książce są również polscy i niemieccy bokserzy, którzy zawitali w 1934 roku do Poznania, by rozegrać tu kolejny mecz międzypaństwowy. W spotkaniu tym zawodnicy z III Rzeszy nie wystąpili w koszulkach ze swastykami, mam jednak nadzieję, że czytelnicy wybaczą mi tę drobną fabularną ingerencję w historię. Walkę Rotholca ze Spannagem, jak też miejsce i wynik meczu odtworzyłem wiernie na podstawie relacji prasowych.

Prawdziwe w tej powieści są również niemal wszystkie cytaty z ówczesnych polskich gazet. Zwłaszcza te, które wychycił podczas lektury w Bazarze pięściarz Rotholc. Świadczą o tym, że w latach trzydziestych w II Rzeczypospolitej gwałtownie wzrastały nastroje antysemityczne. Sposób, w jaki endeckie gazety w rodzaju „Kurieria Poznańskiego” pisały wtedy o Żydach, szokuje zwłaszcza dziś, gdy znamy okropieństwa hitlerowskiej okupacji. Autentyczne są też słowa wystąpienia adwokata Michała Howorki, autentycznego lidera poznańskiego oddziału Obozu Narodowo-Radykalnego. Zaczerpnąłem je również z przedwojennej prasy.

Literacką fikcją jest natomiast motyw porachunków polskiej policji z Erichem Rüdigerem (choć on sam jest postacią historyczną). Podobnie fikcyjna jest postać Eriki Gnadenstein, która pojawiła się także na kartach mojego poprzedniego kryminału retro *Szmery*. Czytelników, którym spodobała się *Mora*, zapraszam do lektury wcześniejszych tomów serii z komisarzem Kaczmarkiem. Podobnie zresztą jak zachęcam Was do przeczytania powieści sensacyjno-historycznej *Cwaniaki*, ukazującej wzmiankowane w tej książce wydarzenia z listopada 1918 roku



z perspektywy Józefa Jęczkowiaka (postać prawdziwa i godna zapamiętania z racji patriotycznych zasług).

A komisarz Zbigniew Kaczmarek? Cóż, ten nieco choleryczny bohater serii moich kryminałów retro to oczywiście postać literacka. Z uwagi na popularność jego nazwiska w Poznaniu możemy jednak śmiało przyjąć, że niejeden Kaczmarek służył również w szeregach przedwojennej polskiej policji. Choć planowałem powołać go do życia tylko raz (w powieści *Kryptonim Posen*), jest już ze mną od jedenastu lat. Przewinął się w sumie przez dziewięć powieści i – kto wie? – może ta również nie będzie ostatnia z jego udziałem...

*Piotr Bojarski*

Projekt okładki

Eliza Luty

Opieka redakcyjna

Magdalena Kowalewska

Opieka promocyjna

Agnieszka Madeja

Adiustacja

Bogusława Wójcikowska

Korekta

Bogusława Wójcikowska

Irena Gubernat

Opracowanie typograficzne i łamanie

Dariusz Ziach

Copyright © by Piotr Bojarski

© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-8781-5

Znak Horyzont

[www.znakhoryzont.pl](http://www.znakhoryzont.pl)

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)  
Wydanie I, Kraków 2022.

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik